UPADEK PALATYNA
Sieciech chciał obalić Piastów i stworzyć własną dynastię

ŚMIERĆ OD TYSIĄCA CIĘĆ
Chińska kara lingchi mroziła Europejczykom krew w żyłach

NARODZINY MOSKWY
Jak niewielkie księstewko zniewoliło większość ziem ruskich?

NR 11(129)/2023 LISTOPAD 2023

CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

MIESIĘCZNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

Ucieczki Polaków z Auschwitz

Z PIEKŁA NA WOLNOŚĆ

DO RZECZY HISTORIA
ISSN 2299-9515 Nr indeksu 296 031
9 772299 951509 11>

Pobierz i czytaj za darmo dodatek w wersji elektronicznej!

tygodnik.dorzeczy.pl/dodatki-specjalne



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

Fundusz Sprawiedliwości

funduszsprawiedliwosci.gov.pl

Ministerstwo Sprawiedliwości

eprasa.pl 40b1557dc5

ADRES: HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.HISTORIA.DORZECZY.PL
PROWADZĄCY: ANNA SZCZEPAŃSKA

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA „DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Włoczyk**

Z ZESPOŁEM:
Redaktorzy: **Tomasz Stańczyk, Anna Szczepańska**
Studio graficzne:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska,**
Magda Zubrycka-Wernerowska
Okładka: **Krzysztof Wyrzykowski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac**
z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

spółka notowana na GPW
PMPG POLSKIE MEDIA SA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:
reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż)

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek
tel.: 539 953 631, 508 040 664
pon.–pt. w godz. 10–16
prenumerata@pmpg.pl
DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515, Nr indeksu 296 031

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie: www.prenumerata.ruch.com.pl.
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerami: 801 800 803 lub 22 717 59 59 – czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Sztokholm, styczeń 1934 r.

Roman Antczak ćwiczy przed meczem bokserskim ze Szwedami. W garniturze – trener Feliks Stamm



Od redaktora



Piotr Włoczyk

Pamięci pana Kazimierza

Nigdy nie zapomnę tego wywiadu. Człowiek, który siedział przede mną przy kawiarnianym stoliku, zrobił coś, co deklasuje całą plejadę superbohaterów Hollywood. Ten niepozorny 95-letni staruszek 72 lata wcześniej, 20 czerwca 1942 r., uciekł wraz z trzema kolegami z Auschwitz w tak niesamowitych okolicznościach, że więźniowie obozu aż do wyzwolenia opowiadali nowo przybyłym skazańcom o tym wyczynie. Strażnicy z SS zostali wówczas kompletnie ośmieszeni przez Polaków. Ta nieprawdopodobna historia wciąż czeka na swojego hollywoodzkiego reżysera i aż dziw bierze, że do tej pory nikt za oceanem nie nakręcił o tym wielkiego kinowego hitu. Wstępniak nie jest jednak miejscem, by przypominać w szczegółach ucieczkę Kazimierza Piechowskiego – wszystkim zainteresowanym polecam większy tekst na ten temat, który publikujemy na str. 10.

Żadna inna ucieczka z niemieckiego obozu nie jest w stanie przebić wyczynu Kazimierza Piechowskiego i jego trzech kolegów, ale przecież podobnych historii jest dużo więcej. Polacy uciekali z obozów (nie tylko zresztą niemieckich) chyba w każdy możliwy sposób, pokazując, że w sytuacjach ekstremalnych ludzki spryt i determinacja nie znają granic. To były ucieczki z piekła w jak najbardziej dosłownym znaczeniu tego słowa. Horror, który więźniowie przeżywali tam każdego dnia, pozwala zrozumieć, co pchało część z nich do planowania akcji – wydawałoby się – niemożliwych do przeprowadzenia. Wśród uciekinierów osobną kategorią są ludzie tacy jak właśnie Kazimierz Piechowski czy też rtm. Witold Pilecki, którzy robili wszystko, by okrutne represje nie spadły potem na ich kolegów z obozu. Na koniec chciałbym serdecznie podziękować dr. Adamowi Cyrze, historykowi z Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau, który wykonał ogromną pracę, by nagłośnić niesamowity wyczyn Kazimierza Piechowskiego i jego kolegów. ©℗

eprasa.pl 40b1557dc5



/ TEMAT NUMERU

.6 JACEK LACHENDRO
Ucieczki z piekła Auschwitz

.10 PIOTR WŁOCZYK
Autem komendanta na wolność

.13 ANNA SZCZEPAŃSKA
Jak najdalej od drutów

/ CZASY I LUDZIE

.16 LESZEK LUBICKI
Upadek palatyna Sieciecha

.20 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Londyn i Moskwa przeciw Iranowi

.24 PIOTR SEMKA
Czarna godzina Habsburgów

.27 MIKOŁAJ IWANOW
Czerwona pionierka

.30 MAREK GAŁĘZOWSKI
Polski oficer i amazonki

.34 SŁAWOMIR KOPER
Wczasy w Łańsku i Arłamowie

.38 MACIEJ PIECZYŃSKI
Skąd się wzięła Moskwa

.42 RAFAŁ ŁATKA
Krzyż i czerwona gwiazda

.45 TOMASZ STAŃCZYK
Krew na krakowskim bruku

.48 ŁUKASZ CZARNECKI
Śmierć od tysiąca cięć

.52 JAKUB OSTROMĘCKI
Długi marsz, wielki fałsz

.56 TOMASZ STAŃCZYK
Komuniści, ukraińscy nacjonaliści i kryminaliści

.59 WOJCIECH LADA
Zaproszenie do walca

/ CO CZYTAĆ

.62 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Alchemik pięknego słowa

.66 RECENZJE

/ FELIETONY

.70 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Zaszczytami zaszczuci

.71 PIOTR SEMKA
Cena uznania dyplomatycznego

/ BATALIE I WODZOWIE

.72 GRZEGORZ JANISZEWSKI
Polska szarża przez piekło

.76 MICHAŁ MACKIEWICZ
Żołnierze jak malowani – mundury epoki napoleońskiej

/ TECHNIKA

.78 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Wiropłaty

/ POD PRĄD

.80 PIOTR ZYCHOWICZ
Manewr vs. impas

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
„Kolaborant”

eprasa.pl 40b1557dc5

*DOBRZE SKONSTRUOWANE KŁAMSTWO JEST W DUŻEJ MIERZE ZBUDOWANE Z FAKTÓW**

NIE ZAŚMIECAJ SOBIE GŁOWY.
WŁĄCZ REPUBLIKĘ O 19:00.

REPUBLIKA

DZISIAJ

GŁÓWNE WYDANIE INFORMACJI

Codziennie o 19:00 zapraszamy na główne wydanie serwisu informacyjnego do Telewizji Republika.



Zapraszają: **Piotr Kieraga, Jacek Sobala i Magdalena Bałkowiec**

RepublikaTV | @RepublikaTV | Telewizja Republika | @RepublikaTV

*cytat amerykańskiej pisarki Lionel Shriver, laureatki prestiżowej nagrody Orange Prize.

eprasa.pl 40b1557dc5

Ucieczki z piekła Auschwitz

Wywiad / dr. Jackiem Lachendrą, historykiem z Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau



rozmawia Piotr Włoczyk

Baraki obozu Auschwitz-Birkenau FOT. PEXELS/LEON HUANG

PIOTR WŁOCZYK: O której z ucieczek było najgłośniej w Auschwitz?

DR JACEK LACHENDRO: Najbardziej niezwykłą ucieczką, która zrobiła ogromne wrażenie na reszcie więźniów, była akcja z 20 czerwca 1942 r. Czterech Polaków, przebranych w esesmańskie mundury, wyjechało wówczas z obozu autem należącym do SS. Dzięki dokumentom i relacjom uciekinierów bardzo dobrze poznaliśmy tę akcję. Więźniowie podawali sobie z ust do ust jej szczegóły. Zrobiło to na nich wszystkich bardzo pozytywne wrażenie, podnosząc na duchu. Okazało się bowiem, że można uciec z obozu i przy tym ośmieszyć esesmanów [więcej na temat tej ucieczki piszemy na str. 10. – przyp. red.].

Jednak to nie była jedyna niesamowita ucieczka z tego piekła...

Takich historii, choć może nie aż tak spektakularnych, jest trochę więcej. Inną bardzo nietypową ucieczkę również zorganizowało czterech więźniów, lecz tym razem chodziło o trzech Polaków i jednego Niemca. Doszło do niej 29 grudnia 1942 r. Była przygotowywana przez dłuższy czas przez samych więźniów oraz żołnierzy AK działających w okolicach Oświęcimia. Brali w niej udział Jan Komski, Bolesław Kuczbara, Mieczysław Januszewski i Otto Küsel. Wszyscy oni pracowali w Oddziale Zatrudnienia, mając dzięki temu pewną swobodę poruszania się po terenie obozu. Küsel był więźniem, który miał wpływ na obsadę komand. W dniu ucieczki biuro opuścili najpierw Kuczbara i Komski. Kuczbara przebrał się w zdobyty wcześniej mundur esesmana. Do tej dwójki przyjechał na wozie Otto Küsel z Januszewskim.

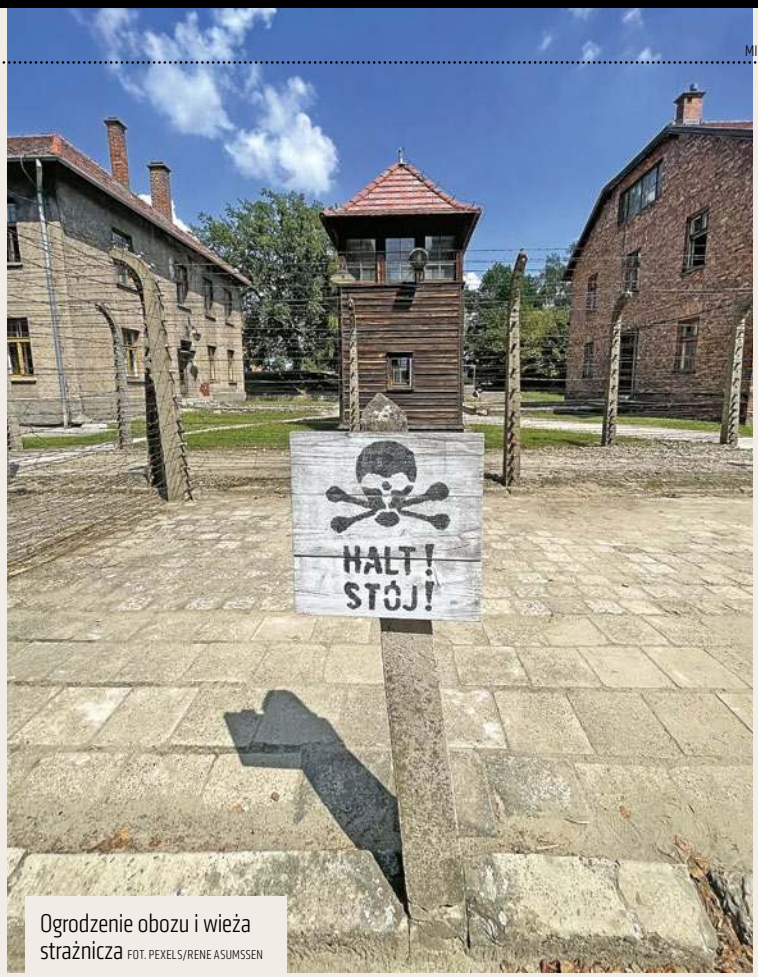
Jakim cudem udało im się zdobyć ten środek transportu?

Küsel wypożyczył wóz – zaprzęgnięty w dwa konie – od esesmana z obozowego gospodarstwa rolnego. W zamian obiecał mu dwie szafy... W ten sposób więźniowie wyjechali z obozu. Wyglądało to tak, jakby jeden esesman eskortował trzech więźniów. W ustalonym miejscu AK przygotowała dla nich ubrania cywilne i pomogła im w dalszej drodze. Niestety, Januszewski i Komski zostali złapani w obławie na dworcu kolejowym w Krakowie. Januszewski przypuszczal-

eprasa.pl 40b1557dc5

nie popełnił samobójstwo w drodze do Auschwitz. Komski wrócił do obozu, ale szczęśliwie przy rejestracji nie został rozpoznany jako uciekinier. Jego koledzy z Auschwitz zorientowali się, że to on, i umożliwili mu przeniesienie do innego obozu. Udało mu się przeżyć wojnę, a potem uwiecznił na swoich obrazach wiele epizodów z Auschwitz.

Kuczbara natomiast zginął w niejasnych okolicznościach w Warszawie. Otto Küsel też dotarł do stolicy, ale został tam aresztowany i we wrześniu 1943 r. wysłany do Auschwitz. W lutym następnego roku przewieziono go do innego obozu. Przeżył wojnę. Küsel zapisał się w pamięci polskich współwięźniów bardzo pozytywnie. Choć był niemieckim więźniem kryminalnym, to starał się pomagać Polakom na tyle, na ile to było możliwe.



Ogrodzenie obozu i wieża strażnicza FOT. PEXELS/RENE ASUMSSEN

Te dwie ucieczki były dość dokładnie zaplanowane. Jednak nie brakowało przecież ucieczek zupełnie spontanicznych, bo akurat nadarzyła się nieprawdopodobna okazja...

Wiemy o kilku spontanicznych ucieczkach na rowerach. Jan Nowaczek zbiegł w ten sposób z Auschwitz 1 września 1941 r. Był on więźniem karnej kompanii. Jednemu z esesmanów zepsuł się rower i Niemiec szukał kogoś, kto mógłby go naprawić. Nowaczek zgłosił się do tego zadania. Esesman zamknął go wraz z rowerem w jednym z pomieszczeń. Nowaczek szybko naprawił rower, po czym przy pomocy narzędzi użytych do naprawy włamał się do szafy, w której wisiał esesmański mundur. Niewiele się namyślając, założył go, wskoczył na rower i po prostu wyjechał z obozu. Początkowo ucieczka była udana, ale po pewnym czasie go schwytano. Niestety, w trakcie śledztwa Nowaczek całkowicie się załamał i wydał ludzi, którzy pomagali mu po drodze. Został rozstrzelany w obozie 27 sierpnia 1942 r.

Esesmańskie mundury były też kluczowe w dwóch ucieczkach romantycznych. Chodzi o dwie pary zakochanych w sobie więźniów i więźniarek: Edwarda Galińskiego i Mali Zimetbaum oraz Jerzego Bieleckiego i Cyli Cybulskiej (w obozie Stawiska). W obu przypadkach więźniowie przebrali się w mundury esesmanów i wyprowadzili kobiety „pod eskortą". Drugiej parze udało się uciec z powodzeniem, ale pierwsza skończyła tragicznie – obydwoje zostali schwytani i zginęli w Birkenau.

Mniej więcej jedna ucieczka na cztery kończyła się sukcesem. To pokazuje, jak nieprawdopodobnie skomplikowane i niebezpieczne było to przedsięwzięcie.

W wyniku naszych dotychczasowych badań ustaliliśmy, że uciekinierów z Auschwitz mogło być ok. 900, natomiast z powodzeniem zbiegło nieco ponad 200 osób. Prace nad tym zagadnieniem wciąż trwają, więc są to wciąż dane szacunkowe.

Wydostanie się z Auschwitz było zadaniem niezwykle karkołomnym. Z jednej strony kierownictwo obozu wprowadziło dosyć skuteczny system zapobiegania ucieczkom, a z drugiej strony istniał też system represji, w niektórych okresach niesłychanie brutalny.

W tym drugim przypadku mówimy o szantażu: jeżeli uciekniesz, to weźmiemy się za twoich kolegów...

Tak, to był jeden z elementów represji wobec uciekinierów i terroryzowania więźniów, żeby nawet nie przyszło im na myśl uciekać. Sam system zapobiegania ucieczkom był bardzo skuteczny. Od 1942 r. esesmani pełnili służbę na posterunkach tzw. małego i dużego łańcucha straży. Ten pierwszy to przede wszystkim posterunki na wieżyczkach wzdłuż ogrodzenia samego obozu. Macierzysty obóz był ogrodzony podwójnym rzędem drutów kolczastych pod napięciem 400 V. Dodatkowo pod drutami wkopane były płyty betonowe do głębokości ok. metra, uniemożliwiające zrobienie podkopu. W Birkenau z kolei, oprócz wieżyczek wartowniczych, zbudowano pojedynczy płot z drutu kolczastego podłączonego jednak do napięcia 760 V. Nie było płyt betonowych pod drutami, natomiast podejście do ogrodzenia bardzo utrudniał rów wykopany wzdłuż ogrodzenia o głębokości 3 metrów.

W 1942 r. wprowadzono tzw. duży łańcuch straży rozciągnięty wokół obozu macierzystego. Obejmował on również przylegający do niego teren gospodarczy z magazynami, warsztatami i dwoma fabrykami. Obszar wokół Birkenau także chroniony był dużym łańcuchem. Gdy więźniowie przebywali w blokach i barakach, czyli wieczorami, w nocy i w święta, esesmani zajmowali posterunki na wieżyczkach małego łańcucha. Wtedy ogrodzenie było pod napięciem. Gdy jednak więźniowie wychodzili do pracy, wyłączano prąd w ogrodzeniu i jedni esesmani schodzili z wieżyczek małego łańcucha, a inni zajmowali stanowiska

eprasa.pl 40b1557dc5

na wieżyczkach dużego łańcucha. Wieczorem, gdy podczas apelu stan liczebny więźniów się zgadzał, zdejmowano ochronę dużego łańcucha i uruchamiano mały łańcuch.

A gdy się nie zgadzał?

Esesmani pełnili służbę przez trzy doby na dużym łańcuchu. Równocześnie włączano do akcji oddział alarmowy, który kierowano w miejsce, gdzie ostatni raz widziano zbiega. System ten był dość skuteczny, wielu uciekinierów nie było w stanie wymknąć się poza duży łańcuch, ale miał on jednak swoją słabszą stronę. Więźniowie wiedzieli bowiem, że esesmani przebywają na posterunkach przez trzy doby, a potem są stamtąd ściągani. Chodziło więc o przetrwanie tych trzech dni… Więźniowie starali się przygotować dla siebie miejsce, by przeżyć do czwartego dnia, i wtedy nocą uciekali poza duży łańcuch.

Jak wyglądały ich kryjówki?

Bardzo różnie. W przypadku obozu macierzystego uwięzieni tam ludzie chowali się w kanałach, na strychach czy w piwnicach budynków przyobozowych.

Jeżeli natomiast chodzi o Birkenau, to były to często jamy ziemne zabezpieczone materiałami budowlanymi czy wgłębienia wykopane w ścianie żwirowiska – w ten ostatni sposób uciekło co najmniej sześciu więźniów. Aby jednak przygotować taką kryjówkę, uciekinier musiał liczyć na pomoc innych więźniów. Ktoś musiał bowiem zamaskować wejście, obsypując je ziemią, a na koniec należało rozrzucić w pobliżu tytoń lub pieprz, by utrudnić zadanie tropiącym psom.

Taki pomocnik musiał się jednak liczyć z tym, że represje mogą dotknąć również jego samego.

Tak, to na pewno był akt wielkiej odwagi ze strony współwięźniów. Ale też musimy pamiętać, że system represji się zmieniał. W pierwszych latach był bardzo surowy, ale już w 1944 r. został – relatywnie – złagodzony.

Każda udana ucieczka była wielkim triumfem tego konkretnego więźnia, ale przecież nierzadko jedno uratowane życie oznaczało śmierć kogoś innego…

Tak to niestety wyglądało. Ale jak już wspomniałem, polityka represji się zmieniała. Gdy 6 lipca 1940 r. Tadeusz Wiejowski jako pierwszy uciekł z Auschwitz, co zostało dostrzeżone na wieczornym apelu, pozostali więźniowie musieli stać ok. 19–20 godzin. Nie wolno im było złamać szeregu. Nie dostawali jedzenia, picia, a potrzeby fizjologiczne, nie mogąc wytrzymać, musieli załatwiać na miejscu. Gdy tylko zauważył to funkcyjny lub esesman, więzień, który nie był już w stanie wytrzymać, był niemiłosiernie bity. Ten apel wywołał na więźniach piorunujące wrażenie. Wtedy jednak jeszcze nie było mordowania za ucieczki. Ta sytuacja zmieniła się w 1941 r., gdy w kwietniu, po ucieczce jednego z więźniów, dokonano selekcji więźniów z jego komanda. Wybrano 10 i skierowano ich do podziemi bloku 11, gdzie zostali zagłodzeni. We wspomnieniach więźniów przewija się myśl, że tak potworne represje odstraszały ich przed planowaniem ucieczki, nawet jeżeli widzieli takie możliwości.

W 1942 r. kierownictwo obozu zrezygnowało z odpowiedzialności zbiorowej wobec reszty więźniów z komanda. Wprowadzili w to miejsce inny sposób karania, który był co najmniej równie skuteczny. Mniej więcej od połowy 1942 r. zaczęto do obozu sprowadzać członków rodzin uciekinierów. Ludzie ci byli wystawiani na widok publiczny przy wejściu do obozu, a obok nich ustawiano duże tablice informacyjne. Tu też widzimy we wspomnieniach więźniów, że była to skuteczna metoda odstraszająca.

Gdy w 2014 r. przeprowadzałem wywiad z Kazimierzem Piechowskim, uczestnikiem najsłynniejszej ucieczki z Auschwitz, mój rozmówca podkreślał kilkukrotnie, że najważniejsza była dla niego pewność, iż Niemcy nie zemszczą się na nikim z jego komanda. Zbiegowie stworzyli bowiem fikcyjne komando, składające się jedynie z nich samych.

Po ich ucieczce pewnym represjom zostali poddani ich koledzy zatrudnieni z nimi w komandzie w magazynie SS, choć nie były one tak brutalne jak wcześniej. Zabity został jedynie kapo tego komanda Kurt Pachala. Esesmani podejrzewali go o udzielenie pomocy uciekinierom. W czasie śledztwa po przeszukaniu szopy znajdującej się obok magazynu znaleziono broń i truciznę i dlatego skazano go na śmierć głodową.


Mala Zimetbaum FOT. COMMONS WIKIMEDIA


Jerzy Bielecki FOT. WIKIPEDIA


August Kowalczyk FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 40b1557dc5

Do legendy przeszła też ucieczka Witolda Pileckiego. Choć akurat ten więzień Auschwitz to zupełnie osobna kategoria. Chyba nikt inny w historii tego obozu z własnej woli nie dostał się do Auschwitz i nie uciekł stamtąd skutecznie?

Tak, Witold Pilecki jest tu absolutnym wyjątkiem i on również starał się zminimalizować zagrożenie represjami wobec kolegów z obozu. Był on zatrudniony w paczkarni obozowej, ale przygotowując ucieczkę, udało mu się załatwić przeniesienie do szpitala, a stamtąd do komanda piekarskiego, w którym przepracował tylko kilka godzin – uciekł już pierwszej nocy. Starał się „mylić tropy", w związku z czym nie było za bardzo kogo obciążyć jego ucieczką.

Przejdźmy do masowych ucieczek. Do pierwszej z nich doszło 10 czerwca 1942 r., gdy zbuntowali się polscy więźniowie w karnej kompanii. Próbę ucieczki podjęło wówczas 50 więźniów, którzy byli zagrożeni rozstrzelaniem.

Ta ucieczka miała zostać przeprowadzona po sygnale zakończenia pracy na obrzeżach Birkenau, blisko Wisły. Więźniowie mieli sforsować rzekę – dosyć wąską w tym miejscu – i uciekać dalej. Akurat tego dnia rozpętała się jednak ulewa i kapo zagwizdał wcześniej. To zdezorientowało część uciekinierów, którzy w związku z tym nie przystąpili do realizacji planu. Dzięki temu esesmani dość szybko opanowali sytuację. Z dziewięciu więźniów, którym udało się sforsować Wisłę, większość zginęła w różnych okolicznościach. Jednym z tych, którzy wyrwali się wtedy na wolność, był August Kowalczyk. Po wojnie został aktorem i szczegółowo opisał ucieczkę. Niemcy zastosowali wówczas bardzo brutalne represje. W trakcie ucieczki zastrzelili 13 osób, potem rozstrzelali 20, a ok. 300 wysłali do komory gazowej.

Masową ucieczkę zorganizowali też jeńcy sowieccy.

Do tej ucieczki doszło pod koniec października 1942 r. 10 tys. jeńców sowieckich zostało przywiezionych do Auschwitz rok wcześniej. Gdy w marcu 1942 r. przenoszono ich do Birkenau, pozostało ich przy życiu ok. 600–700. Pół roku później grupa ta skurczyła się do ok. 150 osób... W tamtym czasie we fragmencie ogrodzenia w Birkenau pozostawiona była luka, którą Niemcy wykorzystywali do skracania sobie drogi przy transporcie materiałów do budowy krematoriów IV i V. Około 30–50 jeńców wykorzystało dogodny moment i gdy znaleźli się blisko tej luki, rzucili się do ucieczki w kierunku Wisły. Tylko niewielkiej części to się udało, resztę jeńców schwytano i zamordowano. Po wojnie na terenie ZSRS ujawniło się czterech uciekinierów z Auschwitz.

W trakcie słynnego buntu Sonderkommanda również doszło do próby ucieczki?

Tak. 7 października 1944 r. grupa więźniów żydowskich z Krematorium IV, rozumiejąc, że niedługo oni sami zostaną zamordowani, zaatakowała esesmanów i podpaliła krematorium. Próbowali oni uciekać, ale strażnicy otworzyli ogień i dosyć szybko opanowali sytuację. Do buntu dołączyli więźniowie z Krematorium II, którzy przecięli druty ogrodzenie i zaczęli biec w kierunku południowym. Około 1,5 km od krematorium zostali jednak otoczeni przez esesmanów i zamordowani. Łącznie w czasie buntu zginęło 450 więźniów i trzech esesmanów.

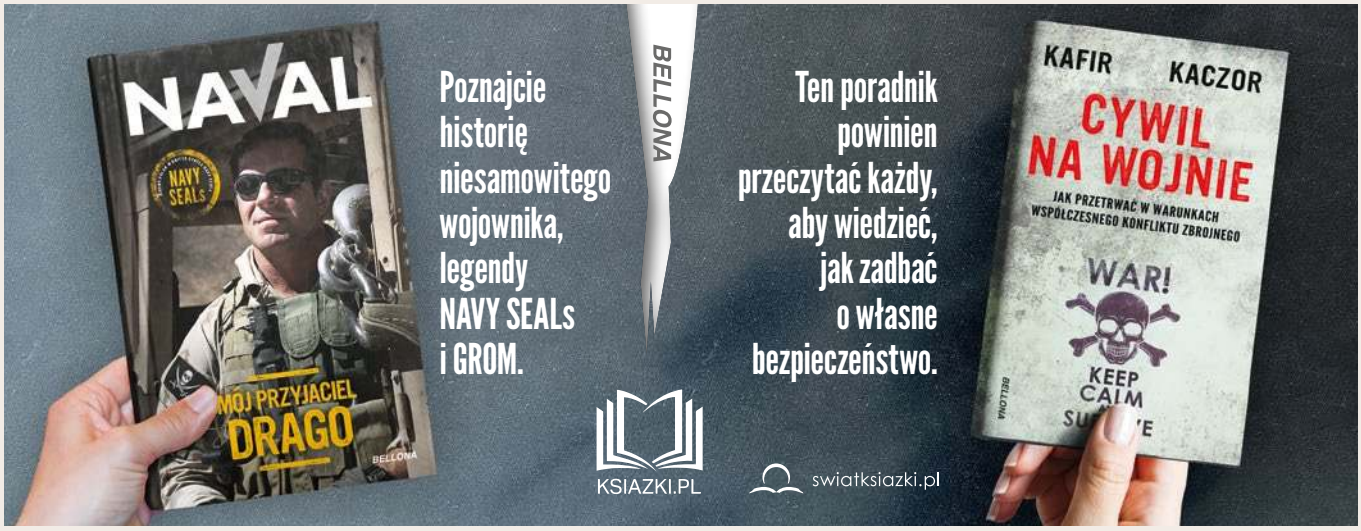
Wygląda na to, że zdecydowana większość uciekinierów wydostała się z Auschwitz „sposobem". Siłowych prób było chyba mniej?

Tak. W ucieczce „sposobem" nieraz pomagali robotnicy cywilni, którzy byli zatrudnieni przez niemieckie firmy wykonujące roboty na rzecz KL Auschwitz. Gdy taki robotnik nawiązał bliski kontakt z więźniem, w niektórych przypadkach starał się pomóc mu w ucieczce, dostarczając cywilne ubrania i zieloną opaskę robotnika cywilnego, a także perukę – bez niej przy wartowni każdy więzień zostałby zdemaskowany, ponieważ byli oni regularnie goleni. Pomoc robotnika cywilnego zwiększała szanse uciekiniera i wiemy o wielu udanych przypadkach ucieczek z różnych części kompleksu obozowego Auschwitz.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Doktor Jacek Lachendro jest historykiem, zastępcą kierownika Centrum Badań w Państwowym Muzeum Auschwitz-Birkenau.

REKLAMA



eprasa.pl 40b1557dc5



FOT. CHRISTIAN SINIBALDI/EVENINE/EAST NEWS, ADOBE STOCK/MONTAŻ: T.Z KREDEK

20 czerwca 1942 r. / Legendarny wyczyn czterech więźniów

Autem komendanta na wolność



Piotr Włoczyk

Ta ucieczka z Auschwitz przeszła do historii. – Z obozu wyjechaliśmy w mundurach SS w limuzynie komendanta – opowiadał Kazimierz Piechowski

Najgorszy z nich wszystkich był Rapportführer Gerhard Palitzsch. To był diabeł odpowiedzialny za mordy pod ścianą śmierci. Sześć tygodni pracowałem w Leichenkomando. Wywoziliśmy spod ściany śmierci zwłoki rozstrzelanych ludzi do krematorium. Palitzsch osobiście strzelał tym ludziom w tył głowy – opowiadał mi Kazimierz Piechowski, gdy w maju 2014 r. spotkaliśmy się w jednej z modnych warszawskich kawiarni. Po chwili jego opowieści przysłuchiwało się już pół lokalu. Młodzi ludzie z opadniętymi szczękami wyłapywali kolejne fragmenty niesamowitej opowieści tego wciąż energicznego 95-latka.

– Podjeżdżaliśmy wozem pod bramę bloku 11, nazywanego blokiem śmierci – ciągnął swoją opowieść o piekle Auschwitz pan Kazimierz. – Palitzsch ryczał: „Tor auf!" i więźniowie otwierali bramę. Wjeżdżaliśmy do środka. Palitzsch nawet po egzekucjach dźgał zwłoki, a nas kopał. Wciąż było mu mało krwi. To był diabeł, a nie człowiek. Nie wiem dokładnie, ile ciał wywiozłem spod ściany śmierci, ale musiały to być tysiące...

Dwudziestoletni Kazimierz Piechowski trafił do Auschwitz 20 czerwca 1940 r., w drugim transporcie po tym, gdy Niemcy pojmali go, wraz z kolegą z harcerstwa, podczas próby przekroczenia granicy z Węgrami. Młody Polak, który chciał się przedostać do Francji, aby bić się z Niemcami, stał się numerem 918.

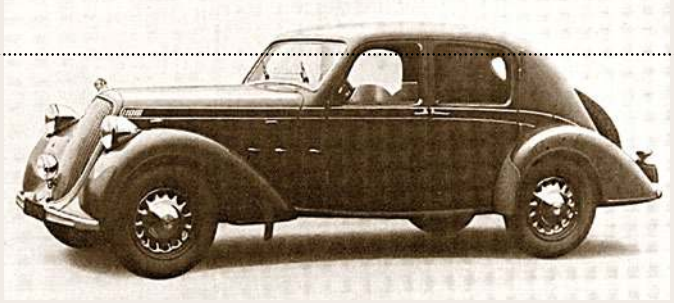
Mój rozmówca nie był jednak inicjatorem tej szalonej ucieczki. Kazimierz Piechowski początkowo nie wierzył bowiem, że da się uciec z piekła Auschwitz.

– Wszystko zaczęło się od Eugeniusza Bendery, kolegi z obozu. Pracowaliśmy wtedy w tym samym komandzie przy magazynach SS. Załapanie się do tej pracy oznaczało koniec zimna i głodu. To było marzenie – mówił były więzień Auschwitz. – Gienek Bendera był złotą rączką, jeżeli chodzi o mechanikę, w związku z czym Niemcy wyznaczyli go do pracy w warsztacie samochodowym.

Na początku maju 1942 r. Gienek zwierzył mi się: „Kazek, Boże kochany, dowiedziałem się, że jestem na liście do likwidacji". Każdy z więźniów miał swoją teczkę. Gienek dowiedział się od kogoś, kto pracował w biurze, że niedługo zostanie zabity. Spytał mnie, czy możliwa jest ucieczka z Auschwitz. Pomyślałem sobie, że Gienek przez ten strach nie wie, co mówi. Więźniowie uciekali wprawdzie z komand pracujących poza obozem, ale z samego obozu wewnętrznego nie sposób było się wydostać. Wszędzie były psy, wartownicy, a ogrodzenie nie miało słabych punktów. Ucieczka była po prostu niemożliwa! Pytałem się w myślach: „Jak mogę pomóc koledze?". I wtedy któregoś razu Gienek powiedział: „Pracuję w warsztacie, więc mógłbym zorganizować samochód, a to już będzie coś. Ty przecież znasz niemiecki, więc może jakoś zorganizujemy ucieczkę". Ja jednak dalej nie wierzyłem w powodzenie takiego przedsięwzięcia. Jak to niby miałoby wyglądać? W pasiakach wyjechalibyśmy tym autem z obozu (śmiech)?

Kazimierz Piechowski zaczął się w końcu na po-

eprasa.pl 40b1557dc5



Steyr 220. Takim samochodem uciekli więźniowie FOT. COMMONS WIKIMEDIA

ważnie zastanawiać nad możliwościami ucieczki. Żeby odzyskać wolność, więźniowie musieli uporać się z – jak sam to nazywał – czterema węzłami, które wydawały się niemożliwe do rozwiązania. Pierwszy z nich dotyczył samego wyjścia przez bramę „Arbeit macht frei" z obozu wewnętrznego, za którą były kolejne płoty, posterunki i szlabany.

– Praca były zorganizowana w komandach. Każde komando miało swojego kapo. Przy bramie esesman sprawdzał, czy wszystko „gra" – zarówno w drodze z obozu wewnętrznego, jak i z powrotem. Jak mielibyśmy przejść przez tę bramę po wprowadzeniu nas z powrotem po zakończeniu pracy? Gienek powiedział, że trzeba tu będzie wykorzystać moją znajomość języka niemieckiego. Tylko jakie ja miałem komando pracy wyprowadzić? I nagle olśnienie – Rollwagenkommando! – opowiadał Kazimierz Piechowski. – W obozie wewnętrznym nie było przecież żadnych środków lokomocji oprócz zaprzęgów ludzkich. Najmniejszy wózek musiał być ciągnięty przez minimum czterech więźniów. Brakowało nam więc jeszcze dwóch kompanów do ucieczki. Gienek zagadnął w tej sprawie Józefa Lemparta, księdza z Wadowic, który z nim pracował w warsztacie. Było nas już trzech. Ja z kolei porozmawiałem na ten temat z Alkiem Kiprowskim, kolegą z harcerstwa, z którym trafiłem do Auschwitz. Alek odmówił. Zapytałem więc innego znajomego harcerza – Stanisława Jastera z Warszawy – czy chciałby z nami spróbować uciec. Zgodził się.

Więźniowie utworzyli w ten sposób fikcyjne komando złożone jedynie z czterech więźniów, żeby nikt inny nie zginął – Niemcy zazwyczaj mścili się bowiem na pozostałych w obozie członkach danego komanda.

– Wybraliśmy sobotę 20 czerwca 1942 r. Równo dwa lat wcześniej trafiłem do Auschwitz. W magazynach SS pracowało się od poniedziałku do piątku od ósmiu do dwunastu godzin dziennie. W soboty pracowaliśmy jednak tylko do dwunastej. W południe esesmani zamykali magazyn na cztery spusty i mieli – jak byśmy to dziś powiedzieli – weekend. My z kolei byliśmy zabierani z powrotem przez bramę „Arbeit macht frei" do obozu wewnętrznego. Czasem wyznaczano nam inne zajęcia, a czasem mieliśmy wolne. Szkopuł polegał na tym, żeby wartownik nie sprawdził w zeszycie, co to za czteroosobowe komando z wózkiem pełnym odpadków wychodzi przez bramę poza obóz wewnętrzny. Jeżeliby sięgnął do swoich papierów, to esesmani wzięliby nas stamtąd prosto do komory gazowej. Ale nie sprawdził. W ten sposób udało się nam wyjść przez bramę „Arbeit macht frei" – mówił były więzień Auschwitz. – Tu dochodzimy do drugiego węzła: Jak dostać się do warsztatu samochodowego, w którym pracował Gienek Bendera? Udało nam się dorobić klucz. Niemcy byli przyzwyczajeni do widoku Gienka jeżdżącego samochodami w pobliżu warsztatu – w końcu musiał się przekonać, czy wszystko działa. To była nasza szansa – ciągnął swoją opowieść pan Kazimierz. – Trzeci węzeł: Skąd wziąć mundury? Pewnego dnia zauważyłem jednak, że na drugim piętrze magazynu, przy którym pracowaliśmy, znajdowało się pomieszczenie wypełnione mundurami i bronią! To odkrycie dodało nam skrzydeł. Nasza ucieczka stawała się coraz bardziej realna. Przy magazynie znajdował się bunkier z koksem. Był on połączony z magazynem. Klapy do bunkra były zabezpieczone śrubami. Ostatniego dnia pracy wyjąłem je tuż przed powrotem do obozu wewnętrznego. W ten sposób mogliśmy się dostać do środka. Po szczęśliwym przejściu przez bramę „Arbeit macht frei" we trzech weszliśmy do pustego magazynu, przebraliśmy się w mundury esesmanów i wybraliśmy sobie broń. Ja miałem odgrywać rolę Untersturmführera. Reszta kolegów miała być szeregowcami. Chwilę później Gienek Bendera podjechał pod drzwi magazynu steyrem 220.

Było to służbowe auto komendanta obozu. Eugeniusz Bendera wszedł do budynku i przebrał się w mundur esesmana. Po chwili cała czwórka, wraz z bronią, załadowała się do steyra. Tu jednak pojawił się wielki znak zapytania.

– Nie wiedzieliśmy, jak wygląda procedura przekraczania ostatniego posterunku wartowników. Czy trzeba było mieć przepustkę? A może Niemcy mieli jakieś ustalone hasło, bez którego nie można było wyjechać na zewnątrz? Jechaliśmy zupełnie w ciemno – mówił Kazimierz Piechowski. – Szlaban był jakieś 200 metrów przed nami. Po



Kazimierz Piechowski u schyłku życia (zmarł w 2017 r.) FOT. TV IPN



Kazimierz Piechowski, więzień obozu Auschwitz
FOT. PAŃSTWOWE MUZEUM AUSCHWITZ-BIRKENAU

eprasa.pl 40b1557dc5

prawej stronie stała budka strażnicza. W środku widać było dobrze uzbrojonego esesmana. Obok przy stoliku siedział drugi wartownik. Szlaban jednak wciąż był opuszczony. Esesmani widzieli nas, a mimo to nic nie robili. Sto metrów i wciąż nic... Powoli zacząłem się w myślach żegnać ze swoją mamą. Dwadzieścia metrów przed szlabanem Gienek zredukował do jedynki i zaklął cicho. Nagle poczułem uderzenie w kark i usłyszałem: „Kazek, zrób coś". To był ks. Józef Lempart, który siedział za mną. Nie musiał tego robić. Sam dobrze wiedziałem, że nadeszła pora, abym odegrał swoją rolę.

Kazimierz Piechowski pochodził z Pomorza, wychowywał się z niemieckimi kolegami i doskonale opanował ich język ojczysty. Za moment miał przejść swój najważniejszy egzamin językowy.

– Gwałtownie otworzyłem drzwi i wystawiłem ramię, żeby wartownik zobaczył moje dystynkcje. Krzyknąłem ze złością: „Śpisz, idioto?! Otwieraj, do jasnej cholery!". Udało się. Esesman podskoczył jak na sprężynie, krzycząc przy tym: „Ja, ja, ja!". Zaczął szybko kręcić korbą, otworzył szlaban i machnął nam jeszcze „Heil Hitler" – śmiał się Kazimierz Piechowski.

Cała czwórka przez dwa tygodnie przedzierała się przez lasy w esesmańskich mundurach.

– Szliśmy na wschód w kierunku Czortkowa, gdzie Gienek Bendera miał rodzinę – opowiadał pan Kazimierz. – Po drodze odłączył się od nas Staszek Jaster, który stwierdził, że chce wracać prosto do Warszawy. Dwa razy „spotykaliśmy się" z Niemcami. Za każdym razem jednak te „spotkania" kończyły się dla nas szczęśliwie, ale za drugim razem Józef Lempart został ranny w nogę. Musieliśmy go zostawić po drodze na plebanii u pewnego księdza. W końcu też rozdzieliliśmy się z Gienkiem. Ja trafiłem do partyzantki, gdzie walczyłem do końca wojny.

Jak podkreślał Kazimierz Piechowski, najważniejsze dla uciekinierów było to, że tworząc fikcyjne komando, mieli pewność, że nikt z ich kolegów z obozu nie zginie.

– Byłem więc zupełnie spokojny o innych więźniów. Wiedzieliśmy, jak działają Niemcy. Zginął tylko nasz kapo, który był absolutnie niewinny. Niemcy podejrzewali go, że nam pomagał, ale to oczywiście nie była prawda – mówił pan Kazimierz. – Załoga obozu miała duży problem. Z Berlina przysłana została specjalna komisja, która strofowała pracujących w Auschwitz Niemców: „Macie tu 5 tys. esesmanów i nie daliście rady upilnować czterech wygłodniałych więźniów?". O wszystkim, co działo się w Auschwitz po naszej ucieczce, dowiedziałem się tuż po wojnie od Alka Kiprowskiego, tego samego, który odmówił udziału w naszej ucieczce. Proszę sobie wyobrazić, że on uciekł z obozu dwa i pół miesiąca po nas. Spotkaliśmy się w naszym rodzinnym Tczewie. Alek powiedział mi, że sześciu Niemców z obozu wysłanych zostało w związku z naszą ucieczką na front wschodni, ale żaden z więźniów nie ucierpiał.

Po wojnie Kazimierz Piechowski został skazany przez komunistów na 10 lat więzienia za przynależność do podziemia. Wolność odzyskał dopiero po siedmiu latach. Najlepsze lata młodości zabrali mu najpierw Niemcy, a potem komuniści. Pan Kazimierz zmarł w 2017 r. w wieku 98 lat.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



eprasa.pl 40b1557dc5



Brama obozu koncentracyjnego Gross-Rosen

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/JACQUES LAHITTE

Okupacja / Więźniowie i jeńcy ku wolności

Jak najdalej od drutów



Anna Szczepańska

Polacy uciekali nie tylko z różnych niemieckich obozów koncentracyjnych i zagłady, lecz także z obozów jenieckich. Próbowali przeróżnych sposobów – wprost przez bramę, w przebraniu lub wykopanymi tunelami. Szanse mieli zazwyczaj bardzo niewielkie, ale potrzeba wolności była silniejsza

Mieczysław Dukalski, który opowiadał po latach o próbach ucieczek z niemieckich obozów, był członkiem NSZ. Niemcy więzili go w Gross-Rosen i podobozie Brieg. Dukalski należał do obozowej konspiracji i był jednym z kilkunastu więźniów, którzy pod koniec 1944 r. podjęli decyzję o ucieczce. Okazja nadarzyła się na początku 1945 r., kiedy grupę Polaków i Rosjan przydzielono do pracy w magazynach Wehrmachtu. 5 stycznia podjęto próbę ucieczki. W samochodzie, którym komando wracało do obozu, Polacy i jeden Rosjanin obezwładnili niemieckich strażników oraz kierowcę.

„Po ujechaniu paru kilometrów, gdzieś w połowie drogi między magazynem i jakąś wioską, wyrwałem karabin stojącemu naprzeciwko mnie postowi, [...] a reszta bractwa zajęła się innymi szkopami [...]. Gdy mieliśmy już postów [esesmanów z oddziałów wartowniczych – przyp. red.] na podłodze, całkowicie niezdolnych do oporu, przepchałem się do przodu wozu i zacząłem walić w budę szoferki, krzycząc, że posty się popiły i chcą do nas strzelać" – wspominał Dukalski.

W odebranych Niemcom płaszczach (nie wszyscy więźniowie nosili na co dzień pasiaki, więc sytuacja była łatwiejsza) oraz z pozyskaną bronią ok. 30 uciekinierów skierowało się w stronę Opola. Niestety, panika szybko dała się we znaki. Po kilkunastu kilometrach, kiedy na drodze pojawili się niemieccy żandarmi, część więźniów wyskoczyła z samochodu, uciekając w las. Niemcy od razu otworzyli ogień. W tej sytuacji całe „komando" ruszyło do lasu. Niektórzy zginęli od niemieckich kul, inni się odłączyli. W końcu z Dukalskim pozostało jedynie osiem osób. Przez kilka dni grupka parła naprzód, omijając wsie. Zmęczenie było coraz większe, a duży mróz i nieznajomość terenu pogarszały sprawę. 12 stycznia Dukalski i jego druhowie zostali złapani przez niemieckich leśników i członków SA. Odstawiono ich do obozu, lecz szczęśliwie nie zastosowano wobec nich większych represji. Sam Dukalski nie porzucił planów ucieczki. Uciekł z obozu 5 maja 1945 r. i dołączył do Brygady Świętokrzyskiej.

„[Nasilenie ucieczek] łączyło się wyraźnie z klęskami hitlerowskim i na frontach, a w szczególności na froncie wschodnim. Perspektywy ukrycia się po ucieczce były znacznie łatwiejsze pod koniec wojny niż na jej początku. Dużą rolę odegrały także zmiany w organizacji obozów koncentracyjnych. Obok istniejących od początku obozów centralnych zbudowano wiele stanowisk pracy, często dość odległych od obozu centralnego, dokąd udawano się na czas pracy lub też nawet w wielu wypadkach budowano tam osobne podobozy. W tych zewnętrznych komandach pracy lub podobozach system strzeżenia był mniej dokładny, łatwiej było wyrwać się poza linię drutów, murów czy straży. Obozów centralnych i podobozów było w tym okresie bardzo wiele. Uciekano

eprasa.pl 40b1557dc5



Makieta Stalagu Luft III (Żagań) FOT. WIKIPEDIA



Major Roger Bushell FOT. WIKIPEDIA



Kamień pamiątkowy w miejscu wyjścia z tunelu FOT. COMMONS WIKIMEDIA/VORWERK

właściwie ze wszystkich obozów i przez cały okres trwania wojny" – pisał prof. Krzysztof Dunin-Wąsowicz, zajmujący się tematyką ucieczek, który sam zresztą – jako więzień Stutthof – wydostał się zza drutów.

Z niemieckich obozów uciekali ludzie różnych narodowości, nierzadko współpracując ze sobą. Podejmowali ryzyko, choć szanse powodzenia były znikome. Musieli brać pod uwagę nie tylko obecność strażników czy wysokie ogrodzenie, lecz także okoliczny teren i oddalenie od miast. Ważnym elementem planowania ucieczki była też kwestia zemsty Niemców w przypadku zarówno niepowodzenia akcji, jak i jej powodzenia, kiedy oprawcy będą znęcać się nad więźniami, którzy nadal przebywali w obozach. Bywało, że to właśnie wyrzuty sumienia związane z zemstą Niemców na niewinnych ludziach powstrzymywały więźniów przed decyzją o ucieczce z obozu.

Nie da się określić, jak wielu ludzi uciekło z niemieckich obozów. Nie wszyscy dzielili się swoją historią w obawie przed represjami (także komunistycznymi). Niektóre dane fałszowali sami Niemcy, podając w aktach nieprawdziwe informacje o ucieczce, kiedy w rzeczywistości zabijali więźniów. Najwięcej razy uciekano z Auschwitz, lecz ucieczki z innych obozów, choć mniej znane, bywały równie spektakularne.

„Harry"

Po przegranej wojnie obronnej we wrześniu 1939 r. tysiące polskich żołnierzy zostały zamknięte przez Niemców w 43 oflagach (oficerowie) i 67 stalagach (podoficerowie, szeregowcy).

Najbardziej znaną ucieczkę przeprowadziło 80 jeńców z obozu Stalag Luft III w Żaganiu. Wiosną 1943 r. wśród więźniów zawiązał się ucieczkowy „Komitet X". Przedsięwzięciu przewodził Brytyjczyk mjr Roger Bushell, a jednym z dowodzących był Polak, por. Włodzimierz Kolanowski. Plan zakładał wykopanie tunelu, którym więźniowie wydostaną się poza obóz. Trzeba było jednak tunel nie tylko wydrążyć, lecz także zamaskować wejście, odwracać uwagę Niemców od „dziwnych" odgłosów oraz gromadzić cywilne ubrania, mapy i fałszywe dokumenty. Choć już wcześniej jeńcy Stalagu Luft III próbowali kopać tunele, to były one wykrywane. Teraz prace miały być lepiej skoordynowane.

Drążono trzy tunele jednocześnie. Pierwszy odkryli i wysadzili Niemcy, drugi służył jako magazyn dla kopania trzeciego. Tunel „Harry" miał 110 m długości i znajdował się 9 m pod ziemią. Wyłożono go deskami wyjętymi z łóżek, a nawet zainstalowano oświetlenie elektryczne. Zakładano, że tunelem ucieknie ok. 200 osób. Do realizacji planu przystąpiono 24 marca 1944 r. Okazało się jednak, że tunel jest za krótki, a jeńcy wychodzą na powierzchnię w miejscu, skąd mogą dostrzec ich strażnicy. Pomimo to 80 osobom udało się wydostać na zewnątrz. Niemcy zarządzili szeroko zakrojone poszukiwania, a większość jeńców udało im się złapać. Ucieczka, jak się okazało, powiodła się tylko trzem osobom: dwóm Norwegom i jednemu Szwedowi. Rozkaz zamordowania większości uciekinierów wydał Adolf Hitler (tzw. rozkaz żagański), u którego „wielka ucieczka" wywołała napad furii. Wśród zabitych było ośmiu Polaków, w tym Włodzimierz Kolanowski.

Na przełomie lat 1943 i 1944 kilkunastu Polaków postanowiło zrealizować przygotowany wcześniej zamiar ucieczki z obozu na Majdanku (KL Lublin). Grupa wymknęła się nocą z baraku. Owinięci w prześcieradła od razu przylgnęli do ziemi i czołgając się, poruszali się wzdłuż kolejnych budynków. Padający śnieg zapewniał im świetne maskowanie. Plan był prosty – chcieli dojść do ogrodzenia i przeciąć je nożycami, które mieli ze sobą (były izolowane, więc nie obawiano się prądu). Nagle padł strzał. Więźniowie zamarli w bezruchu. Strażnik coś zauważył, ale nie strzelał kolejny raz, więc uznał zapewne, że coś mu się przewidziało. Grupa jednak załamała się, część ludzi zaczęła się wycofywać. W końcu wszyscy zdecydowali o przesunięciu daty ucieczki na kolejny termin. Ostatecznie, w marcu 1944 r., tylko trzem spośród pierwotnej grupy udało się uciec z Majdanka. Zastosowali podobny manewr do wcześniejszego, a druty przecięli przy samej budce strażniczej, gdzie było to najłatwiejsze. Wszyscy (Paweł Dąbek, Kazimierz Maliński i Mieczysław Osiński) dołączyli do działającej w pobliżu partyzantki.

Kilka dni później z Majdanka uciekli kolejni Polacy. Tym razem trasa wiodła kanałami. Wejście znajdowało się na polu uprawnym na terenie obozu. W akcję zaangażowanych było osiem osób. Jedni piłowali druty znajdujące się w studzience, inni odwracali uwagę kapo, a jeszcze inni kontynuowali pracę na polu i ubezpiecza-

eprasa.pl 40b1557dc5

li teren. Ostatecznie wszystkim udało się dotrzeć do włazu. Rura miała średnicę zaledwie 60 cm i wypełniona była ściekami. Poruszanie się w ciasnym kanale było bardzo trudne, jednak wszystkim, po przebyciu kilkuset metrów, udało się wyjść na powierzchnię. Cała ósemka dołączyła wkrótce do konspiracji.

Najbardziej „bezczelna" ucieczka z KL Lublin miała natomiast miejsce dwa miesiące później. Do dziś nie wiadomo, czy została zaplanowana czy była inicjatywą spontaniczną. 15 maja do budynku mechaników, gdzie pracował Mikołaj Stebliński, przyjechał kierowca komendanta z rozkazem dokonania przeglądu pojazdu. Polak zdążył zauważyć, że w aucie znajdowała się walizka z mundurem, jednak kierowca zabrał ją i zamknął w kantorku. Nie zastanawiając się długo, Stebliński wykonał wytrych i otworzył nim kantorek. Mundur i broń umieścił w samochodzie, po czym wsiadł do auta i ruszył w drogę. Na terenie obozu zatankował jeszcze do pełna oraz zabrał spotkanych ponoć przypadkowo dwóch znajomych Polaków, którzy skryli się na podłodze pojazdu. Jako mechanik Stebliński mógł sprawdzać naprawiane samochody, więc niemiecki strażnik pilnujący jednej z bram od razu ją otworzył. Nieco dalej Polak założył zabrany mundur. Kolejne bramy, na widok „oficera" za kółkiem, otwierano bez słów. Po opuszczeniu obozu Stebliński od razu przyspieszył, chcąc jak najszybciej oddalić się od obozu. Ucieczka się powiodła, a cała trójka cieszyła się wkrótce wolnością.

Niemiecka zemsta

Niemal 2,5 tys. polskich żołnierzy zamkniętych zostało w Oflagu VII B Dössel w Nadrenii Północnej. Już w chwili, kiedy zostali tam przeniesieni (koniec 1942 r.), część żołnierzy zaczęła planować ucieczkę. Pomogli im w tym Brytyjczycy, którzy opuszczając oflag, przekazali Polakom informacje o podkopie. Zaczynał się on w jednym z baraków mieszkalnych, a kończył w baraku drewnianym za pierwszą linią drutów. Stamtąd należało przebyć jeszcze 20-metrową dróżkę i przeczołgać się pod ostatnim ogrodzeniem. Polacy zaczęli gromadzić jedzenie oraz cywilne ubrania.

Termin akcji wyznaczono na noc z 19 na 20 września 1943 r. Czterdziestu siedmiu Polaków zgromadziło się przy wejściu do wąskiego tunelu. Wchodzono pojedynczo, niemal nago, trzymając w zębach zawiniątko z odzieżą. W końcu wszyscy znaleźli się po drugiej stronie drutów. Jeszcze kilka kroków i mogli być wolni. Misja się powiodła, lecz szczęście nie trwało długo. Rankiem Niemcy ogłosili alarm i zaczęli przetrząsać okolicę. Po kilku dniach 37 osób znalazło się w rękach gestapo i SS. Wbrew wszelkim prawom przysługującym jeńcom wszyscy zostali zamordowani. Tylko 10 osobom udało się zmylić pościg i przedostać do Polski, Belgii lub Szwajcarii.

Włodzimierz Steyer uciekał z kolei z obozu Stutthof. Wydostanie się stamtąd nie było łatwe, gdyż obóz znajdował się na podmokłych terenach, blisko morza. Steyer przyjął jednak prosty, wydawało się, plan. 14 listopada 1944 r. założył cywilne ubranie, a na to obozową odzież i prochowiec. Udając elektryka, poszedł do baraku kobiecego i zaczął coś naprawiać. Tam czekał, aż więźniowie pójdą na obiad. Kiedy gong oznajmił, że wszyscy osadzeni udali się już na posiłek, Steyer wyszedł z „kryjówki" i przeszedł przez sam środek obozu. Nikt go nie zatrzymywał – w końcu dzwonek informował, że więźniowie są „zabezpieczeni". Steyerowi udało się wydostać z obozu piechotą. Zwyczajne przebranie elektryka okazało się najskuteczniejszym maskowaniem. Steyer udał się do Nowego Dworu Gdańskiego, gdzie otrzymał pomoc od Polaków. Stamtąd, pieszo, ruszył w stronę Malborka, a później do Warszawy, gdzie dotarł w styczniu 1945 r. Steyer, jako były członek AK, był później prześladowany przez komunistów i skazany na wiele lat więzienia.

Jan Szczepański (po lewej) z kolegą w niemieckim obozie pracy, 1944 r.

FOT. ARCHIWUM ANNY SZCZEPAŃSKIEJ



Pomoc esesmana

Dużo rzadziej od mężczyzn uciekały z obozów kobiety. Prawdopodobnie jedyną zakończoną pozytywnie ucieczką z Ravensbrück była ucieczka Eugenii Kocwy, która zbiegła w maju 1944 r., korzystając z chaosu spowodowanego przeludnieniem obozu.

Do kilku ucieczek doszło w obozie KL Lublin. Niektóre były możliwe dzięki pomocy esesmana. Unterscharführer Otto Schultz zajmował się magazynem odzieżowym. Był jednym z nielicznych Niemców, którzy zdobywali się na ludzkie odruchy wobec więźniów. Musiał cieszyć się szacunkiem, gdyż z planów ucieczki zwierzyły mu się dwie Polki – Helena Żuk i Feliksa Bidacha. 16 kwietnia 1944 r. kobiety ukryły się na furmance z praniem, którą miał jechać Schultz. Kiedy dojechali do miasta, esesman kazał kobietom uciekać. Wcześniej ten sam człowiek pomógł zbiec także dwóm Żydówkom. Jego pomoc wyszła na jaw; wkrótce został wysłany karnie na front wschodni.

Osobną kwestię stanowią ucieczki w czasie ewakuacji obozów. W ten sposób z obozu pracy niedaleko Dortmundu wydostał się też mój dziadek, Jan Szczepański. 1 kwietnia 1945 r., kiedy wojska amerykańskie zajęły miasto Hamm, Niemcy wyprowadzili więźniów z obozu. Po kilku kilometrach marszu grupa Polaków, wykorzystując chwilę nieuwagi Niemców, uciekła w las. Dziadek, wraz z kolegą, błąkał się po okolicy przez kolejny miesiąc. Tak przetrwał do końca wojny, kiedy dostał się do alianckiego obozu dla byłych więźniów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA LITERATURA:

Dukalski M., ***„Ucieczka zbiorowa z podobozu Brzeg"*** [w:] „Arbeitslager Brieg – filia obozu koncentracyjnego Gross-Rosen we wspomnieniach byłych więźniów", Wałbrzych 2004;

Dunin-Wąsowicz K., ***„Ucieczki z obozów koncentracyjnych"***, *cz. II, „Dzieje Najnowsze" 1977, z. 4.*

eprasa.pl 40b1557dc5



Antoni Zembaczyński „Władysław Herman błogosławi Bolesławowi Krzywoustemu przed wyprawą wojenną” FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

X–XI w. / Konflikt w rodzie Piastów

Upadek palatyna Sieciecha



Leszek Lubicki

Będąc prawą ręką Władysława Hermana, Sieciech dążył do objęcia pełni władzy w Polsce i stworzenia własnej dynastii, a tym samym obalenia rodu Piastów

Władysław Herman był wówczas jedynym Piastem, który pozostawał w kraju. Na wygnaniu przebywali król Bolesław II i duża część jego zwolenników, a także młody królewicz Mieszko Bolesławowic. Zawsze istniało ryzyko, że wygnaniec może wrócić, a wówczas ci, którzy przyczynili się do usunięcia go z tronu, niechybnie daliby gardła. Pospadałyby głowy setkami, znając hardość Bolesława II. Nie bez przyczyny drugi jego przydomek, tak samo często używany jak Szczodry, to Śmiały. Nie zdążył jednak zebrać sił i wrócić do kraju po to, co mu było przynależne, ponieważ został skrycie zamordowany.

Herman jednowładca

Po tajemniczej śmierci Bolesława Szczodrego na Węgrzech Herman sprowadził do Polski jego syna królewicza Mieszka wraz z nieznaną nam z imienia matką. Ożenił go, wyznaczył nawet dzielnicę krakowską, ponieważ sam przebywał na ukochanym Mazowszu, w Płocku. Zaraz potem syna króla Szczodrego otruto. Gall Anonim zapisał: „Powiadają mianowicie, że jacyś wrogowie z obawy, by krzywdy ojca nie pomścił, trucizną zgładzili tak pięknie zapowiadającego się chłopca”. Jako że początki naszej państwowości w dużej części okryte są tajemnicą, a Gall nie podał sprawcy, to „historycy domyślają się – zapewne nie bez słuszności – iż sprawcą tej zbrodni był przedstawiciel potężnego rodu Toporczyków, wojewoda Sieciech” (Labuda, 2012). Są także inne, przeciwne opinie o tym tragicznym wydarzeniu. „Któż bowiem bardziej mógł sobie życzyć takiego rozwiązania [śmierci Mieszka – przyp. red.] niż Herman – kładło przecież kres istnieniu starszej linii dynastii. Dla Sieciecha zaś większą wartość przedstawiał Mieszko żywy – tylko takiego bowiem można było wykorzystać w rozgryw-

eprasa.pl 40b1557dc5

kach politycznych" (Urbański, 2005). I kolejny domysł. „Wolno przypuszczać, że troska o dobro tego spadkobiercy [tj. Bolesława Krzywoustego – przyp. red.] skłoniła Hermana do rozprawienia się z jego możliwym współzawodnikiem, Mieszkiem Bolesławowicem" (Jasienica, 1985).

Natomiast prof. Andrzej Nowak (2014) uważa, że owo skrytobójstwo było bardzo „korzystne tak dla księcia Hermana, jak i dla jego palatyna". I to stanowisko bodaj jest najbardziej słuszne, gdyż znając wręcz uzależnienie władcy od jego wszechwładnego wojewody, można przypuszczać, że dokonali tego skrytobójstwa „wspólnie i w porozumieniu". Natomiast kto takie rozwiązanie wymyślił, nie dowiemy się zapewne już nigdy. „W ten sposób utwierdził Władysław Herman swe rządy w Polsce; był już jednowładcą bez rywali. Tego rodzaju zbrodnie rodzinne przepełniają niemal dzieje innych ówczesnych dynastii, np. czeskiej, ruskiej i węgierskiej, gdzie mordy i okrutne kaleczenie, oślepienie, wyrywanie języka itp. były czymś powszednim – wypadki w Polsce nie były więc bynajmniej wyjątkowe" (Grodecki, 1995). Tytularnie był zatem młodszy syn Kazimierza Odnowiciela jedynym władcą Polski. Ale czy miał realną władzę?

Buntownik i wichrzyciel

Podobnie jak za ojca Hermana, Kazimierza Odnowiciela, Masław (wcześniej cześnik Mieszka II), tak teraz Sieciech dążył do objęcia pełni władzy w Polsce i stworzenia własnej dynastii, a tym samym obalenia Piastów. Tak pisał o tym pierwszym wichrzycielu Gall Anonim: „Stąd [z Mazowsza – przyp. red.] poszło, że Macław, ufny w odwagę swego wojska, a nadto zaślepiony żądzą zgubnej ambicji, próbował zuchwale sięgnąć po to, co mu się nie należało ani z prawa żadnego, ani z przyrodzenia". Podobnie jak Macław knuł Sieciech, i to obydwaj tak, że „sama dynastia omal nie szczezła, i to dwukrotnie" (Jasienica, 1992). Na szczęście Władysław Herman miał dwóch synów, Zbigniewa, zrodzonego – jak pisał nasz pierwszy kronikarz – z „nałożnicy", oraz



Władysław Herman. Grafika z XIX w. Ksawerego Pillatiego FOT. WIKIPEDIA

Bolesława, znanego nam jako Krzywousty. „Na życie małego Krzywoustego knuł Sieciech zamachy. Razu pewnego, kiedy na łowach odważny dzieciak rzucił się na odyńca – jakiś nieznany rycerz próbował mu wyrwać z dłoni oszczep" (Jasienica, 1985).

Należy w tym miejscu wyjaśnić sprawę owej „nałożnicy". Uważa się, że za rządów Szczodrego jego młodszy brat Władysław Herman, przebywając w Płocku, nie miał żadnych ambicji politycznych. Wręcz całkowicie podporządkował się starszemu bratu. Stąd pierwszy jego ślub odbył się w rycie słowiańskim, zatem nieuznawanym przez Kościół, z nieznaną nam kobietą (Przecławą?), prawdopodobnie z możnego rodu Prawdziców. Dlatego księcia Zbigniewa nie powinniśmy traktować jako zrodzonego

Znając wręcz uzależnienie władcy od jego wszechwładnego wojewody, można przypuszczać, że dokonali tego skrytobójstwa „wspólnie i w porozumieniu"

z „nałożnicy". Był on prawowitym członkiem dynastii piastowskiej. Po objęciu władzy w kraju zaszła więc konieczność, aby Herman zawarł ślub dynastyczny. Nie wiemy, co stało się z jego pierwszą żoną. Umarła wcześniej lub została oddalona. Wybór pada na córkę czeskiego księcia, późniejszego pierwszego króla Czech Wratysława II, Judytę. Z tego właśnie związku rodzi się długo oczekiwany Bolesław Krzywousty. Judyta czeska kilka miesięcy po porodzie umiera. Książę Władysław bierze kolejny ślub. I ten nowy związek jest jakże istotny dla tej opowieści. Wybranką Hermana jest kolejna kobieta o imieniu Judyta z drugim imieniem Maria, członkini panującej w Niemczech dynastii salickiej. Jak pisze Gall: „[...] książę Władysław, jako że był człowiekiem ociężałym i chorym na nogi, a miał małego chłopaczka, pojął za małżonkę siostrę cesarza Henryka III, poprzednio żonę Salomona, króla Węgier, z której nie spłodził żadnego syna, lecz [tylko] trzy córki".

Niezły kpiarz był z tego „naszego" Anonima – kulawy książę bierze za żonę królową i siostrę cesarza. Nie przepadał zatem dziejopis za Hermanem. Owej Judycie Marii dożywotnio przysługiwał tytuł królowej, jako wdowie po królu Węgier. „Judyta salicka to osoba o bujnym temperamencie i nader swobodnych poglądach na sprawy wierności małżeńskiej. Słynęła z tego i na Węgrzech, i w Niemczech. Brat-cesarz wydał ją podobno za Władysława Hermana, bo miał dość skandali na własnym dworze" (Jasienica, 1985).

Niemniej związek ten wzmacniał pozycję księcia Polski, i to nie tylko w kraju. Paradoksalnie wzmocnił także pozycję Sieciecha, który bardzo szybko się z nią dogadał, i razem knuli (nie tylko w sprawach politycznych). Tak opisał palatyna Anonim: „W tym czasie był komesem pałacowym Sieciech, mąż wprawdzie rozumny, szlachetnego rodu i piękny, lecz zaślepiony chciwością, przez którą wiele popełniał czynów okrutnych i nie do zniesienia. Jednych mianowicie z błahego powodu zaprzedawał w niewolę, innych z kraju wypędzał, ludzi niskiego stanu wynosił ponad szlachetnie urodzonych. Stąd poszło, że wielu z własnej woli, bez przymusu uchodziło z kraju, gdyż obawiali się, że doznają

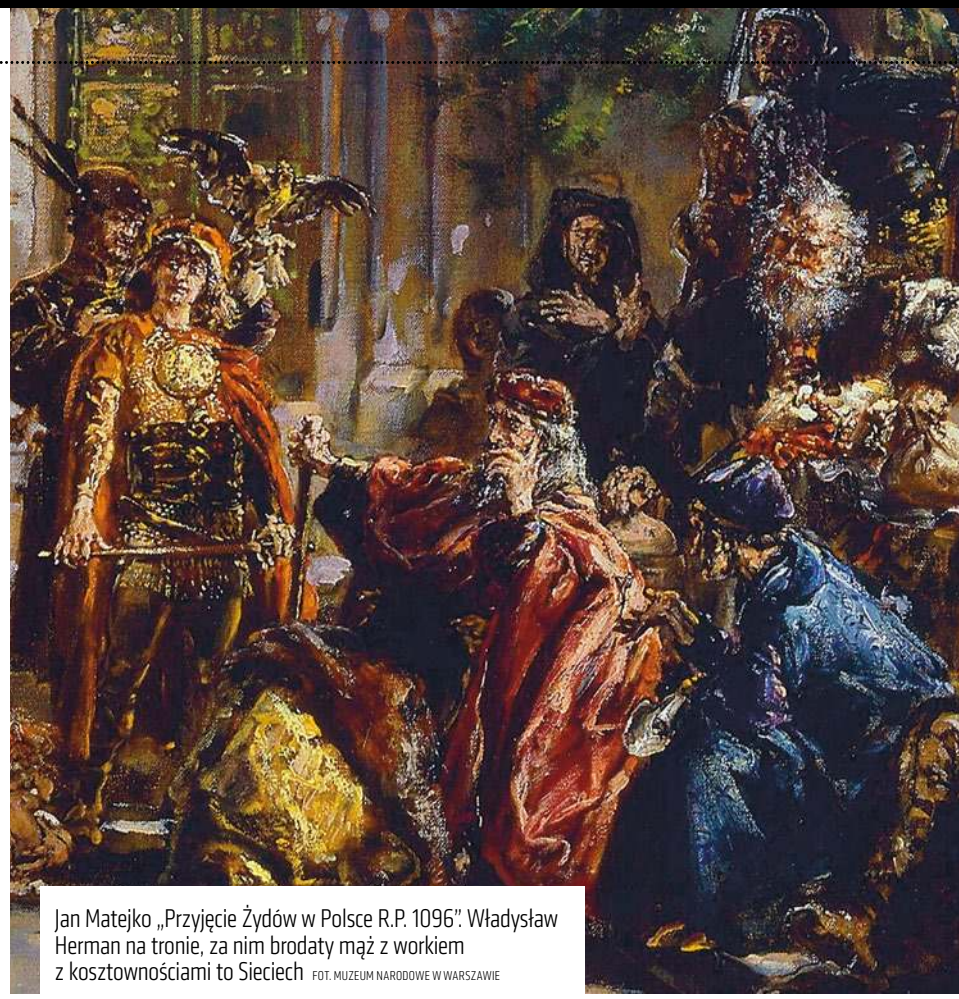
eprasa.pl 40b1557dc5

bez własnej winy tegoż samego losu". Zagarnięcie władzy w kraju po wygnaniu Bolesława Szczodrego, i to bezprawnie, drogą buntu, nawet bez jakiegokolwiek udziału w tym buncie Hermana, musiało doprowadzić go do zależności od tych, którzy za wygnaniem króla stali. „Wśród stronników, którzy zaciężyli Hermanowi na całe życie, pierwszy i najgłośniejszy był Sieciech. W jego rękach stał się Herman bezwolnym narzędziem, dającym się użyć ostatecznie nawet przeciw własnym synom" (Grodecki, 1995).

Koalicja braci

Po narodzinach Bolesława sytuacja starszego przyrodniego brata ulega zmianie. Zostaje on odesłany do szkoły katedralnej w Krakowie. Gdy z tego świata schodzi królewicz Mieszko, Judyta salicka uznaje, że trzeba całkowicie pozbyć się pierwszego, jak się wydaje, pretendenta do tronu. Najlepiej uczynić go mnichem i wówczas będzie po problemie. „To właśnie ona była najbardziej nieprzychylna Zbigniewowi i pod pozorem obrony praw małego Bolesława wymogła na mężu odesłanie pierworodnego syna do Saksonii. Został tam umieszczony w żeńskim klasztorze w Kwedlinburgu, gdzie siostra Judyty była przeoryszą" (Leksykon, 1999). W tym czasie w Czechach umiera król Wratysław. Po krótkim okresie rządów jego brata Konrada władzę obejmuje syn króla Brzetysław II. Postanawia zmusić Hermana do płacenia trybutu ze Śląska, wzniecić w Polsce wojnę domową, a nawet zająć tę dzielnicę. Najlepszym wyjściem okazuje się wykorzystać do tych działań Zbigniewa, który nigdy nie zrezygnował ze swoich aspiracji do tronu, jako pierworodny syn władcy Polski.

„Materiału palnego do takiej wojny dostarczyła dodatkowo narastająca wśród szlachetnie urodzonych (czyli możnowładczych rodów) opozycja wobec wyniesienia palatyna ponad nich i coraz bardziej despotycznych jego rządów" (Nowak, 2014). Na emigracji przebywało w różnych miejscach w tym czasie wiele osób przeciwnych Sieciechowi. Jak relacjonuje Anonim: „Lecz gdy przedtem ci zbiegowie błąkali się w różnych stronach, teraz za radą księcia Brzetysława zaczęli gromadzić się w Czechach. I tak z czeską chytrością wynajęli jakichś ludzi, którzy po kryjomu wydobyli Zbigniewa z klasztoru mniszek". „Z czeską chytrością" – Gall był kronikarzem, a także – jak widzimy – literatem.



Jan Matejko „Przyjęcie Żydów w Polsce R.P. 1096". Władysław Herman na tronie, za nim brodaty mąż z workiem z kosztownościami to Sieciech FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Możni śląscy wymusili na Hermanie uznanie Zbigniewa za legalnego następcę. I tak się stało. Książę wydzielił wówczas Zbigniewowi Śląsk z Wrocławiem jako uposażenie. Jednak Sieciech knuł dalej i przekupstwem oraz obietnicami składanymi panom śląskim przeciągnął ich na swoją stronę. Zbigniew musiał uchodzić do Kruszwicy. Wspierało go kilka hufców tamtejszego rycerstwa. Został jednak zaraz oblężony przez wojska ojca. Przegrał i został uwięziony, nie gdzie indziej, jak w posiadłości Sieciecha na Mazowszu. 1 maja 1097 r. został uwolniony, zapewne pod naciskiem możnych przeciwnych wszechwładzy Sieciecha. Jak powiada prof. Stanisław Rosik, „mimo porażki pod Kruszwicą, pozycja Zbigniewa była wciąż wysoka. Nie stracił zwolenników. Jeśli władzę w państwie traktowano jako swego rodzaju własność dynastii, to członek rodu, który doszedł do pełnoletności, miał prawo upomnieć się o wydzielenie mu jego kawałka, choć pod zwierzchnictwem głównego władcy kraju" („Władcy Polski", 2018).

Zaszła zatem niejako zgoda w rodzie „panów naturalnych". Herman wyprawia zaraz dwóch synów na ekspedycję przeciwko Pomorzanom. Ci jednak przeczuwają, że to kolejny podstęp Sieciecha. Niespodziewanie zawracają i zmuszają ojca do kolejnego podziału kraju. Tak się dzieje i teraz Zbigniew obejmuje Wielkopolskę i ziemię łęczycko-sieradzką, a Krzywousty – Śląsk. Herman zachowuje zwierzchnictwo nad synami, przydzielając sobie Mazowsze i Małopolskę. Ten „pokój" nie trwa długo, bo już w 1099 r. dochodzi do kolejnej konfrontacji braci z ojcem i jego wojewodą. Krzywousty zamyka przed zwolennikami Sieciecha bramy Wrocławia i wzywa Zbigniewa na naradę. Odbywa się wtedy wiec z udziałem rycerstwa. Podjęto decyzję o nowej wyprawie zbrojnej przeciwko palatynowi. Wojska synów oraz ojca i Sieciecha spotykają się pod Żarnowcem.

eprasa.pl 40b1557dc5

Zapada ugoda. Stary książę ma oddalić wojewodę i już nigdy nie przywrócić mu urzędu. „Gdy wydawało się, że i Władysław Herman został pozyskany do walki z Sieciechem, przeszedł on potajemnie na stronę swego palatyna" (Wyrozumski, 1999). Dzieje się rzecz niesamowita i niezrozumiała.

Łódką do Sieciecha

Oddajmy głos Anonimowi: „[...] sam książę w nocy, gdy sądzono, że spoczywa w swym łożu, bez wiedzy kogokolwiek ze swoich, z trzema tylko najzaufańszymi powiernikami, potajemnie wymknął się spośród wojska i z drugiej strony rzeki Wisły przepłynął w łódce do Sieciecha". W tej sytuacji bracia od razu przystąpili do działań. Bolesław zajął Małopolskę z Krakowem i Sandomierzem, Zbigniew Mazowsze, choć Płocka opanować mu się nie udało. Otoczony książę w swojej stolicy nie miał już wyjścia. Posłuchajmy raz jeszcze kronikarza: „Ostatecznie jednak chłopcy zmusili starego ojca do tego, by przez wygnanie Sieciecha z Polski spełnił ich pragnienie. Jakim zaś sposobem do tego doszło i jak powrócił z wygnania, długo i nudno byłoby o tym mówić, niech więc wystarczy tyle, że nigdy później nie było mu danym sprawować żadnej władzy". Co się stało z Sieciechem, do końca nie wiadomo. „Ostateczny upadek i wygnanie Sieciecha datowane są na r. 1100 lub 1101. Towarzyszyły im konfiskaty jego dóbr, zapewne głównie przejętych z domeny książęcej i zagospodarowywanych w okresie supremacji palatyna. Władysław Herman, może chcąc uniknąć kandydata narzuconego przez jeden ze zwycięskich obozów możnowładczych, do swej śmierci w r. 1102 nie mianował już komesa palatyna..." (Kurtyka, 1995–1996).

Historycy snują jeszcze inne przypuszczenia. Uważa się, że po wygnaniu z kraju udał się do Ratyzbony, gdzie kilka lat po śmierci Hermana wyjechała także Judyta Maria, i tam zmarł przed rokiem 1113. Inna wersja mówi, że został od razu oślepiony i pozbawiony majątku. I kolejna: „W upokarzających i dlatego przemilczanych przez kronikarza okolicznościach, w których nieznaną bliżej rolę odegrała Judyta Maria, powrócił jeszcze Sieciech z wygnania, ale nie mógł już żadnej władzy wykonywać: zdaje się, że podległ oślepieniu lub innemu kalectwu" (Grodecki, 1995).

Opowieść tę ilustrujemy obrazem dużych wymiarów (148 x 266 cm) Antoniego Zembaczyńskiego „Władysław Herman błogosławi Bolesława Krzywoustego przed wyprawą wojenną". Dzieło to jest własnością Muzeum Narodowego w Warszawie, jednak od lat jest prezentowane w Muzeum Początków Państwa Polskiego w Gnieźnie. Z muzeum tego otrzymaliśmy jego opis, który tutaj przytaczamy. „Gdyby spróbować określić czas wydarzenia przedstawionego na obrazie, można by przyjąć jako prawdopodobny rok 1101. Na ganku zamku krakowskiego widzimy Władysława Hermana. Leżąca na ziemi buława jest symbolem władzy nad wojskiem (atrybut palatyna). Odziany w futrzany płaszcz palatyn Sieciech – »dowódca wojsk« – traci wpływy i zostanie wygnany przez Bolesława Krzywoustego i jego brata Zbigniewa".

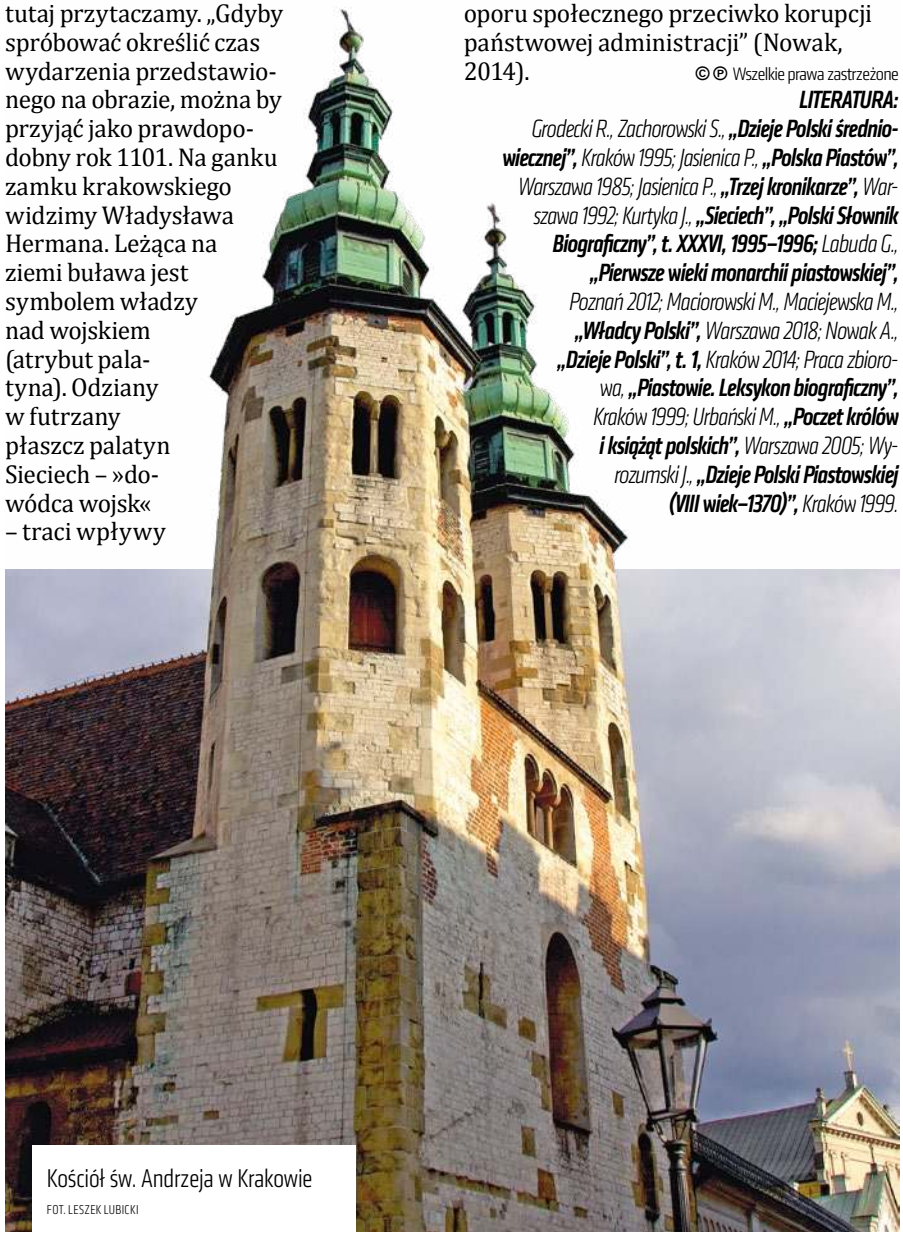
Powiedzmy może jedno dobre słowo o Sieciechu. Był fundatorem dwuwieżowego kościoła romańskiego pw. św. Andrzeja w Krakowie, który obok funkcji sakralnych posiadał funkcje obronne, a także prestiżowe. Do dzisiaj świątynię tę możemy oglądać, idąc z Rynku w stronę Wawelu ulicą Grodzką.

Cóż może być lepszym podsumowaniem tej opowieści niż te słowa: „Bunt przeciwko Sieciechowi byłby zatem pierwszym w naszej historii przykładem oporu społecznego przeciwko korupcji państwowej administracji" (Nowak, 2014).

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

LITERATURA:

Grodecki R., Zachorowski S., ***„Dzieje Polski średniowiecznej",*** *Kraków 1995; Jasienica P.,* ***„Polska Piastów",*** *Warszawa 1985; Jasienica P.,* ***„Trzej kronikarze",*** *Warszawa 1992; Kurtyka J.,* ***„Sieciech", „Polski Słownik Biograficzny", t. XXXVI, 1995–1996;*** *Labuda G.,* ***„Pierwsze wieki monarchii piastowskiej",*** *Poznań 2012; Maciorowski M., Maciejewska M.,* ***„Władcy Polski",*** *Warszawa 2018; Nowak A.,* ***„Dzieje Polski", t. 1,*** *Kraków 2014; Praca zbiorowa,* ***„Piastowie. Leksykon biograficzny",*** *Kraków 1999; Urbański M.,* ***„Poczet królów i książąt polskich",*** *Warszawa 2005; Wyrozumski J.,* ***„Dzieje Polski Piastowskiej (VIII wiek–1370)",*** *Kraków 1999.*



Kościół św. Andrzeja w Krakowie

FOT. LESZEK LUBICKI

eprasa.pl 40b1557dc5



Sowieccy żołnierze w Tabrizie
FOT. COMMONS WIKIMEDIA/TOPWAR.RU

XX W. / Walka Teheranu o zachowanie niezależności

Londyn i Moskwa przeciw Iranowi



Arkadiusz Karbowiak

U progu drugiej wojny światowej Iran, naciskany przez Niemcy i Wielką Brytanię, próbował balansować, zasłaniając się neutralnością. Ostatecznie i tak nie uchroniło to Teheranu od inwazji i okupacji

W okresie międzywojennym Iran (do 1935 r. Persja) był państwem silnie politycznie i gospodarczo uzależnionym od Wielkiej Brytanii. Reza Szah Pahlavi sprawujący władzę od 1925 r. (koronowany na cesarza w 1926 r.) podejmował jednak próby rozluźnienia tej zależności. Państwem, które – jak sądził – mogło pomóc mu pozbyć się brytyjskiej dominacji, była III Rzesza, która wspierała szacha w realizacji wprowadzanych przez niego reform. Więzy gospodarcze pomiędzy Teheranem a Berlinem okazały się poważnym problemem w momencie wypowiedzenia w 1939 r. przez Wielką Brytanię wojny Niemcom. Iran, co prawda, ogłosił neutralność w toczącym się konflikcie, ale nie ulegało wątpliwości, że Brytyjczycy, posiadający poprzez Anglo-Persian Oil Company (później Anglo-Iran Oil Company) kontrolę nad wydobyciem ropy naftowej w Abadanie, nie pozwolą na kontynuowanie dotychczasowej polityki zbliżenia z Niemcami. Aż połowa irańskich obrotów handlowych były to kontrakty dla Niemców, więc wprowadzona przez Brytyjczyków blokada spowodowała, że handel z Rzeszą, odbywający się głównie drogą morską, został ograniczony. Doprowadziło to do poważnych perturbacji gospodarczych w dawnej Persji.

Tymczasem zawarty w sierpniu 1939 r. pakt Ribbentrop-Mołotow stał się szansą dla ZSRS, znajdującego się dotąd w pewnej izolacji. Moskwa zaczęła od wywierania nacisków na Turcję, aby ta odeszła od konwencji z Montreux i zaprzestała kontrolowania cieśnin czarnomorskich.

eprasa.pl 40b1557dc5

Reza Szah Pahlavi uznał, że jest to wstęp do wymuszenia przez Kreml całej gamy postulatów, które zagrożą w końcu samemu Iranowi. Z tego powodu szach nakazał rozpoczęcie przygotowań do odparcia ewentualnej inwazji z północy, budując na granicy z ZSRS pas umocnień, który obsadzony został przez irańskie wojsko. Jednocześnie, mając świadomość swej militarnej słabości, rozpoczął gorączkowe poszukiwania sojuszników mogących obronić Iran przed ewentualną inwazją Moskwy. Państwem zainteresowanym utrzymaniem niezależności Iranu była Wielka Brytania, która miała swoje udziały w irańskim przemyśle wydobywczym. Pod koniec 1939 r. w Londynie pojawili się irańscy dyplomaci, jednak 19 grudnia 1939 r., zanim jeszcze doszło do rozmów, Brytyjczycy sami podjęli decyzję o ochronie irańskich pól naftowych w sytuacji, gdyby doszło do sowieckiej inwazji.

W 1940 r. przygotowywana była operacja „Pika", czyli plan bombardowań złóż roponośnych na Kaukazie przez siły brytyjsko-francuskie. Pomysłodawcami przedsięwzięcia byli Brytyjczycy, a wtórowali im Francuzi, którzy za pomocą nalotów chcieli osłabić gospodarkę ZSRS i nie dopuścić, aby Kreml dostarczał Niemcom ropę, co wówczas czyniono. Choć plan został przygotowany, to nie wcielono go w życie. Zapewne wpływ na to miały niemieckie postępy wojskowe na Zachodzie w połowie 1940 r., upadek Francji oraz wyraźna chęć władz brytyjskich do przeciągnięcia w przyszłości ZSRS na stronę koalicji antyhitlerowskiej. Nie było to oczywiście na rękę Rzeszy, która prowokowała napięcia pomiędzy Londynem a Moskwą, nie chcąc dopuścić do ich zbliżenia. Jedną z tych prowokacji była publikacja francusko-brytyjskich planów dotyczących nalotów na pola roponośne na Kaukazie.

Wysiłki Teheranu zmierzające do wzmocnienia własnych sił w oparciu o pomoc brytyjską zakończyły się fiaskiem. Londyn, ze względu na własne potrzeby, odrzucił irańską propozycję przekazania 60 bombowców i myśliwców. Dyplomacja cesarska próbowała uzyskać tę samą broń od Amerykanów, lecz z równie marnym skutkiem.

Tymczasem w miarę upływającego czasu postawa ZSRS ulegała radykalizacji. 1 sierpnia 1940 r. szef sowieckiego



Reza Szach Pahlavi FOT. COMMONS WIKIMEDIA

MSZ Wiaczesław Mołotow oskarżył Iran i Turcję o udział w przygotowywaniu ataku na „ojczyznę światowego proletariatu". Było to pokłosie ujawnienia przez Niemców wspomnianych dokumentów alianckich. Iran był w nich wymieniony jako jeden z krajów, z którego miały startować samoloty mające bombardować kaukaskie pola naftowe. Wypada wspomnieć, że wiedzy o tych planach nie miał Reza Szah Pahlavi, gdyż z propozycją włączenia w tę operację Iranu wystąpił nie szach, lecz (w tajemnicy przed nim) szef irańskiego MSZ.

Agresywny ton Moskwy sprawił, że szach uznał, iż ZSRS zamierza zaatakować Iran. Ogłoszono częściową mobilizację, a na północy kraju dyslokowano liczne jednostki wojskowe. Choć Teheran nie zyskał pomocy z zewnątrz, to zamierzał bronić się w oparciu o własne zasoby.

Bliskowschodni kocioł

Tymczasem wiosną 1941 r. w Europie nastąpiły wydarzenia, które odwróciły chwilowo uwagę mocarstw od Iranu. 6 kwietnia 1941 r. Wehrmacht rozpoczął realizację planu „Marita", a więc ataku na Grecję, którą dwa miesiące później Niemcy zajęli. Tym samym Rzesza zaczęła coraz bardziej zbliżać się do ważnego, z geopolitycznego punktu widzenia, Bliskiego Wschodu. Co więcej, 1 kwietnia 1941 r. w Iraku doszło do zamachu stanu. Do władzy doszedł wówczas proniemiecko nastawiony Raszid Ali al-Kilani. Londyn nie mógł dopuścić do stworzenia niemieckiego przyczółka na Bliskim Wschodzie, postanowiono więc obalić nowe irackie władze. 30 kwietnia 1941 r. rozpoczęła się operacja „Sabine". Wobec brytyjskiej interwencji w Iraku Teheran postanowił zachować neutralność. Co prawda, przez chwilę szach miał ochotę wysłać Brytyjczykom na pomoc własny kontyngent wojskowy, lecz nie zgodzili się na to irańscy generałowie.

Neutralna postawa rozczarowała Berlin, który sądził, że dotychczasowa współpraca gospodarcza sprawi, że Teheran będzie mu bardziej przychylny i pozwoli ulokować proniemieckie władze w Bagdadzie. Iran jednak zareagował całkowicie odmiennie. Rząd w Teheranie odmówił nawet udzielenia wizy tranzytowej posłowi III Rzeszy Fritzowi Grobbie.

W tym wypadku jednak zachowanie niezależności opłaciło się Iranowi, gdyż Londyn ponownie wyraził zainteresowanie zacieśnieniem współpracy z Persami. Na Downing Street było oczywiste, że to, co stało się w Iraku, może również wydarzyć się w Iranie. Tym bardziej że Niemcy cieszyli się tam sympatią, która wynikała z tego, że Niemcy nie angażowali się dotąd w wyścig mocarstw na Bliskim Wschodzie, a ponadto odgrywali ważną rolę w gospodarce oraz procesach modernizacji Iranu. Rzesza postrzegana była, podobnie jak w innych krajach regionu, jako swoista dźwignia, która miała pozwolić państwu szacha wzmocnić suwerenność.

Naciski Londynu

Tam, gdzie Teheran widział swoją szansę, tam Londyn dostrzegał zagrożenie. Jeden z brytyjskich generałów, Claude Auchinleck (dowodzący jednostkami brytyjskimi w Indiach), w piśmie z 21 czerwca 1941 r. wskazywał na niebezpieczeństwo dostania się Iranu w niemiecką strefę wpływów. To, jak pisał, niosłoby konsekwencje dla całej Zatoki Perskiej. Region znalazłaby się w zasięgu niemieckiego lotnictwa, które zagrażałoby szlakom komunikacyjnym z Indii na Bliski Wschód.

eprasa.pl 40b1557dc5

W podobnym duchu wyrażał się gen. Archibald Wavell (dowódca sił brytyjskich na Bliskim Wschodzie) w piśmie do Szefa Imperialnego Sztabu Generalnego, marsz. Johna Dilla.

22 czerwca 1941 r. wybuchła wojna niemiecko-sowiecka. Teheran liczył, że konflikt ten odciągnie uwagę Moskwy od Bliskiego Wschodu, lecz były to próżne nadzieje. W tamtym czasie Kreml współpracował już z Londynem. Jak się jednak okazało, to nie ZSRS (który mówił „jedynie" o zastosowaniu sankcji wobec Iranu), ale Wielka Brytania postanowiła ostatecznie podporządkować Iran koalicji antyhitlerowskiej. 16 sierpnia 1941 r. Brytyjczycy wystosowali memorandum, w którym domagali się od władz Iranu wyrzucenia z terytorium ich kraju wszystkich Niemców (było to ok. 680–1000 osób). Ponieważ przebywający w Iranie Niemcy byli głównie wykwalifikowanymi pracownikami, Brytyjczycy zaproponowali zastąpienie ich swoimi ludźmi.

Szach nie chciał posuwać się do tak jawnie wrogich wobec Berlina kroków. Choć sam Hitler zapewniał go, że wojska niemieckie lada dzień pojawią się na Bliskim Wschodzie, to władca Iranu postanowił wydać nakaz opuszczenia granic swojego państwa przez niektórych Niemców. Teheran znalazł się w trudnej sytuacji – nie chciał całkowicie odciąć się od Berlina, jednak nie mógł też ignorować brytyjskich żądań.

Tymczasem Londyn chciał stworzyć z Iranu kanał transportowy, którym alianci przerzucaliby materiały wojenne dla walczących z Niemcami Sowietów. Sprawę tzw. V kolumny, czyli Niemców, którzy wciąż mieszkali w Iranie, traktowano jako pretekst do wywierania nacisków na Iran, aby jednoznacznie opowiedział się po stronie aliantów.

Winston Churchill, widząc, że władze irańskie zamierzają trwać przy polityce neutralności, podjął w końcu decyzję o inwazji na ten kraj. Krok ten stanowił przykład typowej tzw. wojny agresywnej, o której prowadzenie alianci tak chętnie oskarżali po wojnie niemieckich polityków i generałów. Premier słusznie zauważył jednak, posługując się cytatem z dzieł Cycerona, że „wśród szczęku oręża milczą prawa".

My lub oni

Brytyjskiego przywódcę do podjęcia radykalnych działań skłaniały niepokojące informacje o postępach Wehrmachtu na froncie wschodnim. Zajęcie Kaukazu groziłoby nie tylko przejęciem złóż roponośnych, ale mogłoby też sprawić, że po niedługim czasie Niemcy wkroczą do Iranu i zajmą brytyjskie rafinerie. Iran stanowił bramę do dalszych podbojów i osadzenia wojsk niemieckich w Syrii, Libanie czy Iraku. Na Downing Street obawiano się zresztą, że pomocy Niemcom udzieliłyby nacjonalistyczno-niepodległościowe ugrupowania działające we wspomnianych państwach. Postanowiono więc nie czekać biernie na rozwój wypadków, ale samemu kształtować bieg wydarzeń.

11 sierpnia 1941 r. rząd brytyjski zlecił przygotowanie planów ataku na Iran. Gabinet Wojenny podjął decyzję o przeprowadzeniu akcji wspólnie z ZSRS. Zamierzano deportować z Iranu zdecydowaną większość obywateli niemieckich, zabezpieczyć tereny roponośne na południu i ustanowić szlak transportowy sprzętu dla Armii Czerwonej. Operacja otrzymała kryptonim Countenance. 4 sierpnia 1941 r. ambasador ZSRS w Londynie, Iwan Majski, zawiadomił szefa brytyjskiego MSZ, Anthony'ego Edena, o koncentracji wojsk Armii Czerwonej przy granicy z Iranem. ZSRS skierował do akcji 120 tys. żołnierzy i 1 tys. czołgów. Brytyjczycy mieli natomiast wejść do Iranu z terytorium Iraku. Ich siły stanowiły jedna dywizja, dwa pułki pancerne, brygada kawalerii i sześć dywizjonów lotniczych. Irańczycy zmobilizowali do obrony 37 tys. żołnierzy, spośród liczącej 126 tys. ludzi armii.

25 sierpnia 1941 r. o godz. 4.10 rozpoczęła się brytyjsko-sowiecka inwazja na



Sowieccy i brytyjscy dowódcy przybywają na paradę w Teheranie FOT. COMMONS WIKIMEDIA/VIKTOR 3951

eprasa.pl 40b1557dc5



Brytyjscy żołnierze pilnujący rafinerii na wyspie Abadan

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/IMPERIAL WAR MUSEUM

Iran. W piśmie skierowanym do premiera Hasana Alego Mansura napisano: „Oczywiste jest, iż rząd perski przywiązuje większe znaczenie do utrzymania na terenie Persji obywateli Niemiec niż do spełnienia próśb Jego Królewskiej Mości […]. Perski rząd musi ponieść pełnię konsekwencji swych decyzji". Jednocześnie skierowano specjalne przesłanie do Irańczyków, w którym ogłoszono, że „podjęte kroki nie są wymierzone w naród irański, a Wielka Brytania nie ma żadnych planów przeciw niepodległości Iranu lub integralności terytorialnej. Wszelkie działania wojskowe podejmowane przez siły brytyjskie mają wyłącznie charakter tymczasowy i zakończą się wraz z likwidacją zagrożenia ze stron państw Osi".

Zarówno siły sowieckie, jak i brytyjskie łatwo przełamywały irańską obronę. Morale armii szacha nie było zbyt wysokie. Szybkie postępy przeciwników zmusiły Irańczyków do wstrzymania walk, co ogłoszono 28 sierpnia 1941 r. Na północy kraju perska ludność masowo uciekała ze swoich domów przerażona brutalnością czerwonoarmistów. 31 sierpnia 1941 r. w Kazwinie, na północny zachód od Teheranu, wojska sowieckie i brytyjskie nawiązały ze sobą kontakt. Spotkali się tam generałowie John Aizlewood i Wasilij Nowikow.

Początkowe pomysły ustanowienia stref okupacyjnych i pozostawienia środkowej części Iranu strefą wolną okazały się trudne do realizacji. Reza Szah Pahlavi, otrzymawszy warunki rozejmu, niespecjalnie spieszył się z ich wypełnieniem, szczególnie jeśli chodzi o deportację 80 proc. obywateli Niemiec. Nie chciał też zgodzić się na zajęcie niektórych miast przez Sowietów i naciskał na ich wycofanie. Jego niechęć do współpracy sprawiła, że wojska sowieckie i brytyjskie 17 września 1941 r. wkroczyły do Teheranu. Jeszcze tego dnia będący pod presją szach abdykował na rzecz swojego syna, Mohammada Rezy Pahlawiego.

Negocjacje i naciski

Nowy władca zaakceptował warunki Brytyjczyków i Sowietów oraz zadeklarował chęć wsparcia polityki aliantów, co poskutkowało wycofaniem sił okupacyjnych ze stolicy Iranu. Jeszcze w 1941 r. została przedstawiona stronie irańskiej treść traktatu trójstronnego (Wielka Brytania – ZSRS – Iran). Władze w Teheranie podpisały go 29 stycznia 1942 r. ZSRS i Wielka Brytania zobowiązywały się w nim utrzymać integralność i niepodległość Iranu oraz wycofać swoje wojska do sześciu miesięcy po zakończeniu wojny.

Stopniowe słabnięcie Niemiec oraz ustabilizowanie sytuacji w Iranie uwidoczniło napięcia i nieporozumienia pomiędzy dotychczasowymi sojusznikami oraz okupantami a władzami irańskimi. W 1944 r. ZSRS zaczął wywierać naciski na Teheran, aby wydał zgodę na wydobycie ropy naftowej. Szach odrzucił te żądania. Sowieci, obok prowadzenia w swojej strefie okupacyjnej typowej bolszewickiej polityki polegającej na wspieraniu miejscowych komunistów (jeszcze w 1941 r. utworzono, będącą sowiecką agenturą, komunistyczną partię Tude, zwaną Partią Mas Irańskich), zainicjowali również różnorakie kroki prowadzące do dezintegracji państwa irańskiego.

Po zakończeniu wojny, zgodnie z obietnicami, Amerykanie (stacjonujący w Iranie od 1942 r.) i Brytyjczycy wycofali swe wojska do końca 1945 r. Stalin nie miał jednak zamiaru tego uczynić. Wspierając Demokratyczną Partię Azerbejdżanu, ZSRS próbował zdestabilizować sytuację wewnętrzną w Iranie, chcąc doprowadzić do przejęcia władzy przez swych protegowanych w irańskim Azerbejdżanie. Pomocy separatystom udzieliła, na polecenie Moskwy, partia Tude. Wojsko irańskie skierowane do prowincji w celu przywrócenia porządku zatrzymało oddziały sowieckie. Nie była to jedyna próba wsparcia secesji – podobną zainicjowali członkowie Kurdyjskiej Partii Demokratycznej. 15 grudnia 1945 r. utworzyli oni Republikę Mahabadu (inaczej: Republika Kurdystanu). Jej prezydentem został Muhammad Qazi. Państwa zachodnie, doceniając stabilizującą wagę Iranu na Bliskim Wschodzie, nie miały zamiaru zezwolić Sowietom na pogłębianie chaosu w regionie. Ostatecznie, po długich negocjacjach i naciskach, Stalin wyraził zgodę na wycofanie swych wojsk. Oddziały Armii Czerwonej opuściły Iran w maju 1946 r., co z kolei dało siłom irańskim możliwość zajęcia terenów opanowanych przez separatystów. W grudniu 1946 r. Republika Mahabadu została ostatecznie zlikwidowana. 31 marca 1947 r. na centralnym placu w Mahabadzie zwanym Çuar Çira został powieszony za zdradę Iranu prezydent Quazi Mohammad.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA LITERATURA:

Czulda R., ***„Brytyjsko-sowiecka agresja na Iran w 1941 roku: przyczyny, przebieg i konsekwencje"***, *PH-W, t. 16 (67), nr 1 (251); Osborn P.*, ***„Brytyjskie plany ataku na ZSRR 1939–1941"***, *Warszawa 2007; Erkan S.*, ***„The invasion of Iran by the allies during World War II"*** *(on-line); Hann K.*, ***„A Rush and a Push and the Land is Ours: Explaining the August 1941 Invasion of Iran"*** *(on-line).*

eprasa.pl 40b1557dc5



XIX w. / Wojna prusko-austriacka

Czarna godzina Habsburgów

Konflikt ten nie zapisał się w dziejach Europy w żaden szczególny sposób. Społeczeństwa europejskie nie solidaryzowały się z przegranym ani też nie darzyły specjalną sympatią strony wygranej. Wojna prusko-austriacka trwała trzy miesiące i dziewięć dni, od 13 czerwca do 23 sierpnia 1866 r.

Wiele europejskich stolic obserwowało tę wojnę z pewnym zaskoczeniem, bo zaledwie pół wieku wcześniej Austria i Prusy zgodnie działały w sojuszu, który rozgromił Napoleona Bonaparte. Bez żadnego sentymentu na zmagania króla Prus Wilhelma I i cesarza Austrii Franciszka Józefa spoglądali też różni postępowcy i demokraci. Wszak zarówno Wilhelm, jak i Franciszek Józef wcześniej, również zgodnie, miażdżyli wystąpienia rewolucyjne Wiosny Ludów w roku 1848. Jeżeli komuś po tej wojnie gratulowano, to Włochom, którzy „podpięli" się pod pruskie zwycięstwo i odebrali Austriakom Wenecję.



Piotr Semka

Bez wojny z 1866 r. nie doszłoby do zjednoczenia Niemiec, a Austria być może do dziś rządziłaby narodami w środkowo-wschodniej części naszego kontynentu

Jednak głębsze znaczenie tej wojny nie uszło uwadze przenikliwych analityków gry na europejskiej szachownicy. Bez wojny z 1866 r. nie doszłoby do zjednoczenia Niemiec, a Austria być może do dziś rządziłaby narodami w środkowo-wschodniej części naszego kontynentu.

Wrodzy ekssojusznicy

Ten konflikt zaskoczył wielu Europejczyków. Poprzedziła go wojna Prus i Austrii przeciwko Danii (1864). To w jej trakcie ujawnił się niemiecki nacjonalizm, który sprzągł się z interesami Berlina i Wiednia. W wyniku wojny 1864 r. Prusy i Austria odebrały Królestwu Danii, zresztą w bardzo efektownym stylu, księstwa Szlezwika i Holsztynu. Szlezwikiem administrowały Prusy, a Holsztyn był zarządzany przez Austriaków.

Dla Prusaków jednak operacja przeciwko Danii była tylko okazją do przetestowania sprawności pruskiej armii i jej nowoczesnego uzbrojenia. Dalekosiężnym planem „żelaznego kanclerza" Ottona von Bismarcka było zjednoczenie

eprasa.pl 40b1557dc5



Georg Bleibtreu „Bitwa pod Sadową”
FOT. COMMONS WIKIMEDIA/DEUTSCHES HISTORISCHES MUSEUM

Niemiec wokół dynastii Hohenzollernów. Było to rozwiązanie „małoniemieckie”. Prusy zamierzały bowiem zjednoczyć niemieckie państewka, nie włączając jednak do swojego terytorium Austrii. Inne zamiary miał Wiedeń, gdzie jeśli mówiono o zjednoczeniu, to w duchu „wielkoniemieckim”, czyli zjednoczeniu wszystkich państw niemieckojęzycznych.

Dla Berlina takie rozwiązanie było nie do przyjęcia. Pruska elita już od dłuższego czasu pogardzała Austrią; jej administrację uważano za anachroniczną. Prusy znacznie silniej też niż Wiedeń odczuwały potrzebę stworzenia jednolitego państwa niemieckiego. Przedstawiciele niemieckich elit mieli kompleksy wobec Wielkiej Brytanii, która rządziła morzami i wielką liczbą kolonii, a także wobec Francji, która w niewielkim tylko stopniu ustępowała Brytyjczykom w budowie imperium kolonialnego. Rozbite na dziesiątki książątek Niemcy nie były w stanie zjednoczyć się bez decydującego konfliktu o przywództwo między Prusami a Austrią. Bismarck szukał więc pretekstu, który na tyle rozzłości Wiedeń, że ten, wierząc w swoją przewagę, zdecyduje się na rozstrzygnięcie na polu walki.

Wojenny pożar

W połowie czerwca 1866 r. do zarządzanego przez Austrię Holsztynu wtargnęły, bez jakiegokolwiek uzgodnienia, wojska pruskie. 14 czerwca 1866 r. oburzony Franciszek Józef ogłosił dekret federalny, w którym wypowiadał Prusom wojnę. Formalnie obie strony zaangażowały w konflikt, mając sporą liczbę sojuszników. Po stronie Austriaków opowiedziały się: Bawaria, Hanower, Saksonia, Wirtembergia, Hesja, Badenia, Nassau, Saksonia-Meiningen, Liechtenstein i Wolne Miasto Frankfurt. Z kolei Prusy zapewniły sobie wsparcie obu wielkich księstw Meklemburgii, Oldenburga Anhaltu, Brunszwiku, Saksonii-Altenburga, Saksonii-Coburg-Gotha, Lippe, Schwarzburga-Sondershausen, Waldeck-Pyrmontu i wreszcie wolnych miast Bremy i Hamburga. Cały ten efektowny spis sojuszników jednej i drugiej strony budzić może rozczulenie u badacza niemieckiej specyfiki państwowej, ale w realnym konflikcie niewiele wnosił. Wszystkie te małe państewka miały operetkowe armie i zaledwie w niewielkim stopniu pomogły czy to Berlinowi, czy Wiedniowi. Cennym sojusznikiem dla Prus były jedynie pełne rewolucyjnego zapału Włochy, które z chęcią wykorzystały awanturę rozpętaną przez Bismarcka do wyrywania Habsburgom kolejnych skrawków Italii.

Nieprzypadkowo stare przysłowie z XVIII w. mówiło, że o ile inne państwa mają armie, o tyle w przypadku Prus to armia ma państwo. I faktycznie – tylko w Prusach armia mogła liczyć na niezwykle duże nakłady z budżetu, na pełną akceptację dla agresywnych projektów pruskiego sztabu generalnego i ścisłe podporządkowanie wszystkich organów państwa potrzebom wojennym armii.

Prusacy górowali nad Austriakami jednolitą strukturą dowodzenia armii, niezwykle sprawnie zorganizowanym sztabem generalnym pod dowództwem Helmutha von Moltkego. Ten niezwykle śmiały wizjoner przygotował po cichu nowatorski plan wykorzystania kolei do zmobilizowania żołnierzy, co miało pomóc rozmieścić ich na wyznaczonych wcześniej kierunkach ataku na Austrię. Koncepcje pruskiej generalicji były wynikiem obserwacji, które pruscy wysłannicy poczynili w czasie wojny secesyjnej w USA. Sukcesy Północy i Armii Potomaku oraz wykorzystanie amerykańskiej kolei do zwycięstwa nad zbuntowanym Południem okazały się dla Prusaków bardzo inspirujące.

Austriacy także posiadali sieć kolejową, ale była ona nieporównywalnie rzadsza. Duże znaczenie miał także różny poziom rekruta pruskiego i austriackiego. Żołnierze pruscy byli lepiej wykształceni i prezentowali wyższy poziom cywilizacyjny, co było efektem wprowadzenia w Prusach już w 1717 r. obowiązku szkolnego na poziomie szkół miejskich. W Austrii poziom rekruta był o wiele bardziej zróżnicowany. Poborowy z Tyrolu czy Czech raczej na pewno umiał pisać i liczyć, ale już szeregowiec z Siedmiogrodu czy Bukowiny bywał zazwyczaj analfabetą.



Franciszek Józef I i Otto von Bismarck
FOT. DOMENA PUBLICZNA



Kolejną rzeczą, która dawała Prusom przewagę, było wprowadzenie na masową skalę karabinów odtylcowych, które pozwalały pruskim fizylierom strzelać trzykrotnie szybciej niż Austriakom. Ci ostatni dysponowali karabinami ładowanymi poprzez wprowadzanie ładunków do lufy, które ręcznie ubijano. Wreszcie swoją skuteczność w wojnie Prus przeciwko

eprasa.pl 40b1557dc5



Wojciech Kossak „Atak ułanów Rodakowskiego pod Custozzą” FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Austrii udowodniły słynne armaty Kruppa, które, podobnie jak w przypadku karabinów mogły być gotowe do strzału w ciągu paru minut. Na tym tle austriacka artyleria przypominała raczej zabytki ze skansenu.

Bismarck – mistrz planowania

„Żelazny kanclerz” wykorzystał to, że mało komu w Europie mieściło się w głowie, że dwa, wydawałoby się blisko zaprzyjaźnione, państwa mogą rzucić sobie wyzwanie. Na wszelki wypadek jednak, aby komuś nie wpadło do głowy pomagać Austriakom, niemiecki polityk zadbał, by odciągnąć największe europejskie siły od ingerowania w ten konflikt.

Z Rosją sprawa była prosta. Car Aleksander II był bardzo wdzięczny Prusom za przyjęcie konwencji Alvenslebena z 1863 r., w wyniku której Berlin wsparł Rosję w walce z polskim powstaniem styczniowym. Do Francji Bismarck wysłał ludzi, którzy zaczęli oswajać Napoleona III z wizją osłabienia Austrii, kusząc go obietnicami zgody Prus na anektowanie przez Paryż Luksemburga, Walonii czy Nadrenii. Brytyjczycy przyglądali się natomiast rywalizacji Prus i Austrii z obojętnością, gdyż z punktu widzenia Londynu konflikt ten nie miał większego znaczenia.

Gdy Bismarck oczyścił sobie przedpole, do akcji ruszyły armie dowodzone przez Helmutha von Moltkego. Najpierw Prusacy postanowili wyeliminować z gry Królestwo Saksonii i 23 czerwca 1866 r. armia pruska opanowała ten kraj, zresztą bez próby oporu ze strony Sasów. W tym samym czasie pierwsza armia pruska runęła na czeską część Królestwa Habsburgów. Towarzyszył jej kolejny spory związek taktyczny, tzw. armia Łaby pod dowództwem gen. Karla von Bittefelda. Pierwsze bitwy toczyły się ze zmiennym szczęściem. 27 czerwca Austriacy odnieśli nawet zwycięstwo pod Trutnovem, ale już następnego dnia pruskie armaty rozniosły Austriaków pod Czeską Skalicą.

29 czerwca 1866 r. doszło do decydującej bitwy pod Sadową, w której austriacka armia została zupełnie rozbita. W tym czasie inne oddziały pruskie zaatakowały Kassel oraz zajęły Frankfurt nad Menem.

Swoje zobowiązania wypełnili też Włosi i dołączyli do wojny, choć Austria zdołała pokonać ich pod Custozą 24 czerwca 1866 r. (adriatycka flota rozniosła flotę włoską w pobliżu wyspy Lissa). Niemniej wobec pogromu na północy Czech zwycięstwo we włoskiej kampanii nic Austrii nie dało. Całkowicie zawiódł, uważany niesłusznie za wybitnego wodza, austriacki gen. Ludwig von Benedek. Wojna z Prusami uwidoczniła całą anachroniczność armii habsburskiej, której sztab generalny zatrzymał się na założeniach z wojen napoleońskich. Wiedeń w końcu zrozumiał, że nie jest w stanie zatrzymać Prusaków w żaden sposób.

21 lipca Prusy pyszniły się w czasie parady zwycięstwa w miejscowości Marchweld w okolicach Wiednia. Wilhelm I upierał się wówczas, aby wedrzeć się do stolicy Austrii i urządzić defiladę przed pałacem Schönbrunn. Wtedy przed obliczem pruskiego władcy zjawił się Otto von Bismarck i zgasił zapał Hohenzollerna krótkim i treściwym żądaniem: ani kroku dalej. Kanclerz, wznosząc się na szczyty swoich perswazyjnych zdolności, wytłumaczył swemu władcy, że wygrana z Austrią potrzebna jest jedynie jako przygotowanie do zjednoczenia Niemiec. Nie wolno jednak Habsburgów zbytnio upokarzać, gdyż oba państwa na dłuższą metę będą musiały wejść w sojusz przeciwko Rosji. Pyszny władca Prus, chcąc nie chcąc, musiał powstrzymać swoje ambicje.

Bismarck był wytrawnym politykiem. Do idei sojuszu prusko-rosyjskiego był przywiązany, lecz rozumiał, że wkrótce nadejdzie jego kres, gdyż imperium Romanowów zaczęło coraz bardziej Prusom zagrażać, wchodząc w rolę protektora Słowian w Europie Środkowej. Dla Prus (a także dla Austrii) była to koncepcja zabójcza.

23 sierpnia 1866 r. dyplomaci austriaccy i pruscy podpisali pokój w Pradze. Równolegle zawarto z Włochami tzw. pokój wiedeński. Na jego mocy Włosi otrzymali Wenecję oraz prowincję Wenecja Euganejska (Veneto).

Nic już nie było takie samo

Austria, porażona klęską z Prusakami, zmuszona była pójść na ugodę z Węgrami. Stworzono formułę monarchii dualistycznej, w której Węgrzy ustanowieni zostali współgospodarzami monarchii. Znacznie gorsze efekty, zwłaszcza na dłuższą metę, przyniósł sojusz prusko-austriacki. Cesarz Franciszek Józef, władca, którego cechowały zdrowy rozsądek i mądrość polityczna, stał się młodszym bratem Prus – coraz bardziej grzęznących w szowinistycznym nacjonalizmie. Prusy rozprawiły się jeszcze z Francją w latach 1870–1871, a potem pogrążyły się w coraz większym kulcie własnej siły, rzucając wyzwanie Wielkiej Brytanii w kwestii budowy marynarki wojennej.

Pierwsza wojna światowa przyniosła decyzję dla Austrii zabójczą. Włączenie się w europejski konflikt po stronie Prus okazało się dla Wiednia katastrofą. Austria, akceptując koalicję z Hohenzollernami, popełniła gigantyczny błąd. To jasno pokazuje, że lepiej nie zdawać się na dobrą wolę kogoś, kto w wiarołomny sposób wywołał wojnę w 1866 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 40b1557dc5



Aleksandra Kołłontaj
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Rewolucja bolszewicka / Początki nowoczesnego feminizmu

Czerwona pionierka



Mikołaj Iwanow

Zazdrość i wierność były, według Aleksandry Kołłontaj, przeżytkami kapitalizmu. Zachęcała do wolnej miłości i tolerancji. Sama kierowała się jednak innymi kryteriami

Idea komunistyczna zaproponowana przez Karola Marksa wydawała się początkowo wielu intelektualistom jedynym sposobem na zbawienie ludzkości. Różne wybitne umysły poświęciły swe życie, aby zainstalować w Rosji komunizm, i wielu oddało je w czasie rewolucji październikowej, wojny domowej i innych drastycznych eksperymentów komunistycznych. Wielu także, pomimo swego fanatyzmu, zostało straconych przez swoich towarzyszy w okresie wielkiego terroru. Niektórzy, choć nadal nie wszyscy, dopiero w chwili śmierci przekonali się, jak mylne były ich komunistyczne przekonania oraz dlaczego dotychczasowi partyjni towarzysze ich zdradzili – część z nich przyłączyła się do bolszewików, wierząc ślepo w nieomylność Marksa, inni tylko dlatego, że czerpali sadystyczną satysfakcję z cierpienia innych. Zamiast ofiarowania społeczeństwu powszechnej obfitości i tolerancji komunizm zbudował rządy oparte na terrorze, nienawiści, strachu i kłamstwie. Komunizm jednocześnie wyniósł do władzy ludzi, którzy w normalnych realiach nigdy nie zyskaliby większego posłuchu. Jedną z tych postaci była Aleksandra Kołłontaj.

Nowe społeczeństwo

„W rozmowach dyplomatycznych bardzo często przechodziła z jednego języka na drugi. Na przykład z francuskiego na szwedzki albo z włoskiego na niemiecki, nawet z angielskiego na bułgarski. Czytać potrafiła we wszystkich językach europejskich. Regularnie czytała gazety niderlandzkie, rumuńskie, greckie, czeskie i polskie. W językach skandynawskich mówiła z lekkim akcentem, który robił ogromne wrażenie na Szwedach, Norwegach i Duńczykach. W swej unikatowej pamięci przechowywała dziesiątki wierszy, poematów również w wielu językach" – pisano o Aleksandrze Kołłontaj.

Kołłontaj była jedną z najbardziej niezwykłych, na swój sposób, postaci w dziejach Związku Sowieckiego. Była pierwszą kobietą, która została komisarzem ludowym (ministrem), co było nietypowe nie tylko dla Rosji, lecz także całej ówczesnej Europy. Tę piękną kobietę Włodzimierz Lenin uczynił komisarzem świadomie. Poglądy Kołłontaj dotyczące roli kobiety oraz nowego porządku społecznego szokowały zwykłych obywateli Rosji, ale taki był właśnie zamiar przywódcy bolszewików (zresztą cały program jego partii, z głównym hasłem „grab zagrabione", był szokiem dla Rosjan).

Kołłontaj prezentowała się jako jeden z czołowych ideologów partii bolszewickiej. Tuż po zakończeniu wojny domowej, w roku 1922, opublikowała artykuł na temat przyszłego społeczeństwa komunistycznego obejmującego swym zasięgiem cały świat. „Dziś 7 stycznia 1970 roku... Prawie 50 lat minęło od rewolucji październikowej. Jest uroczyście, ciepło i przyjemnie w »Domu duchowego wypoczynku«, gdzie swe ostatnie dni spędzają weterani »wielkich walk« rewolucji światowej" – pisała.

eprasa.pl 40b1557dc5



Aleksandra Kołłontaj na kongresie komunistycznym
FOT. THE BRITISH LIBRARY

W tekście z 1922 r. znalazł się opis życia społeczeństwa przyszłości, któremu nieznane są już takie pojęcia, jak wojna czy pieniądz, gdyż po zwycięstwie rewolucji światowej już nikt z nikim nie walczy. Nie istnieje również handel, ponieważ każdy dostaje wszystko według potrzeb. W nowym społeczeństwie brak też rodziny. Ludzie mieszkają w komunach podzielonych według wieku: osobno dzieci (które za rodziców mają wszystkich ludzi), osobno młodzież, osobno dorośli oraz weterani rewolucji, którzy dożywają końca w „domach duchowego wypoczynku". Członkowie komuny mają wszystko, co niezbędne do szczęśliwego życia. Każdy dorosły pracuje dwie godziny dziennie dla społeczeństwa, a resztę dnia roboczego poświęca pracy, która najbardziej odpowiada jego zainteresowaniom. „Komuna nie ma wrogów, wszystkie sąsiednie narody już zorganizowały u siebie podobne komuny i cały świat – to federacja równoprawnych komun".

Utopia ta nie wyszła spod pióra niewykształconej chłopki, lecz spod pióra arystokratki, córki carskiego generała, kobiety solidnie wyedukowanej (studiowała na uniwersytetach Zurychu i Londynie), posiadającej bardzo bystry umysł. Jak doszło do tego, że ktoś taki jak Kołłontaj stworzył tak prymitywną teorię?

Odpowiedź na to pytanie zakorzeniona jest w istocie samego bolszewizmu. Geniusz Lenina polegał na zdolności docierania do ludu poprzez prosty język i proste hasła, którymi tłumaczył sprawy bardzo skomplikowane. Aleksandra Kołłontaj była pod tym względem bardzo zdolnym uczniem Lenina. Jej propozycja stworzenia tu i teraz „raju na ziemi" była kluczem do pozyskania poparcia szerokich mas ludowych i zwycięstwa bolszewików w wojnie domowej.

Nowa kobieta

Kołłontaj była zadeklarowaną feministką (do dziś przez wiele feministek uważana jest za apostołkę „ruchu wyzwolenia kobiet"). Swoje poglądy przedstawiała m.in. na łamach bolszewickiego pisma „Prawda":

„Wyzwolona kobieta ma wychować w sobie następujące podejście do spraw życiowych:

– Zwyciężać swe emocje i kształtować w sobie dyscyplinę wewnętrzną;

– Kształtować tolerancję dla wolności i uczuć innych. Wymagając wolności uczuciowej dla siebie, nie wolno ograniczać wolności w tej dziedzinie innym;

– Nowa kobieta pragnie i szuka szacunku dla swej osoby, dla swej duszy. Nie toleruje żadnego despotyzmu w stosunkach męsko-żeńskich;

– Nowa kobieta – osoba niezależna. Nie obawia się samodzielności, docenia swą samodzielność w toku tworzenia nowego społeczeństwa, nowej roli rodziny, domu i miłości;

– Nowa kobieta nie ukrywa swej seksualności i sprzeciwia się podwójnej moralności w stosunkach z mężczyznami".

Aleksandra Kołłontaj była inicjatorką tzw. seksualnego wyzwolenia „nowej kobiety". Na łamach bolszewickiej prasy wzywała młode kobiety do odejścia od związków małżeńskich. Zazdrość i wierność były, według niej, przeżytkami kapitalizmu. Kołłontaj zachęcała do wolnej miłości i dowolnych stosunków między kobietą i mężczyzną. Zapewniała, że o wszelkie dzieci urodzone w wyniku nowych „relacji" zadba państwo sowieckie.

Jednak sama Kołłontaj w swoim życiu kierowała się zupełnie innymi zasadami. Po rewolucji bolszewickiej ta 45-letnia kobieta bez reszty zakochała się w 28-letnim bolszewiku, przywódcy Floty Bałtyckiej, Pawle Dybience. Wyszła za niego, ale związek nie trwał długo. W 1921 r. Dybienko został skierowany do Odessy, aby objąć dowództwo nad znajdującymi się w tym regionie wojskami Armii Czerwonej. Wtedy do Kołłontaj dotarła informacja, że Dybienko zdradził ją z 18-letnią kobietą. Zerwała z nim natychmiast wszystkie kontakty i się rozwiodła. Dybienko błagał ją o przebaczenie, lecz na próżno. Już nigdy się nie zobaczyli.

Nowa „miłość"

Kariera polityczna Aleksandry Kołłontaj w Rosji bolszewickiej, a później ZSRS, układała się początkowo wyjątkowo burzliwe, gdyż prawie cały czas znajdowała się ona w opozycji wobec Lenina. W marcu 1918 r., razem z Nikołajem Bucharinem i grupą tzw. lewicowych komunistów, sprzeciwiła się podpisaniu pokoju brzeskiego z Niemcami. Na znak protestu, jako komisarz do spraw opieki społecznej, podała się nawet do dymisji. Lew Trocki (ludowy komisarz do spraw wojskowych) wysłał ją wtedy na front do walki z białymi. Kołłontaj piastowała wysokie stanowisko naczelnego komisarza Armii Krymskiej i inne funkcje w Armii Czerwonej.

Po powrocie do Moskwy wróciła do łask Lenina, który mianował ją kierownikiem tzw. oddziału żeńskiego Komitetu Centralnego. W swoich rękach skoncentrowała całą machinę propagandy skierowaną do kobiet.

W 1921 r. Kołłontaj jednak znów się zbuntowała, tworząc w ramach partii grupę opozycyjną i wydając broszurę pt. „Opozycja Robotnicza", w której nawoływała do obalenia bolszewickiego kierownictwa. W swoim manifeście postulowała przekazanie kontroli nad gospodarką w ręce związków zawodo-

eprasa.pl 40b1557dc5


Problèmes communistes

LES VRAIES RAISONS DE L'ÉCHEC DE L'OPPOSITION

Nous publions ci-dessous un article d'Alexandra Kollontaï sur l'opposition en Russie.

Alexandra Kollontaï est une des militantes de la première heure du parti bolchevik. Elle connaît parfaitement le mouvement révolutionnaire russe et international.

„Prawdziwe przyczyny porażki opozycji". Wycinek prasowy z podobizną Aleksandry Kołłontaj FOT. GALLICA

wych i domagała się, aby uznano je za najwyższą formę samoorganizacji klasy robotniczej, która jako jedyna miała być zdolna do walki z kryzysem gospodarczym.

Na X Zjeździe rzuciła rękawicę samemu przywódcy bolszewików, walcząc o uznanie swojego planu budowy komunizmu. Choć próbowała obalić Lenina, to w czasie głosowania poniosła druzgocącą porażkę. X Zjazd przyjął wówczas specjalną rezolucję dotyczącą Kołłontaj i jej zwolenników pt. „O syndykalistycznej i anarchistycznej dewiacji w naszej partii", lecz Kołłontaj i tak nie złożyła broni. Mimo wszystko, choć wyruszyła jeszcze w podróż po kraju, występując na wiecach i zebraniach związkowych, w czasie kolejnego zjazdu partii, pod naciskiem Lenina, została ostatecznie zmuszona do wyrzeczenia się swych poglądów i poparcia zaproponowanej przez Lenina rezolucji „O jedności partii".

Pod koniec 1922 r. Lenin został częściowo sparaliżowany i stracił zdolność wyraźnego mówienia. Można więc przyjąć, że spór Kołłontaj z Leninem, z racji jego choroby oraz stopniowego przejmowania władzy przez Józefa Stalina, nigdy nie został zakończony.

W pierwszej połowie lat 20. Aleksandra Kołłontaj skoncentrowała się na promocji swych poglądów na temat roli kobiety w społeczeństwie komunistycznym. W 1923 r. wydała powieść pt. „Wielka miłość", w której ostro krytykowała tradycyjne postrzeganie kobiety, a małżeństwo ukazała jako przeżytek. Spod jej pióra wyszły też inne utwory literackie o podobnej treści, m.in. „Wasilisa Małygina" i „Miłość trzech pokoleń", które cieszyły się sporym zainteresowaniem czytelników.


Aleksandra Kołłontaj jako ambasador w Sztokholmie FOT. DOMENA PUBLICZNA

Źródła podają, że Stalin, jako sekretarz generalny partii, zwrócił się do Kołłontaj z prośbą o napisanie oficjalnej partyjnej broszury na temat „nowej kobiety". W odpowiedzi Kołłontaj przygotowała pracę pt. „Relacje płci i moralność klasowa", którą nie bez podstaw sowietolodzy nazywają „manifestem rewolucji seksualnej" w ZSRS. Czytamy w niej: „W przypadku klasy robotniczej większa »płynność«, mniej stała komunikacja między płciami całkowicie pokrywa się, a nawet bezpośrednio wynika z głównych zadań tej klasy". W swojej pracy Kołłontaj sprowadza relacje seksualne wyłącznie do kategorii potrzeb fizjologicznych człowieka, które nie mają żadnego emocjonalnego podłoża.

Poglądy Kołłontaj na życie seksualne i rolę kobiety w społeczeństwie jedynie na krótko, bo w pierwszej połowie lat 20., stały się oficjalną polityką państwa sowieckiego. W latach 30., w miarę budowania represyjnego ustroju totalitarnego pod wodzą Stalina, zniszczenie tradycyjnej rodziny i całkowita liberalizacja życia seksualnego nie pasowały już do obowiązującej narracji. Pozbyto się i samej Kołłontaj, wysyłając ją do pracy w dyplomacji.

Kołłontaj została ambasadorem ZSRS najpierw w Norwegii, później w Meksyku, a w końcu (w latach 1930–1945) w Szwecji. Oprócz tego regularnie wchodziła w skład delegacji sowieckiej do Ligi Narodów, aż do momentu, kiedy Związek Sowiecki został z tej organizacji wykluczony w 1940 r. z powodu ataku na Finlandię (wojna zimowa). Stalin wiedział, co robi. Kołłontaj była faktycznie wybitnie zdolna, a praca dyplomaty dawała największe możliwości wykorzystania jej umiejętności intelektualnych.

W latach wielkiego terroru prawie nikt z działaczy opozycyjnych wewnątrz partii bolszewickiej nie przeżył. Rozstrzelano też byłego męża Aleksandry Kołłontaj, Pawła Dybienkę. Stalin jednak nie zdecydował się rozprawić się z samą Kołłontaj. Dlaczego? „Ojciec narodów" prawdopodobnie doceniał wiedzę i doświadczenie Kołłontaj jako doskonałego dyplomaty. Był również pewny jej lojalności jako fanatycznej komunistki. I miał wiele racji.

W 1946 r. grupa deputowanych do parlamentu norweskiego zaproponowała kandydaturę Aleksandry Kołłontaj do Pokojowej Nagrody Nobla. Chodziło tu o znacznie więcej niż choćby o jej doskonałą znajomość języka norweskiego. W 1944 r. Kołłontaj stała bowiem na czele delegacji sowieckiej w czasie tajnych sowiecko-fińskich rozmów pokojowych w Sztokholmie. Finlandii groziły wówczas konieczność bezwarunkowej kapitulacji i sowietyzacja według scenariusza zastosowanego przez Stalina w Polsce. Oczywiście o wszystkim decydował Kreml, jednak Kołłontaj przekonała Stalina, że w interesie Związku Sowieckiego jest pozwolić Finlandii honorowo wyjść z wojny. Ponadto rządowi w Helsinkach, jej zdaniem, należało dać szansę na samodzielną ewakuację wojsk niemieckich z terytorium ich kraju. Kołłontaj argumentowała, że takie rozwiązanie przyspieszy zakończenie wojny i umożliwi przerzucenie prawie pół miliona żołnierzy sowieckich pod Berlin. To przemówiło do Stalina. Finlandia zachowała niepodległość, lecz na długie lata stała się częściowo zależna od Moskwy. W naukach politycznych pojawił się później termin „finlandyzacja", oznaczający utratę możliwości prowadzenia niezależnej polityki zewnętrznej przy zachowaniu ustroju demokratycznego wewnątrz kraju. Można powiedzieć, że „matką chrzestną" tego pojęcia była Aleksandra Kołłontaj, jedna z najbardziej kontrowersyjnych postaci na politycznej scenie ZSRS.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 40b1557dc5



Dahomejskie amazonki weteranki
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

1870–1920 / Józef Miłkowski

Polski oficer i amazonki



Marek Gałęzowski

Walczył w Dahomeju i Wietnamie, poległ w obronie Polski

W drugiej połowie sierpnia 1920 r. Wojsko Polskie rozpoczęło zwycięską kontrofensywę przeciw bolszewikom. Okazane wówczas bohaterstwo wielu żołnierzy i oficerów uhonorowano później Orderem Virtuti Militari. W licznych wypadkach niestety pośmiertnie, jak to dotyczyło jednego z poruczników 2. Syberyjskiego Pułku Piechoty, który „na czele 10-tej kompanii rzucając się do kontrataku pod wsiami Prusinowice [i] Szpice na płn. od Nasielska 17 VIII 1920 r., przerwał kilka linii nieprzyjacielskich, zagrażając poważnie całej kolumnie nieprzyjacielskiej, celnym ogniem zmusił ją do ucieczki, pędząc przeciwnika kilka wiorst, gdzie otoczony przeważającymi siłami przeciwnika bronił się bohatersko, będąc sam ranny – później ciężko ranny".

Przewieziony do Szpitala Ujazdowskiego w Warszawie zmarł tam 23 września 1920 r. Tym dzielnym oficerem był jedyny syn Zygmunta Miłkowskiego – Józef, który niemal całe swoje 50-letnie życie spędził na emigracji we Francji (i w jej azjatyckich i afrykańskich koloniach), do ojczyzny zaś wrócił jako weteran Legii Cudzoziemskiej i armii francuskiej. Jedyny najprawdopodobniej oficer Wojska Polskiego, który w swoim życiorysie miał udział w walkach z afrykańskimi amazonkami.

Potomek Tomasza Teodora Jeża

Józef Miłkowski był jedynym synem Zygmunta, pisarza występującego pod pseudonimem Tomasz Teodor Jeż, którego twórczość, wówczas ceniona i popularna, została całkiem zapomniana. Ojciec naszego bohatera znacznie bardziej trwale zapisał się jako wybitny działacz emigracji niepodległościowej. Najpierw w dobie powstania styczniowego, w którym wziął udział jako organizator wyprawy, usiłującej przez Rumunię przedostać się do walczącej Polski, co niektórym jej uczestnikom się powiodło (choć nie samemu dowódcy). Największym jednak osiągnięciem Miłkowskiego ojca, które dało mu trwałe miejsce w narodowych dziejach, było założenie w 1887 r. Ligi Polskiej i autorstwo jednej z najważniejszych prac polskiej myśli politycznej w czasach porozbiorowych – „Rzecz o obronie czynnej i o skarbie narodowym". Zaangażowany politycznie Miłkowski późno założył rodzinę, w wieku, który w tamtych czasach uchodził za bardzo dojrzały – kilka lat po czterdziestce. Józef był jego pierwszym dzieckiem i jedynym synem; w kolejnych latach Miłkowski doczekał się jeszcze pięciu córek.

eprasa.pl 40b1557dc5

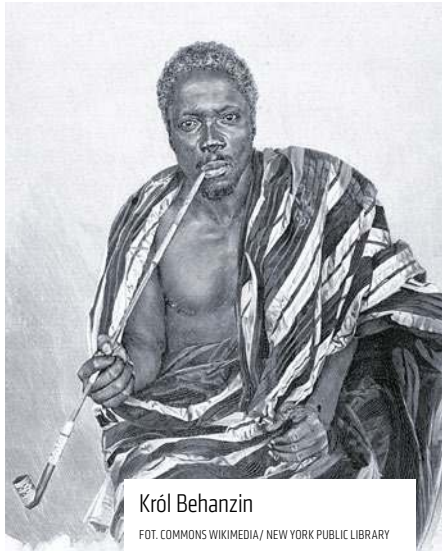
Przyszły uczestnik walk z amazonkami spędził młodość w Genewie, gdzie uczył się w gimnazjum, a po maturze w 1888 r. zaczął studia na wydziale literatury miejscowego uniwersytetu. Niedługo to trwało. Awanturnicza żyłka i żądza przygód kazały mu w pierwszych dniach 1889 r. wstąpić do Legii Cudzoziemskiej, wskutek czego wkrótce znalazł się w odległych, egzotycznych rejonach świata. Marzenie, by wstąpić do Legii, zrodziło się, kiedy jako młody chłopak zobaczył w Genewie jednego ze znajomych, warszawiaka Knopfa: „Olśnił mnie był mundur jego ze złotymi naszywkami, opowiadania i… wzięła ochota pójść za jego przykładem" – wspominał nasz bohater.

Z Legią w Wietnamie i Dahomeju

Początkowo Miłkowski został skierowany do algierskiego Oranu, gdzie odbył szkolenie wojskowe, po czym przez dwa oceany popłynął do Wietnamu, wówczas francuskiej kolonii w Indochinach. Tam, w Tonkinie, walczył z piratami, ale po pewnym czasie zachorował równocześnie na febrę oraz dyzenterię i został odesłany do szpitala w Hanoi. Kiedy wyzdrowiał, uznano, że wróci do Algierii, ale już nie jako rekrut, ale pełnoprawny żołnierz.

W lipcu 1892 r. wyruszył z Legią przez Atlantyk, na wojnę w afrykańskim Dahomeju, czyli dzisiejszym Beninie; tamtejszy władca Behanzin zdecydował się bowiem przeciwstawić francuskiej ekspansji kolonialnej. Już pierwsze starcie pokazało, że będzie to ciężka kampania, z której z 806 legionistów wróci do Europy jedynie 192, wliczając rannych i chorych. „Bitwa zawrzała na dobre", a Dahomejczykom udało się zerwać bok obozu, broniony przez piechotę morską, która zbiegła, po czym „wtargnęli ławą w sam środek obozu"; garść legionistów z trudem odparła ten pierwszy atak. „Dahomejczycy spróbowali zaatakować jeszcze nasz bok i trzeci jeszcze bok, ale odparci zewsząd cofnęli się w nieładzie, pierzchając ostatecznie przed naszym atakiem na bagnety" – pisał Miłkowski.

Co może być pewną niespodzianką dla czytelnika, przeciwnik legionistów był dobrze uzbrojony w karabiny modeli szwajcarskich, niemieckich, austriackich i francuskich, a nawet w kilka niemieckich armat Kruppa. Żołnierze Behanzina „bili się dzielnie i trudno byłoby nam im sprostać, gdyby nie dyscyplina i wyrobienie nasze wojskowe, rozum wodza naszego, a właściwie jego szefa sztabu



Król Behanzin

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/ NEW YORK PUBLIC LIBRARY

komendanta Gonard i męstwo legionu", karabiny typu Lebel, a także słaba umiejętność obsługi dział Kruppa, które – jak pisał nasz bohater – dobrze wymierzane i manewrowane „powinny były nas wszystkich, bez wyjątku, na łono Abrahama wysłać".

Amazonki króla Behanizna

Jeszcze w czasie podróży morskiej do Dahomeju legioniści rozprawiali o niespotykanej nigdzie indziej formacji wojskowej przeciwnika, tym samym budzącej zaciekawienie i naszego bohatera, którego zaczął dręczyć dylemat: „Jakże tu strzelać albo na bagnety iść… na młode i ładne kobiety! Nie może być!". A jednak co mogą zrobić te młode i ładne kobiety schwytanym legionistom, przekonali się oni później w marszu na Abomey, stolicę Dahomeju, kiedy natrafili na trupy wysłanych na rekonesans żołnierzy, których „znęcając się nad nimi w sposób nie do opowiedzenia, zamordowały".

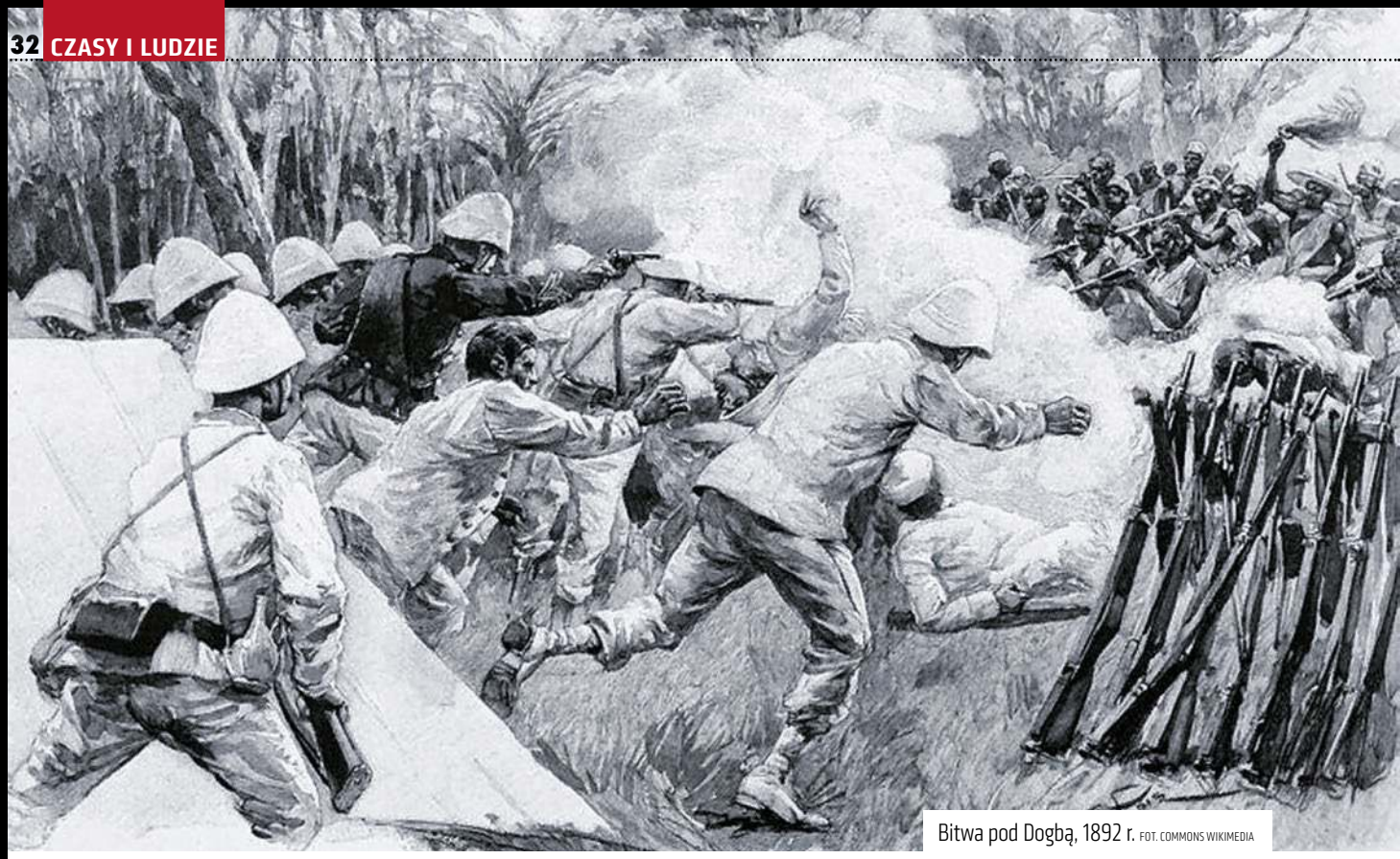
Wkrótce po tym zdarzeniu przyszło bić się legionistom, w tym Miłkowskiemu, z tą wyborową formacją dahomejskiej armii (która niedawno doczekała się filmu fabularnego na swój temat). „Miały na głowie coś w rodzaju czapek frygijskich, a ubrane były w jakieś spódniczki, kurtki, niektóre przepasane były szarfami kolorowymi. Uzbrojenie ich stanowiły krótkie szable, kordelasy lub noże, miały ładownice na proch u boku i torby na żywność. W rękach dzierżyły – spostrzegliśmy to natychmiast – doskonałe repetierowe karabinki systemu Winchester […]. Mniej więcej na środku polany wojownice zatrzymały się i rozwinęły przed nami nieregularnym frontem, strzelając do nas dorywczo, bez widocznego skutku. Przygotowywały się widocznie do rzucenia się na nas na białą broń i oczywiście obowiązkiem naszych dowódców było atak uprzedzić, komenderując ognie salwowe".

Kiedy kilka minut później Miłkowski spojrzał na pole bitwy, „tam, gdzie przed paru minutami stały frontem do nas żywe, pijane i rozwścieczone kobiety, ujrzałem wał trupów […]. Nie wiem, ile dokładnie padło amazonek na tej nieszczęsnej polanie, rachowaliśmy, tak na oko, około pięćset. Były to przeważnie młode, słuszne, tęgie, przepysznie zbudowane kobiety. Każdy rzeźbiarz by się nimi zachwycił. Cerę skóry miały w różnych odcieniach brązową […]. Obwieszone były wszystkie »gris-gris« (amulety), mającymi je ochraniać jedne od choroby, inne od głodu, od pioruna, a większość i od kul".

Już po powrocie do Francji Miłkowski dowiedział się, że na paryskich Polach Marsowych będzie można zobaczyć amazonki króla Behanzina „Jakież było moje rozczarowanie, gdy spostrzegłem od razu, że […] w niczym podobne nie były do tych, które z nami wojowały. Przemówiwszy do nich, a nauczyłem się kilkunastu wyrazów dahomejskich, przekonałem się, że miały pseudoamazonki z Dahomejem tyle wspólnego, co ja np. z Patagonią. Przypuszczam, że są to te same, które się później i w Warszawie pokazywały".

Tymczasem Francuzi szli naprzód, a ich kolejnym celem był obóz Adegon,

eprasa.pl 40b1557dc5



Bitwa pod Dogbą, 1892 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA

„ufortyfikowany potrójną linią szańców" wzniesionych przy pomocy oficerów niemieckich, a po jego zdobyciu Kana, nazywana dahomejskim Rzymem. W tym jednak momencie sojusznikiem Dahomejczyków okazał się klimat. Po całodziennym marszu legioniści założyli „obóz wokoło jakiejś opuszczonej wioski, w szczerym polu, okazało się, że nie ma wody do przygotowania jedzenia […]. Wszędzie wokoło ziemia sucha jak pieprz, nigdzie ani najmniejszego śladu wilgoci […]. Nazajutrz i na trzeci dzień maszerowaliśmy przez gęste, wysokie trawy, w upał nieznośny". Idąc tak, obserwowali liczne przyszykowane fetysze, wizerunku lokalnych bóstw, „gris-gris", które miały sprowadzić na jak by nie patrzeć – najeźdźców – dżumę, cholerę, febrę i inne plagi. „Na wieczór, trzeciego dnia tej męczarni, wyciągnąłem się na gołej ziemi z tą myślą, że już nie mam po co wstawać, ani zresztą sił do poruszania się nie miałem i leżałem, wpół na jawie i wpół drzemiąc, gdy obudził mnie okrzyk ogólny: »Burza idzie«. Burza i jaka jeszcze: najgwałtowniejsza, jaką do tego czasu widziałem, tak zwane »tornado«, druzgocące wszystko, którędy przejdzie, ale przynoszące ze sobą strumienie, rzeki całe błogosławionej, nieocenionej, najlepszej tej z najlepszych rzeczy… wody, wody!" – wspominał.

Deszcz uratował Francuzów i pozwolił dotrzeć do Ouakon, ufortyfikowanego murami ostatniego bastionu broniącego dostępu do Kany. Ouakon ostrzelano z dział, ale „pociski naszej artylerii, zamiast mury rozbijać, jakby to miało miejsce z każdym po europejsku postawionym murem, dziury tylko w nich wywiercały, padając z drugiej strony, tak że tysiące by pocisków potrzeba, aby wytworzyć wyłom. Pochodzi to stąd, że Dahomejczycy mury swoje budują z gliny, pomieszanej ze słomą siekaną. Grube i mocne, są to mury doskonałe. Zdobyliśmy wreszcie pozycję po trzygodzinnej walce, w której straciliśmy kilkunastu rannych i zabitych".

Droga do Kany stała otworem. Jednak Francuzom przyszło jednak o to miasto stoczyć ciężką bitwę z mężnym nieprzyjacielem. Z domów oraz improwizowanych barykad powitał ich potężny ogień. „Dostawaliśmy się do domów nie przez drzwi, mocno zabarykadowane, ale rozwalając ściany, wpadaliśmy do środka, kłując i tłukąc, co się napotkało, bo ranni nawet, nie mogąc się z ziemi podnieść, rękami i zębami za nogi nas łapali […]. Dnia tego [Dahomejczycy] bili się lepiej, zuchwalej i wściekliej jak kiedy bądź", ale mimo to „Rzym dahomejski wpadł ostatecznie w nasze ręce".

Teraz pozostało już tylko zdobycie Abomey – stolicy Behanzina, a Miłkowski w marszu „olbrzymią płaszczyzną, wznoszącą się bardzo łagodnie do góry" obserwował pola uprawne fasoli i krzaki, okryte „strączkami maleńkiej, czerwonej, bardzo mocnej papryki", czyli najpewniej chili. W końcu legioniści dostrzegli miasto, którego jednak król Dahomeju nie zdecydował się bronić, i – jak pisze Miłkowski – postąpił podobnie jak komendant Moskwy gen. Fiodor Rostopczyn, który podpalił dawną stolicę Rosji krótko przed wkroczeniem do niej Wielkiej Armii cesarza Napoleona I.

Jak się okazało, desperacka decyzja spalenia stolicy kraju była równoznaczna z zakończeniem wojny. Miłkowski mógł dzięki temu opuścić Dahomej i oceanem, via Wyspy Kanaryjskie, wrócić do Francji. Swoje przeżycia z tej kampanii opisał w książce „Ze wspomnień legionisty. Wyprawa dahomejska", po raz pierwszy opublikowanej w 1910 r. w Warszawie, wznowionej w ostatnich latach. „Com widział, czegom sam doznał, o tym zdaję wierną relację, wiedząc, że się w wielu szczegółach nie zgadza ona z relacjami

eprasa.pl 40b1557dc5

urzędowych w tej sprawie dziejopisów" – pisał, dając jedną z bardziej interesujących relacji o ówczesnej Afryce, o której na ziemiach polskich nie wiedziano wówczas niemal zgoła nic.



Dahomejskie wojowniczki
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Syberia i grób w ojczyźnie

Powrót do Europy zbiegł się z wysłużeniem pięciu obowiązkowych lat w Legii; zwolnienie ze służby pozwolił naszemu bohaterowi dokończyć studia i uzyskać dyplom. Krótko po tym, w lutym 1895 r., wstąpił do armii francuskiej i został przydzielony do pułku na Madagaskarze, a następnie milicji, której przewodził w dwóch okręgach tej wyspy. Brał udział w walkach z krajowcami – „w wielu potyczkach i wyprawach, za licznych do wymieniania". W lutym 1900 r. został przeniesiony do rezerwy. Za służbę w Legii Cudzoziemskiej i w armii francuskiej otrzymał m.in. Medal Dahomeju, Gwiazdę Beninu, Medal Madagaskaru. Służył jeszcze we francuskiej administracji kolonialnej na Madagaskarze, po czym wrócił do Paryża, gdzie mieszkał w następnych latach, publikując w polskich i francuskich czasopismach. Nie założył rodziny. Wiadomo, że w bliżej nieokreślonym czasie przed pierwszą wojną światową przynajmniej raz przyjechał do kraju, do Warszawy.

Po wybuchu wojny wrócił do służby w Legii Cudzoziemskiej i wziął udział w wojnie z Niemcami na froncie zachodnim. 22 grudnia 1914 r. został ciężko ranny w głowę podczas walk nad Sommą, „kiedy prowadził swój pluton do ataku, nie przestał nim dowodzić i nie pozwolił się znieść z placu boju, dopóki nie zostało wykonane powierzone mu zadanie". Wyleczywszy się, jeszcze dwa lata spędził na froncie, by w marcu 1917 r., po blisko ćwierćwieczu, wrócić do garnizonu francuskiego w Tonkinie. Wkrótce, wskutek wyczerpania długoletnią służbą, został oddany do dyspozycji ministra wojny. Pozostał jednak w Wietnamie i tam jesienią następnego roku na własne życzenie przeszedł do 16. pp kolonialnej w chińskim Tiencin. Było to spowodowane jedynie tym, że tą drogą mógł dotrzeć do oddziałów polskich, formowanych na Syberii – jako dowódca eskorty pociągu z przeznaczoną dla nich amunicją.



Francuskie odznaczenie Medaille du Dahomey
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Przybywszy tam 8 stycznia 1919 r., tego samego dnia zrzekł się obywatelstwa francuskiego i odszedł z armii francuskiej. I tego też dnia wstąpił do I batalionu strzelców im. Tadeusza Kościuszki. Później służył jako dowódca karabinów maszynowych pociągu pancernego „Poznań 2" w Dywizji Syberyjskiej płk. Waleriana Czumy, która dążąc do powrotu do kraju, w ciężkich walkach z bolszewikami przedzierała się przez Syberię. Był wśród tych, którzy uniknęli czerwonej niewoli i przez wschodnią Syberię oraz oceany dotarli na czas do Polski, by wziąć udział w wojnie z najazdem sowieckim.

Spoczął w końcu w ziemi ojczystej, na Powązkach, w grobie rodziny Stanisława Weila, chemika i farmaceuty, profesora Uniwersytetu Warszawskiego, zamordowanego w czasie powstania warszawskiego przez Niemców. Weil był mężem przedwcześnie zmarłej siostry Józefa, Marii. Dodajmy, że w tym grobowcu spoczywają też znany historyk Adam Lewak (szwagier Weila) i druga z sióstr porucznika Miłkowskiego – Helena.

Józef Miłkowski był dumny ze służby w Legii, którą uważał za niezwykłe i niebanalne wojsko, chociaż nie rekomendował jej rodakom (mającym tam zresztą opinię dobrych żołnierzy), ponieważ „niewielki jest procent tych, którym się uda wykpić z tych imprez na czysto". Podobnie z poświęceniem traktował swoją służbę w armii francuskiej. Jednak kiedy tylko nadarzyła się możliwość służby odrodzonej ojczyźnie, ten stary, zmęczony trudami licznych kampanii żołnierz nie wahał się, by zrzucić obcy mundur i obce obywatelstwo, i stanąć pod sztandarem polskiego wojska, co było marzeniem pokolenia jego ojca. Daleka była jeszcze droga do Polski.

Weteran walk z amazonkami przybył tam jednak na czas, kiedy jej niepodległy byt ważył się w wojnie z bolszewikami, by znaleźć się wśród tych, którym zawdzięczała ona swoje ocalenie. I właśnie ten wybór sprawił, że wybitny tłumacz i towarzysz syberyjskiej tułaczki Józef Birkenamjer mógł napisać, że Józef Miłkowski był jednym z „dwóch bohaterów poległych [w wojnie z bolszewikami, których] żałowano szczególnie".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, pracownikiem Biura Edukacji Narodowej IPN.

eprasa.pl 40b1557dc5



Nikita Chruszczow (z lewej) i Władysław Gomułka (z prawej) w Łańsku, 1964 r. FOT. MARIUSZ SZYPERKO/CAF/PAP

PRL / Dolce vita czerwonych dygnitarzy

Wczasy w Łańsku i Arłamowie



Sławomir Koper

Najważniejszymi ośrodkami wypoczynkowymi komunistycznej elity były Łańsk na Warmii oraz Arłamów w Bieszczadach. Jak wszystko w czasach PRL było to tajne przez poufne i oficjalnie te enklawy nie istniały na mapach. Łańsk określano kryptonimem W–1, a Arłamów W–2

Chociaż pierwszy z tych ośrodków do dzisiaj uchodzi za symbol komunistycznego luksusu, to jego kariera zaczęła się jeszcze przed drugą wojną światową. W tutejszych lasach chętnie polował marszałek von Hindenburg, często bywał także Herman Göring, który pełnił funkcję premiera Prus. Zatrzymywał się w miejscowej leśniczówce z pruskiego muru, która stała na miejscu obecnego budynku o nazwie Puszcza.

Na Łańsk zwróciło uwagę otoczenie Bolesława Bieruta i na początku lat 50. postanowiono stworzyć tam ośrodek rządowy. Ogrodzono setki hektarów puszczy, wysiedlając i burząc okoliczne wsie. Do leśniczówki dobudowano skrzydło, a z czasem prominenci zaczęli wznosić własne budynki. Pojawił się również budynek koszarowy, gdyż w Łańsku stacjonowała kompania wojska, której zadaniem była ochrona dygnitarzy. Na polecenie Władysława Gomułki powstał również 25-metrowy basen.

Do Łańska zapraszano też gości zagranicznych odwiedzających nasz kraj, i to nie tylko przywódców „bratnich" krajów, lecz także koronowane głowy. Kilka raz Łańsk odwiedził szach Iranu, a pozostałością po wizycie premiera Finlandii były domki fińskie, które dostojnik podarował ośrodkowi.

Szokujący komfort

Szczególnie lubił Łańsk Józef Cyrankiewicz, który zasłynął z organizowanych tam wykwintnych imprez. Na stołach pojawiały się kawior, łosoś, francuski koniak. Wprawdzie jego żona, Nina Andrycz, twierdziła, że premier „jadł bardzo skromnie, lubił zwykłą polską kuchnię, bigos, śledzia, żadnych cudów, żadnych szampanów", ale nie było to prawdą. Cyrankiewicz był sybarytą i nawet przemawiając w Sejmie, popijał tonik Schwepps, co w czasach siermiężnego komunizmu było wyrafinowanym luksusem. A kiedy podczas jednego z przyjęć w Łańsku zameldowano mu, że niebawem w ośrodku pojawi się Władysław Gomułka, Cyrankiewicz natychmiast zareagował. Ze stołów zniknęły zagraniczne specjały, a w zamian pojawiły się kaszanka, ser

eprasa.pl 40b1557dc5

i kawa zbożowa. Pierwszy sekretarz był ascetą i nie znosił żadnego luksusu.

„Cyrankiewicz wystawił sobie dom w Łańsku – wspominała w rozmowie z autorem Małgorzata Spychalska, córka Mariana Spychalskiego. – Nie wiadomo jednak, dlaczego akurat uznał, że architektura góralska będzie najbardziej odpowiednia. Ciekawie to kontrastowało z dawną leśniczówką Göringa".

Wbrew powszechnym opiniom nie było jednak oddzielnej sali kinowej dla prominentów. Filmy wyświetlano bardzo często, ale w głównej sali największego budynku.

„Zasłaniano okna – kontynuowała Spychalska – i wieszano ekran. Filmy były bardzo różne, w dużej części takie, które nie trafiały do normalnych kin czy telewizji. Nie brakowało jednak obrazów radzieckich i z innych państw bloku wschodniego".

Mieczysław Rakowski po raz pierwszy pojawił się w Łańsku u boku Józefa Cyrankiewicza. Panujący tak komfort wprawił go w osłupienie:

„Gierek rozszerzył grono osób, które mogą z tego ośrodka korzystać. Byłem tam po raz pierwszy. Zobaczyłem niemal oazę, przedsionek bądź też pełny raj. JC [Józef Cyrankiewicz – przyp. red.] mieszka w wili, taras wychodzi na przepiękne jezioro. Willa jest superluksusowa. Jedzenie jest niesłychanie obfite i wytworne, usługują dwie kelnerki. Artek [syn Rakowskiego – przyp. red.], który był ze mną, poszedł kąpać się do basenu. Obsługiwano go jak panicza z najlepszego domu. Zdumiony pytałem JC, kto za to wszystko płaci? Państwo? Odpowiedział, że Łańsk. Nie jestem przeciwnikiem takich ośrodków dla rządzących, ale uważam, że luksus, jaki tam panuje, jest stanowczo za duży. Teraz rozumiem, dlaczego członkowie Biura Politycznego, którzy z niego korzystają, tak bardzo dbają o swoje stołki w Biurze. Inaczej mówiąc, cały system przywilejów przykuwa towarzyszy do foteli".

Opinia Rakowskiego odbiega od relacji Ariadny Gierek bagatelizującej w wydanej niedawno książce luksus otaczający prominentów. Była synowa pierwszego sekretarza zdecydowanie mijała się z prawdą, opisując ośrodek w Łańsku:

„Luksus? Jak w starej leśniczówce. W drzwiach nie ma złotych klamek, nie podają tu krewetek ani kawioru, raczej ryby łowione z jeziora. Cisza i spokój. Nuda. Spacery pod okiem ochrony, sztywne podwieczorki, kolacje, pokazy zachodnich filmów".

Polscy komuniści wprowadzili własny ceremoniał wzorowany na rozwiązaniach sowieckich i obserwacja warunków letniego wypoczynku przynosiła niezwykle ważne informacje. Panowała ścisła hierarchia, a największy luksus przypadał aktualnym ulubieńcom władz. „W Łańsku wszystko oceniało się po zakwaterowaniu – uważała Karyna Andrzejewska, druga żona Jerzego Urbana – czy miał apartament, czy tylko pokój z łazienką, czyli rybaczówkę, czy apartament w domu nad samym jeziorem". Gorsza kwatera niż w poprzednim sezonie oznaczała niełaskę. Bez problemu lokalizowano upadające gwiazdy i nowych wybrańców fortuny. W czasach Wojciecha Jaruzelskiego wprowadzono jednak odpłatność za pobyt w ośrodku.

„[Wszystko] było zhierarchizowane – tłumaczył Jerzy Urban – ale ja korzystałem z najwyższego standardu, dla samej góry. Mieszkałem np. w apartamentach w Łańsku, podczas gdy jako zwykły wiceminister powinienem dostać miejsce w położonym 12 km dalej hotelu. Płaciło się za to wcale nie symbolicznie, ale porównując standard – względnie mało".

Bieszczadzkie eldorado

U schyłku lat 60. w Bieszczadach rozpoczęto budowę Ośrodka Wypoczynkowego Rady Ministrów w Arłamowie. Zajmował on ogrodzony obszar o powierzchni 30 tys. ha, a przylegało do niego następne 40 tys. To niemal o połowę więcej niż teren dzisiejszej Warszawy! Ośrodek otoczono płotem o długości 120 km, w którym zlokalizowano pochylnie umożliwiające dostęp zwierzyny. Oczywiście teren był pilnie strzeżony, nikt nie mógł się tam pojawić bez specjalnego zezwolenia, a ochronę zapewniały jednostki MSW. Na terenie ośrodka powstał luksusowy hotel dla partyjnych notabli, niebawem zresztą uznano, że Arłamów jest jednak zbyt mały (!), i w 1973 r. dołączono do niego ośrodek w pobliskiej Trójcy. W ekspresowym tempie zbudowano drewniane wille w zakopiańskim stylu, a inwestycję prowadzono metodami charakterystycznymi dla epoki.

„W Trójcy – wspominał kierownik budowy Witold Augustyn – od początku prowadzono budowlaną partyzantkę. Wszystko musiało być zrobione na wczoraj […]. Dowożone świerki, z których ciekła woda, natychmiast przecierano i stawiano z nich ściany, co było kardynalnym błędem. Skutkiem tego wysychające płazy ścienne wykręcało w różne strony. Kosztowało to masę pieniędzy, lecz kto wtedy z decydentów liczył się z publicznymi pieniędzmi?". Stropy układano ze specjalnie dobieranych desek modrzewiowych, gdyż „premier Jaroszewicz uwielbiał modrzew, ale bez sęków". Aby zapewnić stałe dostawy



Willy Brandt i Edward Gierek w Łańsku, 1977 r.
FOT. LESZEK ŁOŻYŃSKI/PAP

eprasa.pl 40b1557dc5

prądu (ze względu na warunki pogodowe w Bieszczadach często zdarzały się awarie), zbudowano elektrownię o mocy 150 kilowatów, a na terenie dawnej wsi Krajna powstało betonowe lotnisko. Arłamów stał się dla komunistycznych notabli prawdziwym myśliwskim eldorado. Nie tylko zresztą dla nich, polowali tam również szach Iranu, król Belgii oraz prezydent Francji. Pobyt umilała gościom góralska kapela, tańczył zespół ośmiu dziewcząt z Podhala.

Za największego miłośnika bieszczadzkich łowów uchodził Piotr Jaroszewicz. Zawsze wychwalał wyższość miejscowego jelenia nad mazurskim, ale prawdziwą ambicją premiera stało się upolowanie niedźwiedzia. Gatunek był w Polsce prawnie chroniony, jednak wydawano zezwolenia na odstrzał pojedynczych osobników powodujących szkody w gospodarstwach. Oczywiście zdarzały się nadużycia i naginano przepisy, aby partyjnym bonzom zapewnić rozrywkę. Jaroszewicz trzykrotnie zasadzał się na niedźwiedzia. Jeszcze jako wicepremier postrzelił potężnego misia w łapę, ale ranne zwierzę wymknęło się tropiącym, przechodząc na sowiecką stronę. Trzy lata później padło ofiarą miejscowych myśliwych, a rozpoznano je po niemal urwanej przedniej kończynie. Wiosną 1967 r. Jaroszewicz zasadził się na niedźwiedzia wspólnie z nadleśniczym Władysławem Peperą. Panowie strzelili równocześnie, niedźwiedź padł, ale okazało się, że zwierzę powalił pocisk leśnika. Sukces przyniosło dopiero trzecie polowanie, kiedy premierowi towarzyszył zarządca Arłamowa, płk Kazimierz Doskoczyński. Niedźwiedź ważył blisko 400 kg.

Towarzyszka Stasia

O żonie I sekretarza, Stanisławie Gierek, opowiadano najrozmaitsze historie. Propaganda partyjna tworzyła legendę skromnej żony górnika, którą najbardziej cieszyły domowe sprawy, natomiast w społeczeństwie krążyły opowieści o cotygodniowych lotach do Paryża do fryzjera czy zakupach odzieżowych w Wiedniu. Inna sprawa, że towarzyszka Stanisława raczej nie przepadała za rządową willą w podwarszawskim Klarysewie, która była siedzibą I sekretarza PZPR. Ale w zamian dobrze czuła się w Łańsku czy Arłamowie, a po przejęciu przez państwo ośrodka w Mucznem w Bieszczadach osobiście ustalała zakres remontu. A Edward potulnie się z tym zgadzał, podobno zresztą bardziej od żony bał się tylko Leonida Breżniewa…



Pułkownik Kazimierz Doskoczyński, komendant ośrodków rządowych w Łańsku i Arłamowie FOT. WIKIPEDIA

Krytyka małżonki I sekretarza nasilała się wraz z postępującym kryzysem gospodarczym. Po wprowadzeniu kartek na cukier (oficjalnie: bonów towarowych) złośliwie nazywano ją „Boną Cukrową". A do pani Stanisławy wciąż nic nie docierało i zachowywała się tak, jakby żyła w innym świecie. Podczas obchodów pierwszomajowego święta w 1980 r. stała na trybunie obok męża i „szalenie rozbawiona rozrzucała wśród publiczności kwiaty". Następnie cała ekipa partyjno-rządowa poleciała do Mucznego na uroczysty obiad, aby po trzech godzinach powrócić do Warszawy. A za niespełna dwa miesiące w kraju wybuchły strajki, które zmiotły ekipę towarzysza Gierka.

Łowieckie ambicje komunistycznych prominentów wywoływały najdziwniejsze plotki niemające nic wspólnego z rzeczywistością. Wprawdzie polowano dużo i często, ale nie masakrowano zwierzyny ze śmigłowców za pomocą broni maszynowej, jak szeptano w kraju. Bardziej prawdopodobna jest historia opowiadająca o sposobach rozładowywaniu chandry przez płk. Doskoczyńskiego.

„Lubił zwłaszcza [polowania] na lisy – opowiadał Zdzisław Cichowski – ale był zbyt otyły i leniwy, żeby wysiadać z auta. Służyłem mu za podpórkę. Uchylałem szybę, kładłem głowę na kierownicy, a on opierał lufę o mój kark i strzelał. I jeszcze się przy tym śmiał, ostrzegając, bym się nie ruszał, bo może spudłować i ustrzelić mi mój łeb. A pod siedzeniem leżała metalowa rurka. Jak stary zranił lisa i ten nie mógł uciekać, to miałem iść z tą rurką i wprawnym uderzeniem skrócić zwierzęciu męki".

Kazimierz Doskoczyński był dawnym ochroniarzem Bieruta, ciężko rannym podczas zamachu na pryncypała. Za zasługi został szefem ośrodka w Łańsku, a następnie przeniesiono go do Arłamowa. W Bieszczadach zachowywał się jak udzielny książę, to on nadzorował rozrywki prominentów. Bywał agresywny, nie liczył się z podwładnymi, ale dbał o powierzony mu teren. A na brak partyjnych gości Doskoczyński nigdy nie narzekał. I chociaż w epoce Gierka notable spędzali święta na ogół w Łańsku, to raz na Boże Narodzenie pojawili się w Bieszczadach. Jak przysięgali naoczni świadkowie, Gierek i Jaroszewicz podzielili się z rodzinami opłatkiem, a potem wspólnie kolędowali (chociaż na co dzień deklarowali ateizm). Ale – jak zauważył z nostalgią Józef Tejchma – nie był to wcale wyjątek wśród partyjnych dygnitarzy: „Po zjeździe są święta. Po świętach Nowy Rok. Po Nowym roku Trzech Króli. Lubimy to wszystko, choć jesteśmy tzw. komunistami".

Zresztą Gierek i jego ekipa daleko odeszli od walki z religią, a szukając popularności, pogodzili się z dominującą pozycją Kościoła katolickiego. Władze zdecydowanie unikały konfliktów z Kościołem, chociaż zderzenie odmiennych światopoglądów przynosiło czasami humorystyczne efekty. Józef Tejchma, jako minister kultury, zamówił kiedyś u sędziwej artystki wiejskiej obraz przedstawiający Lenina, który miał zawisnąć w jednej z głównych sal ośrodka w Arłamowie. Władza musiała przecież popierać twórczość ludową:

„Jedna ze starych malarek poproszona została o namalowanie czegoś na temat Lenina. Nie wiedziała, o co chodzi. Po wyjaśnieniu zrozumiała, że chodzi o dobrego człowieka, i namalowała Lenina modlącego się do Matki Boskiej".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

BIBLIOGRAFIA:

Andrzejewska K., **„Urban… Byłam jego żoną";**
Potaczała K., **„Bieszczady w PRL";**
Rakowski M.F., **„Dzienniki polityczne 1969–1971";**
Urban J., **„Jajakobyły. Spowiedź życia Jerzego Urbana".**

eprasa.pl 40b1557dc5

Już 28 listopada w „Do Rzeczy” dodatek



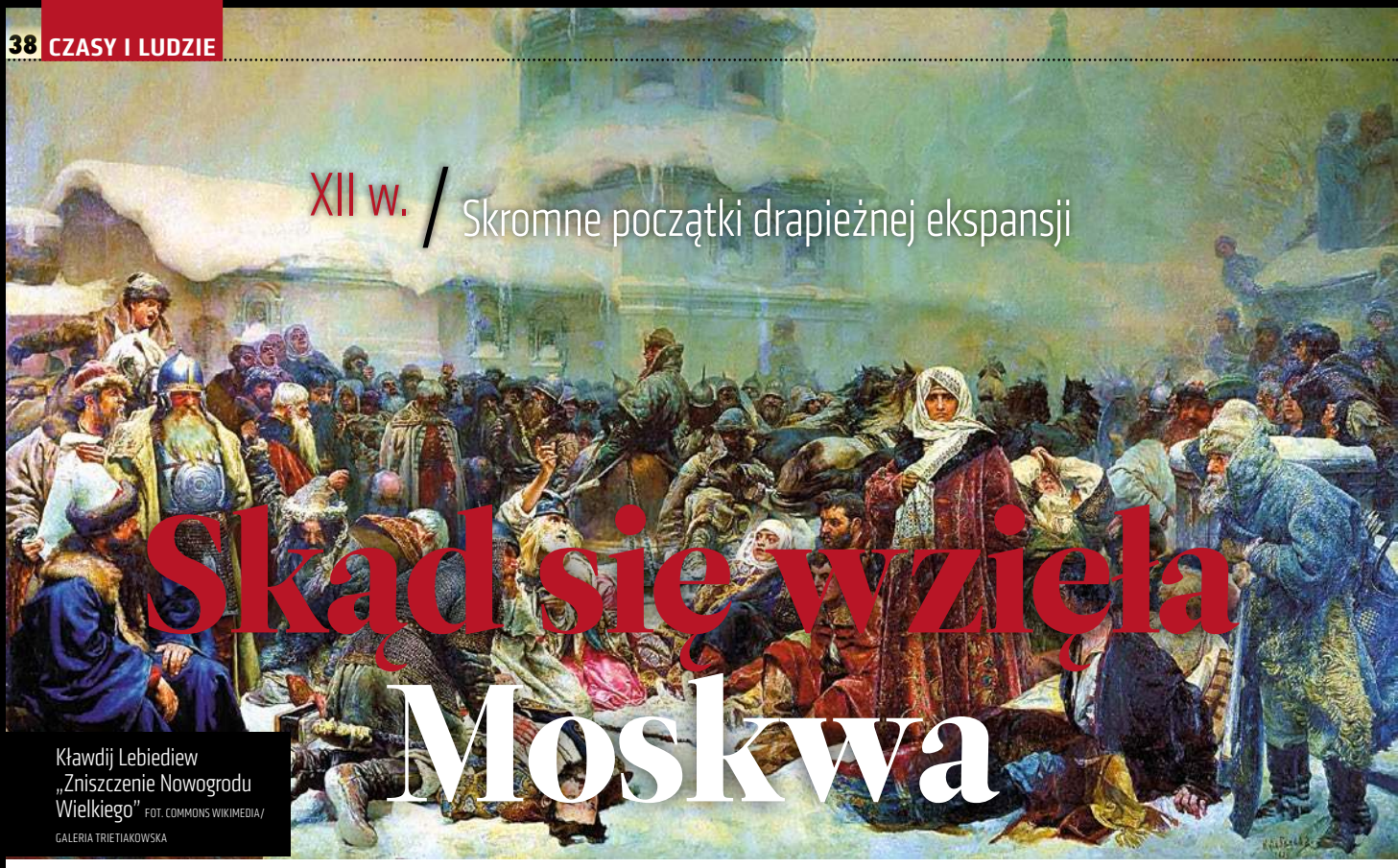
WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

Fundusz Sprawiedliwości

funduszsprawiedliwosci.gov.pl

Ministerstwo Sprawiedliwości

eprasa.pl 40b1557dc5



XII w. / Skromne początki drapieżnej ekspansji

Skąd się wzięła Moskwa

Kławdij Lebiediew „Zniszczenie Nowogrodu Wielkiego" FOT. COMMONS WIKIMEDIA/ GALERIA TRIETIAKOWSKA



Maciej Pieczyński

Równo cztery wieki po tym, jak po raz pierwszy usłyszał o niej świat, stała się stolicą cesarstwa, największego państwa świata. W jaki sposób niewielkie księstewko wyzwoliło od Tatarów, a następnie zniewoliło większość ziem ruskich? Jak Moskwa stała się „trzecim Rzymem"?

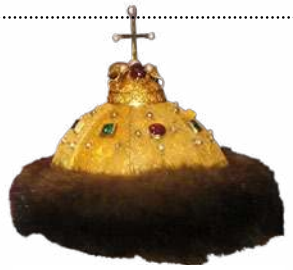
„Przyjedź do mnie, bracie, do Moskwy" – tymi słowami kniaź Jurij Dołgoruki miał zapraszać na ucztę jednego ze swoich sojuszników. Tak brzmi pierwsza w historii wzmianka na temat przyszłej stolicy Rosji, zapisana w „Latopisie Hipackim" (czyli w jednej ze staroruskich kronik) pod rokiem 1147. Jest to symbolicznie przyjęta data założenia Moskwy. Najprawdopodobniej jednak już wcześniej tereny te były zasiedlone. Nad rzeką Moskwą położona była posiadłość bojara Kuczki, którą miał rzekomo przejąć Jurij Dołgoruki, a samego możnowładcę – zamordować. Po tej historii został ślad w topografii miasta. Jedną z dzielnic nazwano Polem Kuczkowym. Jednak Moskwa jako miasto w pełnym tego słowa znaczeniu powstała jeszcze później – dopiero w 1156 r. wybudowano gród, otoczony wałem ziemno-drewnianym.

Dzisiejsza Moskwa na arenie dziejów pojawiła się zatem dopiero w połowie XII w. W tym czasie Kijów był już potężnym miastem z mnóstwem cerkwi, stolicą państwa ruskiego. Czyli kolebki trzech wschodniosłowiańskich narodów. Jeśli wierzyć latopisom, to pierwszą siedzibą książąt był co prawda Nowogród Wielki (dziś Federacja Rosyjska), jednak już po 20 latach dwór przeniósł się nad Dniepr. Kijów zyskał zaszczytne miano „matki grodów ruskich". Dlaczego więc ostatecznie został pokonany przez jedno ze swoich najmłodszych „dzieci"? Jak to się stało, że w kilka wieków z niewielkiej osady Moskwa urosła do rangi centrum przyciągania ziem ruskich, stolicy największego państwa świata, a nawet „trzeciego Rzymu"?

Cena jarłyku

Już w XI w. Ruś zaczęła rozpadać się na coraz bardziej niezależne od centrum dzielnice, które toczyły ze sobą zażarte walki. Prestiż Kijowa jako siedziby wielkiego księcia upadał. Na znaczeniu zyskiwała Ruś Północno-Wschodnia, na której terenie założona została Moskwa. Zanim stała się stolicą, tę rolę pełniły kolejno Rostów (nie ten nad Donem), Suzdal i Włodzimierz nad Klaźmą. Pierwszym oddzielnym władcą księstwa włodzimierskiego był wspomniany już Jurij Dołgoruki. Dwukrotnie zdobywał Kijów, a wraz z nim – wtedy jeszcze prestiżowy – tytuł wielkiego księcia kijowskiego. Jego syn i następca Andriej Bogolubski

eprasa.pl 40b1557dc5



Czapka Monomacha FOT. COMMONS WIKIMEDIA/J-F RAFFIN/PALAIS DES ARMURES

doprowadził do przełomu w rywalizacji między Kijowem a Rusią Północno-Wschodnią. Podobnie jak ojciec zdobył gród nad Dnieprem. Inaczej jednak niż Dołgoruki nie zamierzał tytułować się wielkim księciem kijowskim. Kazał się uznać władcą całej Rusi, ale stolicę państwa przeniósł na północny wschód. Jako pierwszy w historii przyjął tytuł wielkiego księcia włodzimierskiego.

Rozdrobnienie feudalne ułatwiło zadanie Tatarom, którzy w pierwszej połowie XIII w. z łatwością podbili podzieloną i wewnętrznie skłóconą Ruś. Najeźdźcy pozostawili u władzy poszczególnych książąt, zmuszając ich do płacenia wysokich danin i brutalnie karząc wszelkie objawy nieposłuszeństwa. Stosowali taktykę „dziel i rządź", decydując o tym, kto otrzyma jarłyk, czyli prawo do tytułowania się księciem. Poszczególni władcy zaciekle walczyli ze sobą o względy najeźdźców. Przyjeżdżali do Saraju, czyli stolicy Złotej Ordy (państwa Tatarów), i przekupywali chana drogocennymi podarkami. Kijów, zrównany z ziemią podczas najazdu, ostatecznie stracił swoje polityczne znaczenie. Najważniejszy był jarłyk na tytuł wielkiego księcia włodzimierskiego, pozwalający zgłaszać pretensje nie tylko do ziem północno-wschodnich, lecz także do całej Rusi.

Dość popularne jest przekonanie, że rosyjski despotyzm uformował się pod wpływem jarzma tatarskiego i że państwo moskiewskie to tak naprawdę polityczna kontynuacja tradycji Złotej Ordy. „Korona" carska, czyli czapka Monomacha, według legendy podarowana przez bizantyńskiego imperatora, to w rzeczywistości nakrycie głowy tatarskiego murzy, a sam tytuł cara jest raczej odpowiednikiem godności chana niż cesarza wschodniorzymskiego. Jednak system, w którym władca sprawuje nieograniczone, jednoosobowe rządy nad swoimi „chołopami" (niewolnikami), uformował się już za Dołgorukiego i Bogolubskiego. Na despotyczną władzę książąt włodzimierskich nałożyła się dodatkowa instancja despotycznej władzy chanów. Tatarzy nie tyle wymyślili, ile udoskonalili rosyjski despotyzm.

Pod ich rządami Ruś popadała w coraz większe rozdrobnienie. Dzieliła się na coraz mniejsze prowincje. To była szansa również dla grodu nad rzeką Moskwą. Pierwszym władcą księstwa moskiewskiego został w 1263 r. Daniel, syn Aleksandra Newskiego. Nowa prowincja szybko rosła w siłę. Moskwa położona była na skrzyżowaniu trzech szlaków handlowych. Sprawną wymianę towarów ułatwiała gęsta sieć rzeczna, poprzez Moskwę i Okę łącząca ten obszar z terenami nadwołżańskimi. Ponadto nowemu księstwu sprzyjało położenie w samym centrum ziem ruskich. Nie zajmując pozycji granicznej, Moskwa w niewielkim stopniu była narażona na niebezpieczeństwo ze strony Tatarów, od których oddzielały ją ziemie Mordwinów i księstwo riazańskie. W takich warunkach prężnie rozwijała się gospodarka. Szczególnie rolnictwo, które na całej Rusi Włodzimierskiej miało bogate tradycje. Nie było problemu z siłą roboczą. Książąt moskiewskich stać było na to, aby wykupywać z niewoli tatarskiej jeńców ruskich i osadzać ich w swoich włościach. Z sąsiednich dzielnic, spustoszonych przez najazdy tatarskie, kolejni władcy bez trudu sprowadzali „imigrantów zarobkowych", a także bojarów, którzy chętnie przyjmowali służbę u księcia moskiewskiego w zamian za ziemię. Daniel znacznie poszerzył granice młodego państwa, przyłączając kolejne grody zarówno drogą zbrojną, jak i dyplomatyczną.

Dola Kality

Na przełomie wieków XIII i XIV, czyli dość szybko, Moskwa podjęła walkę o panowanie nad całą Rusią Włodzimierską. Jedynym poważnym rywalem, wobec upadku innych dzielnic, było również młode, za to potężne księstwo twerskie. Pod względem położenia miało ono warunki rozwoju wcale nie gorsze niż Moskwa. W pierwszej fazie konfliktu Twer był górą. Jarłyk wielkoksiążęcy otrzymał książę twerski Michał. Jerzy Moskiewski, syn i następca Daniela, nie dawał za wygraną. Wyprawił się do Saraju. Przebywał tam przez dwa lata, budując swoją pozycję na dworze tatarskiego władcy i obsypując go podarkami. Ostatecznie kupił jego przychylność. Dostał nie tylko jarłyk wielkoksiążęcy, lecz także rękę Konczaki, siostry chana Uzbeka. Mając takie poparcie, postanowił ostatecznie rozprawić się z Twerem. W bitwie z wojskami Michała poniósł jednak ciężką klęskę. Nie wiadomo dlaczego, ale na wojnę zabrał ze sobą Agafię (takie imię na chrzcie otrzymała Konczaka), która dostała się do twerskiej niewoli i tam zmarła. To zaś dostarczyło Jerzemu potężnego argumentu w sporze z rywalem. Ruszył do Saraju, aby donieść Uzbekowi, jak to książę twerski otruł jego siostrę.



Orzeł z herbu Bizancjum został przejęty przez Wielkie Księstwo Moskiewskie FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Chan wezwał Michała do siebie i ukarał go śmiercią. Zgodnie z żelazną zasadą tatarskiej polityki Uzbek nie zamierzał jednak nadmiernie wzmacniać pozycji jednego z księstw, dlatego odebrał jarłyk Jerzemu i przekazał Dymitrowi, następcy Michała na tronie twerskim.

Pewnego razu obaj przypadkiem spotkali się w Saraju. Dymitr, nieprzypadkowo noszący przydomek Groźne Oczy, pomścił ojca i zamordował Jerzego. Złota Orda chętnie skłócała ze sobą książąt, ale samosądów nie tolerowała. Dlatego Dymitr poniósł karę śmierci. Jarłyk pozostał w Twerze, w rękach brata Dymitra, Aleksandra. Z nim już rywalizował syn Jerzego, Iwan Kalita. Do walki o władzę wykorzystał Złotą Ordę. Gdy w Twerze wybuchł bunt przeciwko Tatarom, Kalita lojalnie poinformował o tym chana Uzbeka i zaproponował swoją pomoc. Dostał

eprasa.pl 40b1557dc5



Adolphe Yvon „Bitwa na Kulikowym Polu"

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/GRAND KREMLIN PALACE

zgodę na rozprawę z Twerem. Spustoszył gród i księstwo. Aleksander uciekł. Dzięki temu w 1328 r. Iwan Kalita został wielkim księciem włodzimierskim.

Niedługo potem osiągnął kolejny sukces. Chan postanowił upoważnić księcia moskiewskiego do zbierania w jego imieniu danin z całej ziemi ruskiej. Nadając władcy jednego z księstw tak wielkie uprawnienia, chan de facto złamał zasadę „dziel i rządź". Wraz z daniną dla Ordy Kalita egzekwował od książąt dolę dla siebie. Ponadto zyskał nieograniczone możliwości ingerowania w sprawy wewnętrzne poszczególnych księstw. Uzależniał od siebie kolejnych władców, przejmował albo kupował ich ziemie, a opornych pozbywał się przy pomocy Tatarów. Taki los spotkał również Aleksandra. Gdy po 10 latach wrócił z wygnania, wybrał się do Saraju i wynegocjował na powrót księstwo twerskie. Kalita nie zamierzał czekać na wzmocnienie rywala. Również pojechał do stolicy Złotej Ordy i przekonał chana Uzbeka, że Aleksander zasługuje na karę śmierci.

Choć w połowie XIII w. Kijów stracił miano stolicy Rusi, to jeszcze przez pewien czas pozostawał stolicą jedynej na tym terenie metropolii prawosławnej. Zniszczone przez Tatarów miasto przestało być jednak atrakcyjną siedzibą dla hierarchów cerkiewnych, którzy od 1299 r. przebywali we Włodzimierzu. Również pod tym, bardzo istotnym dla ówczesnej polityki względem punkt ciężkości przenosił się z Kijowa na północny wschód. Iwan Kalita zaś przeniósł siedzibę metropolii z Włodzimierza do Moskwy, która tym samym stała się religijnym centrum Rusi. Wciąż jednak symbolicznie odwoływano się do „matki grodów ruskich". Hierarchowie, urzędujący w Moskwie, tytułowali się „metropolitami kijowskimi i całej Rusi".

Kryzys Złotej Ordy

Następcy Iwana Kality na tronie księcia moskiewskiego musieli za każdym razem prosić chana o jarłyk na wielkie księstwo włodzimierskie, który jednak otrzymywali bez większych problemów. Za panowania Dymitra Dońskiego oba księstwa zlały się w jedno. Od tej pory to Moskwa jest jedyną, niekwestionowaną stolicą Rusi Północno-Wschodniej. Wielkie Księstwo Moskiewskie „zbiera ziemie ruskie". Na tej drodze w kolejnych dziesięcioleciach i stuleciach jego rywalem będzie Litwa, również aspirująca do spadku po Rusi Kijowskiej. O ile Moskwa rośnie w siłę i jednoczy wokół siebie wschodniosłowiańskie ziemie, o tyle Złota Orda popada w kryzys i ulega rozdrobnieniu. Książęta odmawiają płacenia daniny, co prowadzi do konfrontacji. W 1380 r. Dymitr Doński w bitwie na Kulikowym Polu zadaje Tatarom klęskę, która oznacza początek końca potęgi Tatarów.

Sto lat później Moskwa ostatecznie wyzwala się spod zwierzchności chanów. Teraz dąży już nie tylko do panowania nad Rusią. Po upadku Konstantynopola zamierza przejąć po Bizancjum rolę światowego centrum prawosławia. Wielki książę Iwan III Srogi żeni się z bratanicą ostatniego imperatora wschodniego Rzymu, przejmuje też bizantyńską pieczęć z dwugłowym orłem. Moskwa chce być nie tyle nowym, ile lepszym Konstantynopolem. Czyli „trzecim Rzymem", ostatnią ostoją „prawdziwej wiary". Najpierw upadł Rzym Zachodni, toczony „zarazą" katolicką. Upadek Rzymu Wschodniego był karą za grzech kolaboracji z papiestwem. Tak wielki książę Wasyl II odebrał unię florencką, którą Cerkiew bizantyńska zawarła z katolikami, licząc, że w zamian za uznanie zwierzchności papieża uzyska pomoc w wojnie z Turcją. Moskiewscy biskupi unii nie uznali. Od 1461 r. urzędujący w Moskwie zwierzchnicy ruskiego prawosławia nosili tytuł metropolity już nie „kijowskiego i całej Rusi", tylko „moskiewskiego i całej Rusi". Trzy lata wcześniej na Litwie powstała metropolia kijowska, halicka i całej Rusi. Ruska Cerkiew przestała być jednością.

Pskowski mnich Filoteusz w swoich słynnych listach pouczał i przestrzegał wielkiego księcia: „Dwa Rzymy upadły, trzeci stoi, a czwartego nie będzie". Ta ideologia sprawiła, że moskiewski – a następnie rosyjski – imperializm zyskał kontekst religijny, mesjanistyczny. Rosja w kolejnych wiekach nie tylko podbija, lecz także „broni prawdziwej wiary". „Wyzwala" prawosławnych obywateli Rzeczypospolitej, dokonując jej rozbioru, wspiera braci na Bałkanach (prawosławnych, a do tego Słowian!) w walce o niepodległość z Turcją, „niesie cywilizację" muzułmańskim ludom, podbijając Kaukaz... Nawet komunizm w rosyjskim wydaniu przypominał religię prozelityczną, szerzoną jednak ogniem i mieczem. Za każdym razem Moskwa tytułuje się centrum świata również duchowego czy też ideowego.

Pod koniec XV w. Iwan III Srogi przyjmuje tytuł „gosudara (władcy) całej Rusi". Przyłącza do Moskwy kolejne ziemie ruskie. W tym Twer oraz Nowogród – republikę kupiecką, samotną quasi-demokratyczną (bo rządzoną przez wiec) wyspę na oceanie despotyzmu. Wielkie Księstwo Moskiewskie zaczyna być zamiennie nazywane także Państwem Ruskim (Russkoje gosudarstwo) albo Rosyjskim (Rossijskoje gosudarstwo), przy czym Rossija jest po prostu greckim wariantem nazwy Ruś. W 1547 r. Iwan IV Groźny jako pierwszy koronuje się na cara. Oficjalnie powstaje Carstwo Rosyjskie, które następnie podbija resztki Złotej Ordy i zaczyna ekspansję na Syberię, uzupełniając azjatycki, wschodni kontekst swojej tożsamości. Powierzchowny i odgórny zwrot ku Europie nastąpi, gdy tron obejmie Piotr Wielki. Spróbuje on wyrzucić na śmietnik historii tę starodawną, wsteczną, eurazjatycką Moskwę. Bezskutecznie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

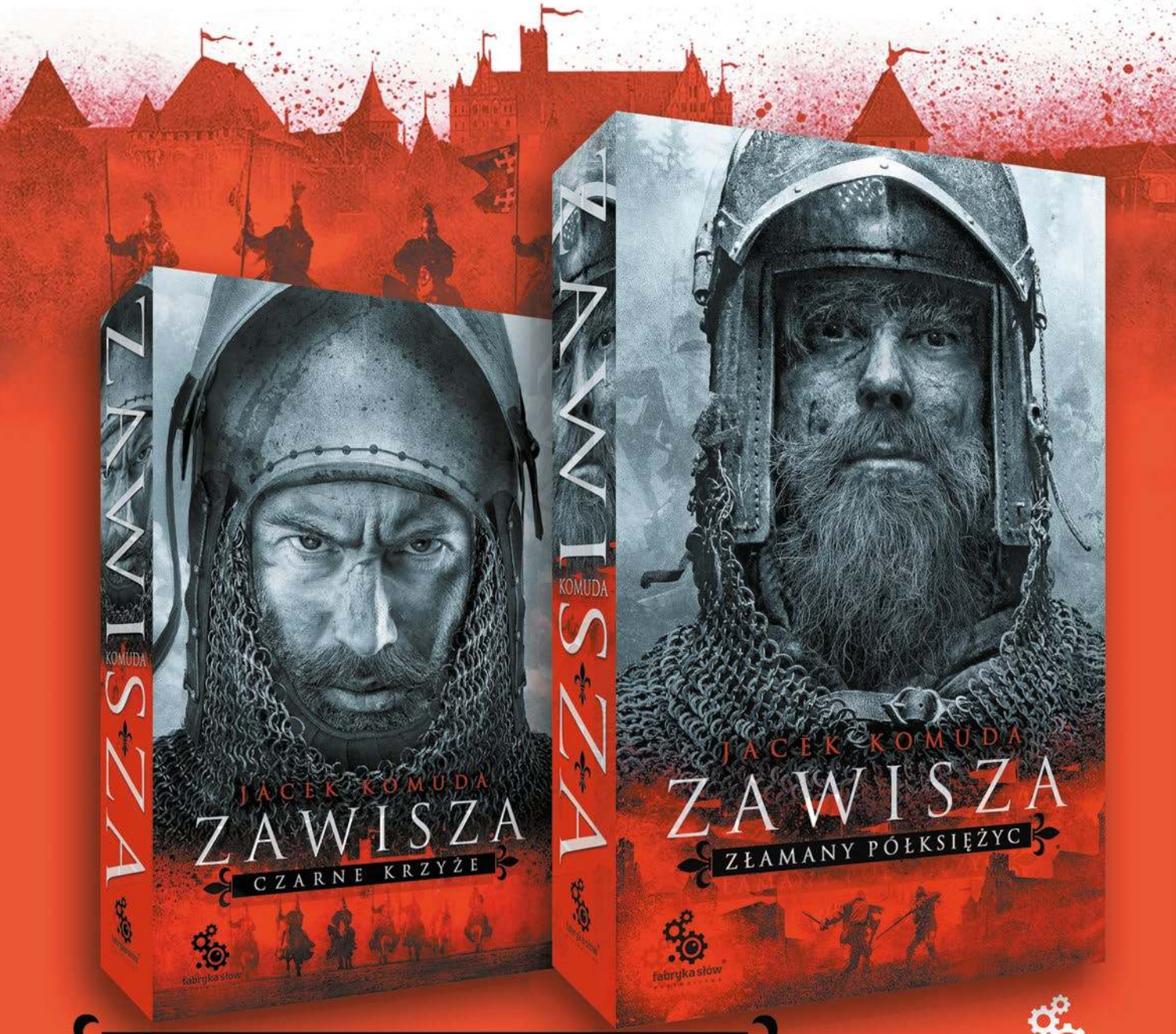
eprasa.pl 40b1557dc5

NAJWIĘKSZE LEGENDY SPISANE SĄ KRWIĄ.

Najsłynniejszy polski rycerz, którego imię żyje do dziś: Zawisza Czarny.

CZŁOWIEK, którego słowo znaczyło więcej niż prawo. Ten, który stawał do walki tam, gdzie nikt już nie miał odwagi walczyć. A ludzie szli za nim, w ogień, pod deszcz strzał i bezlitosne ostrza. Po śmierć albo po zwycięstwo, ale zawsze za nim.

HISTORIA wyjątkowego człowieka spisana ze swadą właściwą prozie Jacka Komudy, dbałością o szczegóły i realia historyczne. Zapewni rozrywkę na najwyższym poziomie i wielbicielom średniowiecznej historii, i czytelnikom ceniącym przede wszystkim żywą, trafiającą w serce opowieść.



KSIĄŻKI DOSTĘPNE W PAPIERZE, EBOOKU I AUDIOBOOKU

fabryka słów

eprasa.pl 40b1557dc5



Ksiądz Zygmunt Kaczyński, aresztowany w 1948 r. FOT. IPN

Pierwsze lata Polski „ludowej” / Opór Kościoła

Krzyż i czerwona gwiazda



Rafał Łatka

W Episkopacie zdawano sobie sprawę, że walka zbrojna z nowymi władzami jest pozbawiona jakichkolwiek szans na zwycięstwo. Mimo to najważniejsi biskupi utrzymywali kontakt z podziemiem

Zjawisko oporu Kościoła wobec komunistów w pierwszych latach ich rządów miało bardzo różnorodny charakter. Po pierwsze, było to bezpośrednie zaangażowanie części duchowieństwa w działalność podziemną, bezwzględnie zwalczane przez władze komunistyczne. Po drugie, troska Episkopatu Polski o zachowanie niezależności i uniknięcie ubezwłasnowolnienia Kościoła. Postawa biskupów wobec nowych władz nie była rzecz jasna jednorodna, ale każdy z hierarchów rozumiał, że nie można pozwolić na zbyt daleko idącą ingerencję komunistów w wewnętrzne sprawy kościelne. Z tego względu aż do aresztowania prymasa Stefana Wyszyńskiego spory w łonie Episkopatu nie wychodziły na zewnątrz, choć były nieraz daleko idące. Najsilniej było to widać w biegunowo różnych postawach bp. Czesława Kaczmarka (ordynariusza kieleckiego) i bp. Michała Klepacza (ordynariusza łódzkiego). Ten pierwszy był najbardziej krytycznie nastawiony do władz Polski „ludowej” i zdecydowanie podkreślał niezależność Kościoła, podczas gdy drugi ze wspomnianych hierarchów optował za polityką kontrolowanych ustępstw wobec komunistów.

W Episkopacie zdawano sobie równocześnie sprawę, że walka zbrojna z nowymi władzami jest pozbawiona jakichkolwiek szans na zwycięstwo. Mimo to najważniejsi biskupi utrzymywali kontakt z podziemiem. Kardynał Hlond otrzymywał co miesiąc raporty WiN, a abp Adam Stefan Sapieha z pomocą swoich kurialistów odbywał spotkania z ludźmi zaangażowanymi w działalność konspiracyjną. Także podczas rozmów z przedstawicielami władz biskupi dość jasno wskazywali, że ich sympatia znajduje się po stronie antykomunistycznej. Sekretarz Episkopatu, bp Choromański, na pytanie ministra Władysława Wolskiego (odpowiadającego wówczas ze strony władz za relacje z Kościołem), dlaczego Episkopat nie wyda „jakiegoś orędzia w sprawie leśnych band i bratobójczych walk zza węgła”, odpowiedział, że taki komunikat został upubliczniony w maju 1946 r. i odczytany we wszystkich kościołach wbrew naciskom ze strony władz. Biskupi zwrócili uwagę na

eprasa.pl 40b1557dc5



Kardynał August Hlond i Piotr Jaroszewicz, procesja Bożego Ciała w 1947 r. FOT. PAP

„sprawę niepokojów w kraju i osobistego bezpieczeństwa obywateli […] na gwałcenie wolności osobistej, na zabijanie bez sądowego udowodnienia winy […]. To niesłychane w dziejach gwałcenie przyrodzonych praw człowieka i poniżanie godności ludzkiej musi się odbić niekorzystnie na losach całego Narodu". Zarówno hierarcha, jak i minister wiedzieli dobrze, że w rzeczonym komunikacie Episkopat potępił bandytów, ale z UB…

Duchowieństwo w przeważającej mierze było nastawione nieufnie do nowych władz. Wynikało to z jego wiedzy na temat losów religii w Związku Sowieckim oraz postawy tego okupanta na Kresach Wschodnich w latach 1939–1941. Niektórzy kapłani protestowali z ambony przeciwko polityce komunistów, piętnując stosowany terror oraz politykę bezprawia. Represje w postaci aresztowań stosowano w latach 1945–1950 przede wszystkim wobec księży zaangażowanych w działalność niepodległościową. Z powodu aktywności w podziemiu (bardzo różnorodnej) oraz postawy jawnie antykomunistycznej aresztowano kilkuset duchownych. Dokładnych danych nie będziemy już w stanie prawdopodobnie nigdy ustalić.

Niektórzy, jak ks. Jan Stępień, aresztowani zostali jako liderzy organizacji politycznych o antykomunistycznym charakterze. Wspomniany duchowny był członkiem władz Stronnictwa Narodowego (w czasie powstania warszawskiego kierował Biurem Informacji i Propagandy AK na Mokotowie). W 1947 r. ks. Stępień został aresztowany i skazany na śmierć, następnie w 1948 r. Bolesław Bierut zamienił mu karę na 15 lat więzienia. W marcu 1955 r. został uwolniony, pracował przez wiele lat jako wykładowca akademicki, był m.in. rektorem ATK w latach 1972–1981. Równocześnie przez wiele lat był zarejestrowany jako informator, a następnie tajny współpracownik aparatu bezpieczeństwa o ps. Stolarski (1953–1981). Jego życiorys pokazuje, jak skomplikowany potrafił być los duchownego w okresie Polski „ludowej".

Innym z represjonowanych duchownych był ks. Józef Zator Przytocki, dziekan Okręgu Krakowskiego AK, aresztowany we wrześniu 1948 r., już jako proboszcz parafii Najświętszego Serca Pana Jezusa na gdańskim Wrzeszczu. Skazano go za wspieranie WiN, a z więzienia wyszedł w 1955 r. Warto dodać, że postawę antykomunistyczną prezentował do końca życia.

Łkanie i jęk

Wielu kolejnych duchownych aresztowano za pełnienie posługi przy poszczególnych oddziałach zbrojnych. Ksiądz Michał Pilipiec był pierwszym zamordowanym przez komunistów kapłanem po ponownym wkroczeniu wojsk sowieckich do Polski w 1944 r. Zanim został rozstrzelany, funkcjonariusze bezpieki okrutnie go torturowali. Jak wspominał współwięzień ks. Pilipca: „Był strasznie zmasakrowany. Sutanna jego była w wielu miejscach popękana. Na ciele miał wiele ran. Z pęknięć skóry na głowie sączyła się krew. Wił się z bólu. Musiał to być ból okropny, skoro ksiądz nie mógł pohamować łkania i jęku. W odgłosach cierpienia nie wyczuwało się skargi, nie było nic z wołania o pomstę do nieba". Podobnie katowanych i mordowanych duchownych było wielu, przykładowo w 1946 r. zamordowano ks. Michała Rapacza, administratora parafii w małopolskich Płokach.

Represje dotykały nie tylko księży diecezjalnych, lecz także członków wspólnot i zgromadzeń zakonnych. Najbardziej znaczącym w tym względzie przykładem jest los o. Władysława Gurgacza – jezuity, kapelana Polskiej Podziemnej Armii Niepodległościowej w Małopolsce. Mimo nacisku funkcjonariuszy UB wytrzymał godnie śledztwo i proces. W 1949 r. został skazany na karę śmierci. Wyrok wykonano. Areszt i tortury stosowano również wobec sióstr zakonnych. Przykładowo s. Zofia Maria Łuszczkiewicz (imię zakonne Izabela), żołnierz AK, a następnie członkini Inspektoratu Rzeszowskiego DSZ-WIN, została aresztowana w 1948 r., przeszła okrutne śledztwo kierowane przez Józefa Różańskiego i w 1949 r. skazano ją na 15 lat pozbawienia wolności. W wyniku przeprowadzenia kolejnej rozprawy skazano ją na karę śmierci. Z więzienia zwolniono ją w czasie odwilży w 1956 r. Rok później zmarła na skutek powikłań zdrowotnych spowodowanych torturami w czasie śledztwa.

Kolejną płaszczyzną walki Kościoła z narzuconymi z Moskwy władzami była postawa katolików świeckich i wiernych. Opór wobec komunistów przejawiał się w różnorodny sposób. W pierwszych latach istniały niezależne od władz organizacje katolickie (przede wszystkim dla młodzieży), którym ze względu na słabość komunistów pozwolono działać. Wśród nich wymienić należy przede wszystkim stowarzyszenia takie jak: Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży, Sodalicje Mariańskie, grupy odwołujące się do przedwojennego Odrodzenia, Juventus Christiana, Caritas Academica czy też duszpasterstwa akademickie. W znacznej większości aktywnymi działaczami wspomnianych organizacji byli młodzi ludzie pochodzący ze środowisk konspiracji młodzieżowej z okresu drugiej wojny światowej, którzy podjęli decyzję o niepodejmowaniu walki zbrojnej z komunistycznymi władzami. Andrzej Friszke określił ich aktywność jako próbę zagospodarowania „możliwych marginesów wolności", z odwołaniem się do zasad chrześcijańskich. „Wszyscy dokonali w 1945 r. wyboru, by nie uczestniczyć nadal w konspiracji, powrócić do nauki, ale też wykorzystać istniejące możliwości legalnego działania […]. Postawy i wynikające z nich pomysły i formy działania były realistyczne, obliczone na pracę legalną, przede wszystkim o charakterze wychowawczym, ideotwórczym,

eprasa.pl 40b1557dc5

intelektualnym. Stanowiły próbę zmierzenia się z atakującym i atrakcyjnym dla części rówieśników marksizmem". W 1949 r. w trosce o los młodzieży władze kościelne zawiesiły funkcjonowanie wspomnianych organizacji.

W pierwszych latach istnienia Polski „ludowej" funkcjonowały również trzy pisma katolików świeckich odwołujące się do katolickich wartości: „Tygodnik Warszawski", „Tygodnik Powszechny" oraz „Dziś i Jutro". Środowisko każdego z tych tytułów, na których wydawanie w pierwszym okresie władze wydały zgodę, wybrało ostatecznie inną drogę. W początkowym okresie dwa pierwsze pisma promowały wizję Polski katolickiej, tworzonej w konfrontacji ideowej z komunizmem – ten sposób działania nazywano maksymalizmem katolickim. „Tygodnik Warszawski" został zlikwidowany w 1948 r. Warto wspomnieć, że redaktora naczelnego pisma, ks. Zygmunta Kaczyńskiego, aresztowano w 1948 r., a w 1951 r. został on skazany na 10 lat pozbawienia wolności. Zmarł z wycieńczenia w więzieniu mokotowskim. Wraz z nim do więzienia trafili czołowi publicyści pisma, którzy również zostali skazani na wieloletnie więzienie. „Tygodnik Powszechny" początkowo podzielał stanowisko „Tygodnika Warszawskiego" i piórem ks. Jana Piwowarczyka promował chrześcijańską wizję Polski powojennej. Z czasem jednak zaczął w nim zwyciężać inny pogląd: należy dostosować się do systemu politycznego zdominowanego przez komunistów i troszczyć się o zachowanie podstawowych wartości katolickich (z tego powodu ten pogląd nazywano minimalizmem katolickim). Znacznie dalej w akceptacji systemu politycznego szło środowisko „Dziś i Jutro", które z czasem miało stać się „koniem trojańskim" w polskim Kościele. Jego redaktorzy promowali wizję syntezy katolicyzmu z marksizmem. Reprezentatywnym przykładem tego typu złudzeń może być późniejszy premier RP Tadeusz Mazowiecki.

Porozumienie

W kwietniu 1950 r. zostało podpisane porozumienie regulujące stosunki państwo – Kościół. Wspomniany akt był



Ksiądz Józef Zator-Przytocki, aresztowany w 1948 r. FOT. IPN

z wielu powodów istotny, również ze względu na jasne odcięcie się Episkopatu od walki zbrojnej. Biskupi zobowiązali się do nieprzeszkadzania w kolektywizacji rolnictwa, a także obiecali, że będą piętnować „bandytyzm" – pod określeniem tym kryły się działania polskiego podziemia niepodległościowego. Komuniści z kolei zadeklarowali poszanowanie zasady władzy papieskiej nad polskim Kościołem (w kwestiach wiary i moralności) oraz niezwalczanie obecności Kościoła w szkołach czy zwrot części odebranych wcześniej tzw. dóbr martwej ręki.

Przesłanką do zawarcia porozumienia z władzami były również złudzenia abp. Stefana Wyszyńskiego związane z osobą Bolesława Bieruta i przekonaniem, że możliwy jest system komunistyczny w Polsce bez swojego antykatolickiego, a – szerzej patrząc – antyreligijnego komponentu. Prymas uważał także, że gdyby nie nacisk Sowietów, rząd Polski „ludowej" nie prowadziłby ideologicznej walki z Kościołem. Wskazuje na to wpis z dziennika poczyniony po rozmowie z Bolesławem Piaseckim w lutym 1952 r.: „Zawsze bowiem przykro mi było przypisywać partii PZPR czy też rządowi organizowanie walki z Kościołem w Polsce. Gdyby nie naciski Moskwy, walka ta miałaby inny przebieg. Artykuł »Prawdy« odsłonił właściwe kulisy tej walki. To nie PZPR organizuje walkę z Kościołem; partia tylko ją prowadzi. Ale organizacja należy do Moskwy. Wolę wiedzieć, że to czyni Moskwa. Z prześladowaniem Kościoła przez Moskwę jesteśmy oswojeni, ale z prześladowaniem Kościoła przez rząd polski, zwłaszcza ludowy, trudno się pogodzić. Jestem wdzięczny »Prawdzie«, że tym razem odsłoniła prawdę. *Do przebudowy społecznej dążymy wszyscy: i komunizm, i socjalizm, i katolicyzm. Nie trzeba robić wrażenia, że katolicyzm jest wrogi przebudowie społecznej i nic nie zrobił dla odmiany stosunków społecznych*" [wyróżnienie moje – R.Ł.].

Zawarcie porozumienia z kwietnia 1950 r. nie spowodowało i nie mogło spowodować, że władze komunistyczne zaprzestaną antykościelnych represji, niemniej jednak na pewien czas zostały one wstrzymane. Komuniści nie mieli jednak zamiaru przestrzegać jego zapisów. Otwarcie przyznawał to Antoni Bida, dyrektor Urzędu ds. Wyznań, w czasie narady z kierownikami wojewódzkich struktur wyznaniowych: „Musimy stać na trwałym stanowisku, aby wszystkie punkty [porozumienia] były realizowane przez przedstawicieli Kościoła kat[olickiego] realizowane i dotrzymywane w całej rozciągłości […]. Tak więc pierwszym i najważniejszym naszym zadaniem jest realizacja tego porozumienia w celu pozyskania mas wierzących, a będących pod wpływem Kościoła – dla zrealizowania planu sześcioletniego i zbudowania podstaw socjalizmu". Wynikało to w zasadniczej mierze z tego, że interesowało ich jedynie zniszczenie bądź ubezwłasnowolnienie Kościoła. Biskupi nie zamierzali się jednak w bierny sposób temu przyglądać i stosowali jedyną dostępną dla siebie metodę walki: za pomocą kazań wygłaszanych z ambony oraz listów skierowanych na ręce władz. Ponadto zgodnie z przekonaniem żywionym przez prymasa Wyszyńskiego, że z władzami należy rozmawiać, ciągle ponawiali oferty dialogu pod adresem komunistycznych dygnitarzy.

Oceny porozumienia z 1950 r. są bardzo różnorodne. Od bardzo krytycznych do niezwykle aprobatywnych. Niewątpliwie jego zawarcie przyniosło na pewien czas wstrzymanie antykościelnej ofensywy władz. Ponadto wynikało z błędnego przekonania abp. Wyszyńskiego, że możliwe jest współżycie katolicyzmu z „polską" odmianą komunizmu, który w jego przekonaniu miałby zrezygnować z dążenia do ateizacji społeczeństwa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym historii, profesorem w Instytucie Historii UKSW.

eprasa.pl 40b1557dc5



Demonstranci pod Domem Robotniczym
FOT. JAGIELLOŃSKA BIBLIOTEKA CYFROWA

100. rocznica / Tragiczne wydarzenia w środku hiperinflacji

Krew na krakowskim bruku



Tomasz Stańczyk

Jeden strzał – nie wiadomo, przez kogo oddany – stał się początkiem ulicznych walk pod Wawelem, w których zginęło kilkunastu demonstrantów i tyleż samo żołnierzy Wojska Polskiego

Sto lat temu w Polsce szalała hiperinflacja, panowała niebywała drożyzna, ceny zmieniały się niemal z dnia na dzień, płace realne kurczyły się w niesamowitym tempie, poziom życia ludności drastycznie się pogarszał. Z tego powodu strajki stały się codziennością. W Krakowie cena chleba w styczniu wynosiła 675 marek polskich, w końcu października 10,5 tys., wieprzowiny odpowiednio 3,8 tys. i 85 tys. W Krakowie w październiku zastrajkowali maszyniści kolejowi, a następnie przyłączyli się do nich pocztowcy. Rząd Wincentego Witosa zareagował, powołując kolejarzy na ćwiczenia wojskowe. W okręgu krakowskim zarządzono militaryzację kolei, wprowadzono też sądy doraźne i zakazano zgromadzeń publicznych. Sytuacja stawała się krytyczna. „Zgodnie z poleceniem z Warszawy władze administracyjne w Krakowie przygotowywały się z pomocą wojska do stanowczego działania przeciwko strajkującym" – pisał Tomasz Marszałkowski w książce „Zamieszki, ekscesy i demonstracje w Krakowie 1918–1939". Jak pisał historyk, PPS odrzuciła propozycję rządu, że zniesie sądy doraźne, gdyż politycy socjalistyczni zamierzali kontynuować strajk aż do zwycięstwa.

5 listopada 1923 r. rozpoczął się pod Wawelem proklamowany przez PPS strajk powszechny. Tamtego dnia rząd przekazał wojewodzie Kazimierzowi Gałeckiemu decyzję o zakazie wszelkich zgromadzeń publicznych. Władze wojskowe w Krakowie, na których czele stał gen. Józef Czikel, przygotowywały się do stłumienia ewentualnych rozruchów. Komunistyczny działacz Tomasz Dąbal uznał te przygotowania za zaplanowaną krwawą rozprawę z robotnikami. Według niego Czikel miał rzekomo poinformować rząd: „Wszystko gotowe! Kilkanaście tysięcy uzbrojonych ludzi czeka rozkazów, aby rzucić się na bezbronne i niczego niepodejrzewające masy robotnicze". Tak, jakby rządowi zależało na przelewie krwi.

Już 5 listopada doszło do incydentów między strajkującymi robotnikami a policją i wojskiem – rany odniosło 20 policjantów. Socjalistyczny poseł Zygmunt Marek usiłował przekonać dyrektora

eprasa.pl 40b1557dc5

policji, Jana Rękiewicza: „[zakaz zgromadzeń] to obłęd! Proszę to powiedzieć wojewodzie. Za następstwa będzie on odpowiedzialny" („Naprzód", 9 listopada 1923 r.). Rękiewicz zgadzał się z Markiem, że zakaz jest nieuzasadniony, ale nic nie mógł zrobić: miał nie dopuścić do zgromadzeń strajkujących robotników, gdyż był zobowiązany wykonywać polecenia władz.

Dlatego 6 listopada policja zablokowała dojścia do Domu Robotniczego przy ulicy Dunajewskiego. A tam właśnie nadciągali strajkujący. Rękiewicz ocenił, że oddziały policyjne nie dadzą sobie rady, więc wezwał na pomoc wojsko. „Nad sytuacją usiłowała zapanować straż porządkowa PPS z czerwonym opaskami, jednak bezskutecznie. Policjanci, którzy do tej pory trzymali broń przy nodze, podnieśli ją. Rozległy się okrzyki »Precz z policją!«, »Wyrżnąć tych chamów« i wzywające do rozbrojenia policji i wojska" (T. Marszałkowski, „Zamieszki…").

Kapusta bronią

Emocje sięgały zenitu. Niespodziewanie pojawiły się dwa chłopskie wozy wyładowane kapustą. Wincenty Pietrzyk wskoczył na jeden z nich, odebrał woźnicy bat oraz lejce i skierował wóz na kordon, przerywając blokadę. To ośmieliło demonstrantów, którzy ruszyli na policjantów, rzucając w nich także główkami kapusty. Policjanci byli uzbrojeni, ale z drugiej strony robotnicy, przewidując możliwość starcia się z nimi, nie szli pod Dom Robotniczy z pustymi rękami. „Na niektórych ulicach widziano kilkuosobowe grupy uzbrojone w łomy i laski" – opisywał historyk Stanisław Czerpak.

I wtedy, o godz. 9.15, nastąpił krytyczny moment – padł strzał. Kto strzelał, tego nigdy nie ustalono. Komunista Tomasz Dąbal w wydanej w Związku Sowieckim broszurze twierdził, że to policyjny agent oddał strzał z Hotelu Krakowskiego. To samo uważali na ten temat działacze PPS. Tłum wpadł do hotelu w poszukiwaniu prowokatora i zdemolował wnętrza.

Dąbal przekonywał jednak, że był to sygnał do zaplanowanej i krwawej rozprawy rządu z robotnikami. Policjanci twierdzili zaś, że strzał padł z tłumu. Tak czy inaczej robotnicy zaczęli wyrywać broń z rąk asystujących policjantom żołnierzy, rozbrajać ich. Pomiędzy bajki trzeba włożyć opowieść Dąbala, że robotnicy bratali się z żołnierzami, którzy mieli zdjąć bagnety z karabinów, dotąd wymierzone w tłum: „Wojsko zmieszało się z masą, która z zachwytem powitała ich braterskie zachowanie". Rzekomo wiwatowano na ich cześć, a „żołnierze i robotnicy, dwaj bracia rodzeni, padali sobie w ramiona". Ale rzeczywiście żołnierze nie palili się do strzelania do robotników.

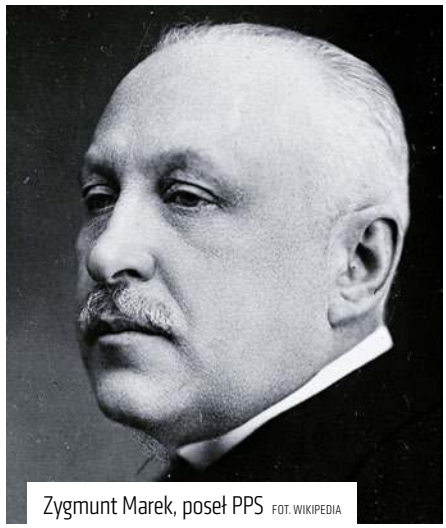
Wzywano też policjantów do złożenia broni, a po odmowie zaczęto do nich strzelać. Siły policji i wojska były w odwrocie, centrum Krakowa coraz bardziej było opanowywane przez demonstrantów, teraz już uzbrojonych w karabiny odebrane żołnierzom. Według fantazyjnej opowieści Dąbala żołnierze „z ochotą oddawali broń i z sympatią odnosili się do robotników". Według „Naprzód", gazety PPS, robotnicy mieli zdobyć aż 5 tys. karabinów, co jest nieprawdopodobne, i osiem karabinów maszynowych.

Generał Czikel miał jednak rezerwy. Postanowił rzucić do akcji szwadrony 8. pułku ułanów. Była godz. 11. Liczył najwyraźniej, że napierające na tłum konie i dokonywane z wysokości ich grzbietów płazowanie demonstrantów szablami rozproszą tłum. Być może rzeczywiście tak by się stało, ale wypadki potoczyły się inaczej. Ułani zostali ostrzelani przez robotników, a wówczas oficer dał rozkaz do szarży. Tamtego dnia bruk w Krakowie był mokry, konie ślizgały się na nim, padały, łamały nogi, a z nimi na ziemię spadali ułani. Oczywiście zostali oni natychmiast rozbrojeni przez żołnierzy. Kolejną fantazją komunisty Dąbala było twierdzenie, że strzelano tylko do oficerów, oszczędzając żołnierzy, więc celowano nie w nich, tylko w ich konie. Inne szwadrony były także ostrzeliwane z bram i okien krakowskich kamienic.

Robotnicy mieli w rękach dużo broni. Tomasz Dąbal bajał, że zaczęli tworzyć oddziały Czerwonej Gwardii (w podtekście: komunistycznej). „Czerwona Gwardia Robotnicza rozwinęła się w bojową linię tyralierską i zaczęła prażyć policjantów ogniem karabinowym, rozbrajając mniejsze oddziały wojskowe. Kobiety i dzieci donosiły amunicję i zagrzewały do walki". Ten komunistyczny działacz uważał, że w Krakowie doszło do powstania przeciw rządowi Witosa i próby jego obalenia, co oczywiście nie miało nic wspólnego z prawdą. Zarzucał także działaczom PPS, że w dalszym biegu wypadków zdusili oni wielką szansę na obalenie ustroju burżuazyjnego, a więc wprowadzenie komunizmu, takiego jak w ZSRS, gdzie Dąbal wtedy przebywał.

Po niepowodzeniu ułanów gen. Czikel wysłał o godz. 11.30 przeciw rebeliantom trzy wozy pancerne. Jeden z nich – „Dziadek" (z pewnością nazwany tak na cześć Piłsudskiego) – opanowali robotnicy, zabijając lub ciężko raniąc jednego żołnierza. Wywiesili na nim czerwoną flagę. Nastroje tłumu były, według


Generał Józef Czikel FOT. WIKIPEDIA


Zygmunt Marek, poseł PPS FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 40b1557dc5



Opanowany przez demonstrantów pojazd pancerny „Dziadek" FOT. JAGIELLOŃSKA BIBLIOTEKA CYFROWA

Dąbala, radykalne. W tłumie słychać było rzekomo nawoływania: „Towarzysze, chodźcie, wojsko rozbrojone, mamy broń i amunicję, pójdźmy powiesić Gałeckiego i Czikela!".

„Sprzedawczycy"

Krakowscy przywódcy PPS, tak jak strona rządowa, widzieli z przerażeniem, że sytuacja wymknęła się spod kontroli, zagrały emocje i polała się krew. Śmiertelnych ofiar było już dużo i kto wie, jaki byłby finał, gdyby walki na ulicach Krakowa potrwały trochę dłużej. Około południa strzelanina zaczęła jednak wygasać, choć jeszcze Tadeusz Ćwik, późniejszy komunista, usiłował atakować gmach urzędu wojewódzkiego.

Poseł PPS Zygmunt Marek przedostał się do wojewody Gałeckiego i zażądał, by ten zadzwonił do Warszawy. Władysław Kiernik, minister spraw wewnętrznych, zgodził się, by nastąpił rozejm, a wojsko wycofało się z ulic. W zamian za to działacze PPS zobowiązali się do rozbrojenia tłumów. Oczywiście komunista Dąbal uznał to za zdradę ze strony PPS, dla niego im więcej krwi by się polało, tym lepiej. Zapewne łudził się, że robotnicy opanowaliby cały Kraków, a to dałoby impuls do ogólnopolskiej rebelii przeciw rządowi. Nazwał „sprzedawczykami" przywódców PPS, którzy zapobiegli dalszemu rozlewowi krwi.

Odbieranie karabinów nie poszło jednak łatwo. Poseł Mieczysław Mastek uciekł się do fortelu – zaprosił część uzbrojonych robotników na poczęstunek: chleb, kiełbasę i wódkę, a kiedy się popili, odebrano im broń. Tak zakończył się krwawy dzień 6 listopada w Krakowie: zginęło kilkunastu żołnierzy i oficerów oraz tyle samo demonstrantów. Była to wielka tragedia, Wojsko Polskie, które trzy lata temu walczyło zwycięsko z Rosją bolszewicką, teraz strzelało do cywilów, a żołnierze ginęli z kolei od ich kul. Co gorsza, wszystko to działo się zaledwie kilka dni przed piątą rocznicą odzyskania niepodległości...

Zapanowało powszechne przygnębienie, smutek i żal, że doszło do strasznego przelewu krwi na ulicach Krakowa. Przygnębiony i smutny był także Tomasz Dąbal. Zarzucił „zdrajcom z PPS" brak śmiałości działania i stłumienie robotniczej rewolty. A przecież, jak przekonywał, było już blisko do obalenia rządów „burżuazyjno-szlacheckich" i objęcia władzy przez komunistów. Pokrzyżować to mieli, jego zdaniem, działacze PPS, „agenci burżuazji na terenie robotniczym", godząc się na przerwanie strajku generalnego, w zamian za zniesienie sądów doraźnych i odstąpienie od militaryzacji kolei. Premier Witos zobowiązał się rozpatrzyć przychylnie postulaty kolejarzy i przyrzekł, że nikt nie będzie represjonowany za udział w strajku.

Stanowisko PPS przedstawił w „Naprzód" Mieczysław Niedziałkowski: „Centralny Komitet Wykonawczy odwołał strajk generalny z następujących powodów: do ostatniej chwili, do ostatniej możliwości musimy bronić Polski przed grozą wojny domowej. Gdyby wojna domowa wybuchła, Rzeczpospolita Polska najpewniej by runęła, a wraz z nią wszelkie nadzieje, wszelkie pragnienia i ofiary klasy robotniczej. Wojna domowa to przede wszystkim katastrofa gospodarcza bez wyjścia, to nade wszystko wojna zewnętrzna". Niedziałkowski był świadomy, że anarchia w Polsce jest na rękę naszym sąsiadom – Rosji i Niemcom – które nie pogodziły się z utratą terytoriów zagrabionych w wyniku rozbioru Rzeczypospolitej. Jednocześnie „Naprzód" obwiniał za tragedię krakowską „adwokacinę z Bochni Kiernika, który na nieszczęście Polski jest ministrem i notorycznego pijaka Gałeckiego". Kiernik nie został zdymisjonowany, w przeciwieństwie do gen. Czikela i wojewody Gałeckiego.

Czy piłsudczycy mieli jakiś udział w wypadkach krakowskich? Wysuwano i takie sugestie. Niemal rok wcześniej Piłsudski złożył urząd Naczelnika Państwa. Po wyborze Gabriela Narutowicza na prezydenta Rzeczypospolitej, w połowie 1923 r., zrezygnował z funkcji szefa Stanu Generalnego. Nie po drodze było mu z rządami prawicy. Zaszył się w Sulejówku, co jednak nie oznacza, że definitywnie wziął rozbrat z polityką i nie marzył o powrocie do władzy. Podejrzewano, że jego ludzie przyczynili się do wypadków krakowskich. W tym kontekście wymieniano byłego legionistę mjr. Wacława Kostka-Biernackiego, który znajdował się w krytycznych dniach w Krakowie, jednak nic nie wskazuje na to, by w jakikolwiek sposób wpłynął on na zaostrzenie się sytuacji. Przeciwnie, gdy manifestanci zaczęli wzywać żołnierzy, by ci nie nacierali na nich, żołnierze na rozkaz swojego dowódcy kpt. Obiedzińskiego zdjęli bagnety z karabinów. „Na postawę tych żołnierzy, a szczególnie kapitana Obiedzińskiego, wpłynął niewątpliwie major Wacław Biernacki, który był przecież starszy od Obiedzińskiego i krążył swobodnie wśród cywilów. Przekonywał on kapitana, że nie należy czynnie występować przeciw manifestantom, gdyż nie są oni nastawieni wrogo do wojska" – pisał Stanisław Czerpak w szkicu „Walka zbrojna na ulicach Krakowa".

Po krwawych wydarzeniach w Krakowie PPS domagała się w Sejmie dymisji rządu, jednak opowiedziała się za nią mniejszość – 176 posłów przeciw 196. Jednak upadek gabinetu Witosa i tak wkrótce nastąpił, w ogromniej mierze właśnie przez krwawe zajścia w Krakowie. 14 grudnia Witos podał się do dymisji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 40b1557dc5



Wykonywanie kary lingchi. Grafika prasowa z połowy XIX w. FOT. DOMENA PUBLICZNA

Chiny / Okropieństwa wymiaru sprawiedliwości

Śmierć od tysiąca cięć



Łukasz Czarnecki

Wśród mrożących Europejczykom krew w żyłach chińskich praktyk jedną z kluczowych była kara lingchi, która w annałach zachodnich zapisała się pod nazwą „śmierci od tysiąca cięć" lub mniej obrazowo, lecz bardziej jednoznacznie, jako „tortura chińska"

Czym było owo osławione lingchi? Najprościej rzecz ujmując, sposobem egzekucji sprawiającym, że przywiązany do bambusowej ramy (którą europejscy świadkowie określali mianem krzyża, mimo iż kształtem przypominała raczej literę X) skazaniec przemieniał się w stosik okrwawionych kawałków, które ktoś o mrocznym poczuciu humoru nazwać mógłby „ludzkim gyrosem". Liczba cięć prowadzących do tego stanu – wbrew temu, co sugerowała jej europejska nazwa – nie zbliżała się nigdy do tysiąca, z reguły kat zadawał ich kilkanaście, wykorzystując do tego pięć mieczy. Czasami zdarzało się, że wyrok sądu był szczególnie surowy, i wówczas mistrz małodobry musiał bardziej się postarać. Wiemy o przypadkach posiekania skazanego na 72 kawałki. Po zakończeniu egzekucji oprawca stawał nad okrwawionym stosem ochłapów ludzkiego mięsa i głośno meldował nadzorującemu egzekucję urzędnikowi wykonanie zadania, wznosząc okrzyk: „Osoba została zabita!".

Wyjątkowego pecha miał pewien eunuch z czasów dynastii Ming, którego niecne sprawki – w tym korupcja i snucie dworskich spisków – sprawiły, że zasłużył na szczególne wyróżnienie. Gdy w roku 1510 nikczemnik został po latach bezkarności aresztowany i skazany na śmierć przez lingchi, oprawcom przykazano, by przeprowadzona na rynku w Pekinie egzekucja dostojnika trwała… trzy dni! Skorumpowany kastrat miał zostać pokrojony na naprawdę drobne kawałeczki, co więcej – należało jak najdłużej zachować go przy życiu. Niestety, nie wszystko poszło zgodnie z cesarskim planem, bo eunuch zmarł po dwóch dobach męczarni. Mimo zgonu jego zwłoki krojono dalej, co było zresztą zgodne z samym duchem lingchi, gdyż – jak się niedługo przekonamy – owa najwyższa sankcja znana chińskim kodeksom prawnym budziła grozę wśród Chińczyków bynajmniej nie z powodu wiążącego się z nią bólu. Ten paradoksalnie mógł wręcz stanowić najmniejszy problem skazanego – wedle zachowanych opisów w większości przypadków przeprowadzający egzekucję kat po dokonaniu dwóch lub

eprasa.pl 40b1557dc5

trzech symbolicznych nacięć rozpoczynających kaźń natychmiast zadawał ofierze cios łaski prosto w serce, po czym metodycznie kroił martwe już ciało.

Osobliwe szczęście

Winnego masowego morderstwa, skorumpowanego mandaryna Wanga Weiqin, poćwiartowano na pekińskim targu warzywnym w roku 1904. Wang miał osobliwe szczęście – jego lingchi należało do ostatnich przeprowadzonych w Chinach, w kwietniu następnego roku reforma sądownictwa, mająca przystosować prawa cesarstwa do zachodnich standardów, całkowicie zniosła tę formę egzekucji. Dodatkowo los przewidział dla mającego na rękach krew kilkunastu sąsiadów mandaryna swego rodzaju nieśmiertelność – tamtego dnia na targu warzywnym było kilku francuskich żołnierzy wyposażonych w przenośny aparat fotograficzny. Zafascynowani widokiem krajanego żywcem człowieka Francuzi natychmiast zaczęli uwieczniać ów makabryczny widok. Nie wnikali przy tym nawet, z jakiego powodu Wanga spotkał taki koniec, prawdopodobnie nie znali nawet jego nazwiska, to zostało ustalone wiele lat później przez historyków i sinologów.



Yuan Chonghuan, generał i polityk skazany na karę lingchi FOT. COMMONS WIKIMEDIA



Męczeństwo misjonarza Josepha Marchanda w Wietnamie

FOT. PHGCOM/WIKIPEDIA/CC BY-SA 3.0

Wykonane wówczas zdjęcia mężczyźni zabrali ze sobą do ojczyzny jako cenne pamiątki po egzotycznej przygodzie służby na Dalekim Wschodzie. Możliwe też, że krwawe obrazki trafiły nad Sekwanę na długo przed powrotem ich autorów w rodzinne strony. Jakkolwiek było, ktoś dostrzegł w fotografiach potencjał komercyjny, bo rychło zaczęły być masowo drukowane i trafiły do sprzedaży. W tym samym czasie do Europy dotarły też zdjęcia innych ofiar lingchi.

Popularność, którą cieszyły się szokujące obrazki z Chin, zrodził paradoks – akurat w momencie, kiedy Państwo Środka zrywało z sięgającą XI w. tradycją lingchi, procedura ta została w Europie i USA rozsławiona i szybko zakorzeniła się w świadomości tamtejszej opinii publicznej jako koronny dowód potwierdzający przekonanie, że Chińczycy są narodem dzikim i okrutnym. Wkrótce legenda „śmierci od tysiąca cięć" na dobre zlała się z panującą wówczas na Zachodzie masową histerią, znaną jako „żółte zagrożenie", każącą uważać Azjatów za zdegenerowanych wrogów białej rasy, pożądających europejskiej i amerykańskiej krwi oraz kobiet. Przekonanie to podzielali ludzie tak mało mający poza nim ze sobą wspólnego jak cesarz niemiecki Wilhelm II (który kazał sobie namalować cały obraz przedstawiający azjatycką inwazję) czy wybitny amerykański pisarz Jack London (napisał powieść SF, w której Chińczycy i Japończycy w latach 70. XX w. rozpętują wojnę światową).

Sądowe patologie

Europejskie przekonanie o cechującym Chińczyków wysublimowanym okrucieństwie opierało się nie tylko na zdjęciach tego, co nazwano wkrótce „torturą chińską". Wskutek wojen opiumowych w Państwie Środka licznie zaczęli pojawiać się przybysze z Zachodu, z których część zostawała tu na dłużej. Wszyscy oni chętnie wędrowali po kraju, napawając się jego egzotyką. I jakkolwiek wielu misjonarzy stało się z czasem wybitnymi znawcami Chin, to równie liczni byli Europejczycy i Amerykanie, którzy w listach słanych do domu czy pisanych przez siebie książkach przedstawiali dość karykaturalny obraz cesarstwa. Ich postrzeganie rzeczywistości między Jangcy a Rzeką Żółtą było wykrzywione zarówno przez przyjmowaną przez nich pełną wyższości perspektywę, jak i to, że samo Państwo Środka za panowania ostatnich cesarzy dynastii Qing znajdowało się w stanie głębokiego kryzysu rodzącego patologie. Odnosiło się to także do sądownictwa.

Podróżnicy mieli nieprzyjemną okazję obcować (ale tylko jako widzowie, bo mocarstwa narzuciły Pekinowi objęcie swoich obywateli zasadą eksterytorialności) z systemem, który do cna przeżarty był

eprasa.pl 40b1557dc5



Ćwiartowanie mandaryna Wanga Weiqina, Pekin 1904 r. FOT. MUSÉE NICÉPHORE NIÉPCE

korupcją i stosował brutalną przemoc, nieznajdującą oparcia w obowiązującym prawie, co wynikało wyłącznie z samowoli i okrucieństwa lokalnych reprezentantów prawa. Epizodem świadczącym o takim niewesołym stanie rzeczy jest choćby przygoda pewnego misjonarza, który natknął się na oddział żołnierzy eskortujących do sądu grupę mężczyzn oskarżonych o grabieże. Ku przerażeniu duchownego zobaczył on, że dłonie części więźniów zostały… przybite gwoździami do desek wozu, na którym jechali! Dowodzący eskortą oficer, jak gdyby nigdy nic, wyjaśnił misjonarzowi, że brakło mu łańcuchów do skucia wszystkich podejrzanych. Na to ostatnie słowo położyć musimy szczególny nacisk, bo okaleczonym aresztantom jak dotąd jeszcze nie udowodniono winy, czekało ich dopiero wstępne przesłuchanie! Nie powinno nas zatem szczególnie dziwić, że gdy podróżnik po powrocie w ojczyste strony opisał całą scenę w podsumowującej jego chińskie perypetie książce, czytelnicy tego dzieła przyjmowali za pewnik, że w samej naturze Chińczyków leży diaboliczne okrucieństwo.

Wiarę w chiński sadyzm podsycały kolejne doniesienia o torturach stosowanych w tamtejszych sądach – wykręcaniu uszu, biciu podsądnych oraz świadków bambusowym kijem, miażdżeniu palców u rąk, zakuwaniu w przenośne dyby. Z wyjątkiem tej pierwszej praktyki wszystkie one rzeczywiście były stosowane, jednak od dobrego sędziego wymagano, by ograniczył przemoc do minimum. Europejczyków i Amerykanów odwiedzających chińskie sądy szokował zwykle widok wiszących nad trybunałem narzędzi kaźni, takich jak wspomniane już dyby, czyli kang, oraz urządzenia do miażdżenia palców czy bambusowe kije. Tymczasem sama ich obecność w trybunale nie oznaczała, że były one w użyciu. O pewnym wzorowym sędzim stawianym za wzór innym przedstawicielom wymiaru sprawiedliwości mawiano, że nie zdjął narzędzi do tortur ze ściany przez 40 lat!

Chińskie sądownictwo oczywiście nie było z naszego punktu widzenia zbyt sympatyczne, zresztą sami Chińczycy unikali sądów, jak mogli, popularne powiedzenie głosiło „kto był w sądzie, ten za życia był w piekle". Procedury prawne mające zastosowanie w cesarstwie człowiekowi Zachodu mogą zjeżyć włos na głowie. Nie znano pojęcia domniemania niewinności, a wręcz przeciwnie – tego, kto trafił przed srogie oblicze trybunału, z góry uznawano za winnego i biedak musiał przytoczyć wszelkie możliwe dowody świadczące, że nie jest wielbłądem. Co gorsza, prawo rzeczywiście przewidywało wymuszanie zeznań przemocą przez zaciskanie kostek u rąk i nóg w imadłach, zakuwanie w dyby, bicie kijem czy miażdżenie palców. Jednakże przemoc ta była ściśle reglamentowana. Cesarskie ustawy określały jej natężenie, czas trwania i kategorie ludzi, którzy byli chronieni przed torturami. Ideałem było, by zadawany oskarżonemu ból nie czynił mu nieodwołalnych szkód.

Innym elementem różniącym praktykę chińską od tej z naszego kręgu kulturowego była nieobecność takich instytucji, jak adwokat czy ława przysięgłych. Trybunał składał się wyłącznie z okręgowego sędziego, który pełnił też funkcję prokuratora. W czasach kryzysu państwa, takich jak ostatnie lata panowania dynastii Qing, system stawał się coraz bardziej patologiczny. W XIX w. większość przedstawicieli aparatu sprawiedliwości brała łapówki i uzyskanie korzystnego wyroku stanowiło wyłącznie kwestię ceny, jaką gotowi byli zapłacić bliscy oskarżonego. Co więcej, nawet w przypadku, gdy podsądny został skazany, wciąż istniała możliwość wykręcenia się od wyroku dzięki pełnej sakiewce, popularnością cieszyło się bowiem… wynajdywanie zastępców ponoszących karę w miejsce płacącego! Skazany na chłostę bez trudu mógł uniknąć hańbiących i bolesnych ciosów bambusowego pręta, płacąc jakiemuś biedakowi, by ten go zastąpił. Co jeszcze bardziej szokujące, na rynku znaleźć można było też desperatów świadczących analogiczne usługi skazanym na wygnanie lub nawet… śmierć!

Wszystkie powyższe elementy chińskiego sądownictwa budziły jak najgorsze uczucia w przybyszach z Zachodu. Inna rzecz, że w ich postawie można dopatrzyć się pewnej hipokryzji – moralna wyższość Europejczyków była w XIX w. nowym wynalazkiem. W brytyjskich zakładach poprawczych czasów królowej Wiktorii panowały warunki niewiele lepsze niż w chińskich więzieniach, a wstręt do tortur i spektakularnych egzekucji też był dość świeży. Jeszcze w roku 1820 w Londynie skazano na śmierć przez utopienie, powieszenie i wypatroszenie grupę spiskowców planujących zamordowanie premiera. Nad nieludzkim okrucieństwem Chińczyków kręcili zatem nosami ludzie, których ojcowie i dziadkowie mogli tłumnie podziwiać krwawy spektakl śmierci niedoszłych zamachowców. Egzekucje skazańców były zresztą w Wielkiej Brytanii sprawą publiczną aż do połowy stulecia. Gdy parlament ostatecznie zdecydował, by zamknąć gapiom dostęp do szubienic, redaktor gazety „The Illustrated Police News" protesto-

eprasa.pl 40b1557dc5

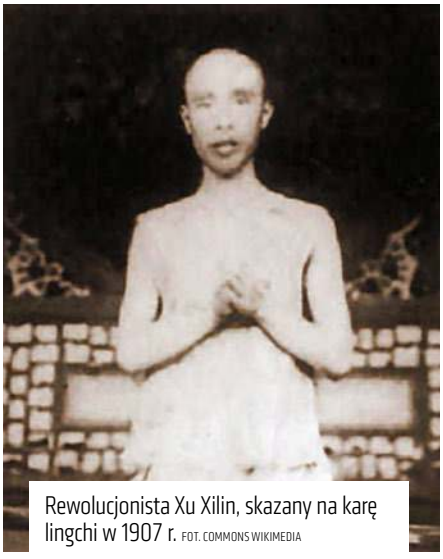
wał na jej łamach przeciwko temu aktowi „upadku obyczajów" i ponuro wieszczył, że następnym krokiem na drodze cywilizacji zachodniej do upadku może być zniesienie kary śmierci!

Na tym i na tamtym świecie

Powróćmy jednak do lingchi. Od niego zaczęliśmy naszą opowieść, na nim wypada więc również ją zakończyć. Zastanówmy się, z jakiego powodu praktyka ta budziła wielką grozę wśród Chińczyków, skoro – jak wspomnieliśmy – cios łaski skazanemu zadawano zwykle na samym początku egzekucji. Powodem były kwestie metafizyczne. Zarówno konfucjańska, jak i buddyjska wersja zaświatów wymagała od nieboszczyka stawienia się na tamtym świecie w jednym kawałku. Wedle konfucjanistów martwi jednoczyli się z przodkami swojej rodziny i razem z nimi doznawali kultu ze strony żyjących krewnych. Z kolei buddyści głosili, że po śmierci każdy wierny trafiał do swego rodzaju czyśćca, gdzie ponosił karę za popełnione za życia grzechy, po czym odradzał się w nowym wcieleniu, robiąc kolejny krok w nieustannym kołowrocie kolejnych śmierci i powrotów.

Obydwie wizje, choć logiczne rzecz biorąc wzajemnie się wykluczające, funkcjonowały równolegle, co więcej – większość Chińczyków wyznawała je równocześnie! Dotykamy tu fascynującej cechy cywilizacji Dalekiego Wschodu, unaoczniającej nam jedną z podstawowych różnic między mentalnością tamtego kręgu kulturowego a naszym judeochrześcijańskim spojrzeniem na świat. Mieszkaniec Azji Wschodniej może być równocześnie wyznawcą dwóch lub większej liczby religii i zupełnie nie dostrzegać zachodzących między nimi sprzeczności! W tradycyjnych Chinach mieszały się konfucjanizm, będący bardziej filozofią niż kultem religijnym, oraz mające już stricte religijny charakter buddyzm, taoizm i religie ludowe. Wszystkie one oddziaływały na ludność Państwa Środka, która eklektycznie żonglowała zaczerpniętymi z nich elementami.

W przypadku lingchi zarówno konfucjanizm, jak i buddyzm były zgodne – kara ta, skutkująca całkowitym zniszczeniem ludzkiej formy skazanego, odbierała mu możliwość dalszej, pośmiertnej egzystencji. Posiekanie człowieka na kawałki stanowiło tak wielki gwałt na naturze i ludzkim ciele (które jako otrzymane od rodziców było święte), że równało się to całkowitym unicestwieniem nieszczęsnej ofiary lingchi. Pewien misjonarz, próbując wyjaśnić rodakom, dlaczego kara ta budzi taki postrach wśród chińskiego ludu, stwierdzał dowcipnie, że skoro wedle religijnych przekonań Chińczyków człowiek zjawia się w zaświatach w takim stanie, w jakim opuścił ziemski padół, to posiekany na kawałki zbrodniarz staje wobec pilnej potrzeby znalezienia igły i nici w miejscu, gdzie o narzędzia krawieckie jest raczej trudno. Z tego samego powodu w dawnych Chinach uduszenie uznawano za o wiele łagodniejszy sposób wykonania kary śmierci niż ścięcie. Co prawda, to pierwsze było bardziej bolesne, ale ciało uduszonego skazańca zachowywało komplementarność w przeciwieństwie do jego ściętego odpowiednika. Dlatego często rodziny ściętych płaciły katowi za przyszycie obciętej głowy krewnego do reszty ciała. Temat ten trafił nawet do gawęd ludowych i popularnej literatury, gdzie można przeczytać historie o nieuczciwych oprawcach inkasujących gotówkę i niewywiązujących się z podjętego zobowiązania, co zwykle skutkowało dokonywaną przez ducha skazańca zemstą zza grobu.



Rewolucjonista Xu Xilin, skazany na karę lingchi w 1907 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Lingchi wbrew temu, co sugerowały sensacyjne doniesienia europejskich i amerykańskich podróżników z XIX w., zasądzano rzadko, przewidując je wyłącznie dla najgorszych zbrodniarzy. Wedle kodeksu karnego owa sankcja groziła za spiskowanie przeciwko dynastii, zabójstwo bliskich krewnych, pocięcie człowieka na kawałki (w tym wypadku kara odzwierciedlała zbrodnię) bądź wymordowanie trzech pokoleń mężczyzn przynależących do jednej rodziny. Punkty pierwszy, drugi i trzeci odzwierciedlały wagę, którą obowiązująca w Chinach ideologia konfucjańska przywiązywała do posłuszeństwa głowie rodziny i zachowania ciągu pokoleń. Jako że cesarz był symbolicznym ojcem swojego ludu, podniesienie na niego ręki było równoznaczne ze zbrodnią ojcobójstwa; prawy Chińczyk nie mógł zaś wyobrazić sobie niczego gorszego od niej, z wyjątkiem również ujętego w kodeksie karnym przypadku zgładzenia trzech pokoleń przynależących do jednego klanu. Morderstwo takie stanowiło bowiem ostateczną katastrofę dla rodziny ofiar, i to nie tylko tych jej członków, którzy przeżyli, lecz także ich przodków – eksterminując ród, zabójca powodował zerwanie ciągłości składania ofiar antenatom, skazując ich duchy na zagładę!

Lingchi bez wątpienia było karą okrutną, podobnie jak okrutny potrafił być chiński wymiar sprawiedliwości, zwłaszcza gdy przyjmował on twarz skorumpowanego lub brutalnego sędziego. Bynajmniej nie świadczy ono jednak o jakimś wrodzonym sadyzmie cywilizacji chińskiej. Brytyjscy dżentelmeni, opisujący porządki panujące w Państwie Środka i niezostawiający na nich suchej nitki, w większości byli absolwentami szkół, w których programie znajdowały się nauka łaciny i lektura starożytnych rzymskich autorów. Powinni zatem pamiętać, że w tak wynoszonym przez nich na piedestał starożytnym Rzymie normą było krzyżowanie skazańców czy przesłuchiwanie niewolników za pomocą tortur, a kara za ojcobójstwo była równie makabryczna co w Chinach – zbrodniarza zaszywano w worku z żywymi: psem, małpą, kogutem i wężem, po czym wrzucano do Tybru...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 40b1557dc5



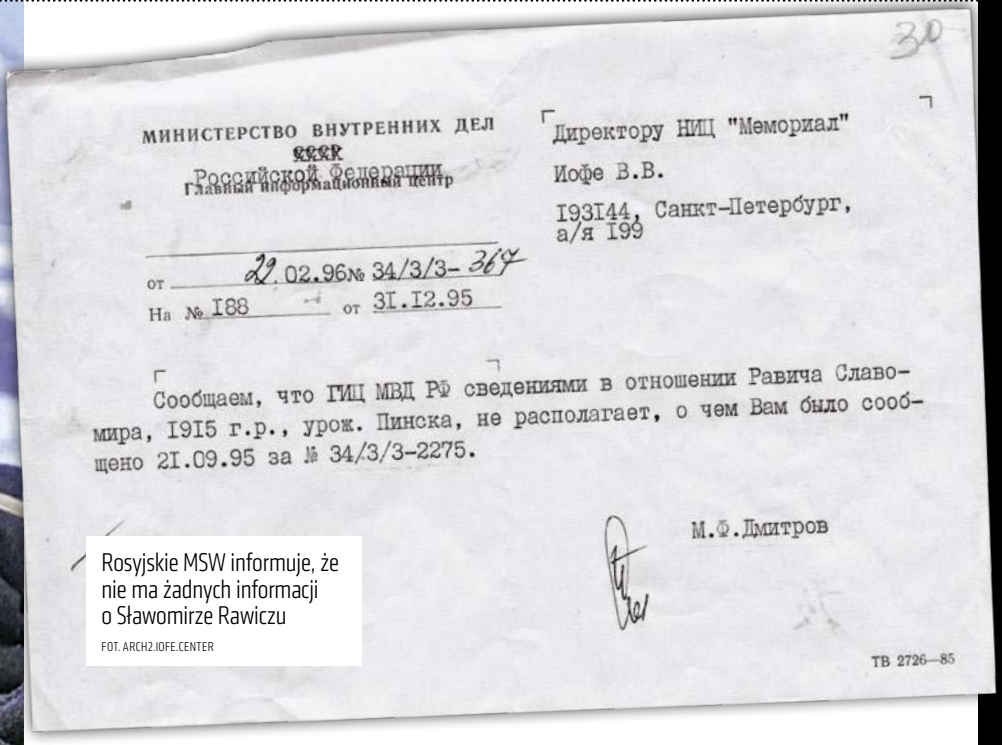
Kadr z filmu „Niepokonani" Petera Weira. Na zdjęciu: Colin Farrell FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Literacki przebój / Zmyślona ucieczka z łagru

Długi marsz, wielki fałsz

eprasa.pl 40b1557dc5





МИНИСТЕРСТВО ВНУТРЕННИХ ДЕЛ
~~СССР~~
Российской Федерации
Главный информационный центр

Директору НИЦ "Мемориал"
Иофе В.В.
193144, Санкт-Петербург,
а/я 199

от 22.02.96 № 34/3/3-367
На № 188 от 31.12.95

Сообщаем, что ГИЦ МВД РФ сведениями в отношении Равича Славомира, 1915 г.р., урож. Пинска, не располагает, о чем Вам было сообщено 21.09.95 за № 34/3/3-2275.

М.Ф.Дмитров

ТВ 2726—85

Rosyjskie MSW informuje, że nie ma żadnych informacji o Sławomirze Rawiczu

FOT. ARCH2.IOFE.CENTER



Jakub Ostromęcki

Wydostanie się z czerwonego imperium obozów było wyczynem, który udawał się tylko nielicznym. Spopularyzowane historie heroicznych uciekinierów budzą więc zrozumiałą ekscytację czytelników i miłośników kina. Niestety, nasza najbardziej znana opowieść o ucieczce z łagru okazała się prawdziwą sztafetą zmyśleń

Chodzi o sprawę, która rozpoczęła się wraz z publikacją książki „Długi marsz" Sławomira Rawicza. Ten Kresowiak z Pińska był weteranem kampanii polskiej 1939 r., więźniem GUŁagu i w końcu żołnierzem Polskich Sił Powietrznych w Wielkiej Brytanii. W 1956 r. wydał książkę „Długi marsz", w której opisał swoją ucieczkę z syberyjskiego łagru przez tajgę i stepy Mongolii, a następnie tułaczkę przez pustynię Gobi, Himalaje, Indie i Persję, gdzie wstąpił do armii Andersa. W Europie książka stała się bestsellerem, w Polsce z przyczyn oczywistych wydano ją jednak dopiero po 1989 r. Wspomnieniami zainspirował się Peter Wier, kręcąc słynny film „Niepokonani" z 2010 r.

Rawicz oszukiwał. W 2003 r. z leciwym już weteranem skontaktowała się amerykańska podróżniczka i dziennikarka Linda Willis. Chciała dowiedzieć się czegoś więcej na temat tajemniczego Mr. Smitha, Amerykanina, który miał uciekać z łagru razem z Rawiczem. Żadnego Smitha nie udało się jej oczywiście odnaleźć, zresztą Rawicz stwierdził, że do Kalkuty dotarł sam, a wszyscy jego nieznani z imienia i nazwiska kompani albo zginęli w czasie ucieczki, albo rozstali się z nim w Indiach. W tym samym czasie z autorką książki „Looking for Mr. Smith" skontaktował się Witold Gliński, zaciekawiony jej dochodzeniem, o którym dowiedział się z mediów. Gliński był podobnie jak Rawicz leciwym Kresowiakiem, który również po wojnie osiadł w Wielkiej Brytanii. W 1939 r.



Sławomir Rawicz FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 40b1557dc5

był za młody na służbę w Wojsku Polskim. Według Sowietów jak najbardziej nadawał się jednak do zesłania. W 1940 r. wraz z rodziną skierowano go do specsiołka Kriesty w okolicy skutego lodem Archangielska. Stamtąd, jak sam mówił, trafił do łagru, aż do dalekiego Jakucka, skąd w lutym 1941 r. wraz z kilkoma innymi śmiałkami uciekł identyczną trasą, którą przemierzyć miał Rawicz. Gliński również trafił na środkowym wschodzie do Andersa.

Gliński w rozmowie z Willis stwierdził, że Rawicz ukradł mu życiorys i przywłaszczył sobie osiągnięcia. Dokumenty faktycznie były dla Rawicza bezlitosne: W 1942 r. wyszedł on z łagru ma mocy tzw. sowieckiej amnestii i trafił bezpośrednio do armii Andersa formowanej na południu ZSRS, nie mógł więc być uciekinierem. Rawicz nie mógł skomentować tych odkryć, gdyż w 2004 r. zmarł. Witold Gliński stał się sławny po artykule Johna Dysona opublikowanym w „Reader's Digest" w 2009 r. Tak w świat poszła informacja o odkryciu prawdziwego uciekiniera z GUŁagu. W 2010 r. w prasie polskiej pojawiło się na jego temat wiele artykułów i wywiadów. W 2011 r. na ekrany polskich kin wszedł film „Niepokonani". Oparty był co prawda na zmyślonej relacji Rawicza, ale co do samej trasy i okoliczności ucieczki zgadzał się w większości z tym, co w prasie mówił Gliński. W maju 2010 r. szlakiem Glińskiego ruszyła wyprawa kierowana przez dziennikarza i podróżnika Tomasza Grzywaczewskiego.

Dlaczego jednak Gliński nie protestował już w latach 50., gdy Rawicz kradł część jego życiorysu? Odpowiedział na to w rozmowie z „Rzeczpospolitą": „On był głośnym pisarzem. Stali za nim adwokaci, jego wydawnictwo, miliony czytelników. Ja byłem tylko skromnym imigrantem, pracowałem przy budowie autostrad. Kto by mi uwierzył? Bałem się, że zostanę wyśmiany, że uznają mnie za jakiegoś naciągacza. Poza tym rozpocząłem tu nowe życie, ożeniłem się z Angielką. Nie chciałem wracać do tamtych przeżyć. To był dla mnie zamknięty rozdział". Rawicz miał ukraść opowieść swojego rodaka w następujący sposób: „Gdy przez Indie przedostałem się do polskiej armii w Wielkiej Brytanii, o mojej sprawie zrobiło się dość głośno. Pewnego dnia usiadło ze mną kilku oficerów i przez kilka godzin mnie przesłuchiwali. Opowiedziałem im wszystko z detalami. Była z nami sekretarka, która wszystko spisywała na maszynie, i powstał z tego pokaźny raport. Słyszałem, że po kilku latach ten raport zniknął z archiwum...".

Poprawiona data

Gliński jednak również oszukiwał. Początkowo nikt nie konfrontował jego opowieści z dokumentami. Jak można nie wierzyć pięknie opowiadającemu swoje dzieje weteranowi? Wszystko wydało się przez kolejnego, trzeciego już w tej opowieści Kresowiaka i więźnia – Leszka Glinieckiego. Już w 2009 r. słał on do Dysona informacje, że Gliński zmyśla. Dlaczego? Otóż Gliniecki i Gliński od września 1940 r. do czerwca 1941 r. żyli razem w specsiołku Kriesty niedaleko Archangielska. Gliński na mocy „amnestii" wyjechał stąd do Niżnego Nowogrodu (wówczas Gorki), a 7 marca 1942 r. został przyjęty do 8. Dywizji Piechoty w Szymkencie w sowieckim Kazachstanie. Nawet gdyby z jakiegoś powodu z Nowogrodu miał trafić na Syberię, to sześć miesięcy to zdecydowanie za mało, aby dokonać epickiej ucieczki z Jakucka do Indii, która miała trwać wszak 11 miesięcy.

Leszek Gliniecki w odróżnieniu od dwóch pozostałych zesłańców nie paraduje w glorii uciekiniera. Zamiast tego na swojej stronie internetowej udostępnia dokumenty opisujące prawdziwe peregrynacje swojego współtowarzysza Glińskiego, wytykając w poprzednich publikacjach wiele niekonsekwencji. Zacznijmy od daty urodzenia Glińskiego. W pierwszej wersji artykułu Dysona i w polskich artykułach z 2010 r. podawano rok 1922. Dokumenty zebrane przez Glinieckiego mówią jednak wyraźnie o roku 1926. Jest to kwestia fundamentalna. Jest bardzo mało prawdopodobne, aby 14-letni Witek miał stać się przywódcą grupy uciekinierów, w której miało być również trzech polskich oficerów. To dlatego Gliński w rozmowie z Dysonem podał bardziej wiarygodny dla swojej opowieści rok 1922. Dyson, w kolejnych wersjach swojego artykułu, poprawił datę urodzenia domniemanego zbiega, nie wyjaśnił jednak, jakim cudem dorośli mężczyźni mieli uczynić swoim szefem 14-latka.

Kolejne wersje opowieści Glińskiego są też niespójne, gdy idzie o same okoliczności uwięzienia. I tak w wersji Dysona uwięziono go na Łubiance, skąd trafił w okolice Archangielska. Zamiast „amnestii" spotkały go dalsze więzienie i pieszy marsz z Irkucka do Jakucka, skąd miał uciec. W rozmowie z polskimi dziennikarzami w 2010 r. zniknęła informacja o morderczym marszu zeków z Irkucka do Jakucka wzdłuż Bajkału. Całą trasę mieli pokonać pociągiem.

Opowieści różnią się też w kwestii okoliczności ucieczki. Gliński powiedział Willis, że uciekł, przerzucając koce nad drutami kolczastymi, a narzędzia konieczne do przetrwania w tajdze znalazł w opuszczonej szopie. Dysonowi rzekł natomiast, że narzędzia wykuł sam, pracując w obozowej kuźni, a resztę dała mu podkochująca się w nim... żona komendanta obozu. Zamiast koców w tej wersji pojawił się natomiast podkop. We wszystkich opowieściach Gliński portretował siebie jako doświadczonego specjalistę od survivalu, wynajdującego w zimie jadalne mchy. Uciekinier nie wpadł jednak na pomysł, aby zrobić prowizoryczne rakiety śnieżne ze świerkowych lub sosnowych gałęzi, co u ludów tajgi jest podstawową umiejętnością.

Każda z wersji Glińskiego spięta jest tym samym wątkiem. Polscy oficerowie giną na pustyni lub w przepaściach Himalajów, zanim dotrą do Indii. Reszta zaś, łącznie z Mr. Smithem, ulatnia się po drodze, aby na zawsze zniknąć z kart historii. Zostaje sam Gliński. Niewiarygodna była zresztą cała trasa eskapady. Z Jakucka najlepiej uciekać wprost na południe, do okupowanych wtedy przez Japonię Chin. Gliński i towarzysze skręcali jednak cały czas na południowy zachód, nad Bajkał. Pieszo jest to 3 tys. km. Mało prawdopodobne, aby ktokolwiek bezpiecznie przemierzył w ten sposób sowiecką Syberię. Głównie dlatego, że każdy napotkany pasterz, myśliwy, rybak mógł donieść do władz.

Prawdziwi uciekinierzy z łagrów starali się jak najszybciej dostać do dużego miasta, roztopić w tłumie, zdobyć dokumenty. Podrabiając, kradnąc, rabując czy – jak w przypadku urków – mordując ich właścicieli. Przekroczenie granicy było

eprasa.pl 40b1557dc5

dodatkową trudnością. W historii imperium obozów jest jeden kierunek, na którym zwłaszcza przed wojną zdarzały się udane przekroczenia granicy – była to Finlandia, od karelskich łagrów oddalona jednak o 300, a nie 3 tys. km.

I znów, jak w przypadku Rawicza, Gliński nie mógł ustosunkować się do zarzutów, gdyż w 2013 r. zmarł.



Brytyjska prasa informowała o „wielkiej ucieczce" Witolda Glińskiego FOT. MIRROR.CO.UK

Płytkie groby

Na tle relacji Rawicza i Glińskiego interesująco prezentuje się książka „Płytkie groby na Syberii", która ukazała się w Polsce w 2019 r. Są to wspomnienia Michała Krupy, cichociemnego o pseudonimie Ciupaga. Michał Krupa pochodził z Rudnika koło Myślenic. Rodzice chcieli, aby został jezuitą. Zrzucił jednak habit, bo nie pasowała mu surowa dyscyplina. Swobodą nie cieszył się długo, bo rychło upomniała się o niego równie surowa instytucja, a mianowicie Wojsko Polskie. W 1939 r. Krupa uniknął niewoli, ale jego rodzina, uciekając przed Niemcami, trafiła pod sowiecką okupację. Niedoszły zakonnik zrzucił mundur i przedostał się przez nową granicę w poszukiwaniu krewnych. Pech chciał, że miał przy sobie niemieckie dokumenty. Kontrolujący go enkawudziści, choć papiery wystawił ich sojusznik, natychmiast wsadzili go za szpiegostwo i Krupa trafił do łagru koło Sosnogorska w europejskiej części Rosji. W 1941 r. nie objęto go „amnestią" – siedział w końcu za dość poważny paragraf. Mimo to zrobiono go elektrykiem i pozwolono samopas chadzać, a w zasadzie jeździć konno, na naprawy linii telefonicznych. Tak w zimie 1942 r. w głowie Krupy zrodziła się myśl o ucieczce. Pewnego dnia sam wywołał poważną awarię sieci telefonicznej i pod pretekstem jej naprawy ruszył przez śniegi na południe, coraz bardziej oddalając się od łagru. W ponurej kniei, napadnięty przez wygłodniałą sforę wilków, stracił konia i dalej szedł pieszo przez kolejne wsie. Ze słuchawką na ramieniu, torbą na narzędzia i w kombinezonie roboczym wzbudzał niejaki szacunek.

Wkradł się w końcu do pociągu towarowego jadącego na wschód, do Permu, i od tej pory pociągi starał się wykorzystywać jak najczęściej. Jego relacja jest pełna niesamowitych przygód. Stoczył wygrany pojedynek na noże z napotkanym w bydlęcym wagonie urką. NKWD przyłapało go w towarzystwie złodziei, którzy kradli zapasy dla wojska. Jako sabotażystów natychmiast postawiono ich pod mur, ale Krupa przeżył własną egzekucję. Rana na szyi była straszna, jednak kula minęła zarówno tętnice, jak i kręgi. Uratowali go dobrzy starsi ludzie. Zamiast donieść, gdzie trzeba, wyleczyli i dali kolejarski mundur po synu, który też trafił do łagru.

W kolejarskim przebraniu i ze zmyśloną na poczekaniu legendą Krupa mógł podróżować pociągami pasażerskimi. Miał tupet. Za każdym razem wchodził w branżową dyskusję z konduktorami, unikając okazywania przepustek. Raz tylko na jednej z przesiadek stanął oko w oko z oficerem NKWD, który służył w łagrze Krupy. Niebieski kaszkiet coś podejrzewał, jednak Krupa zdążył wsiąść do odjeżdżającego pociągu. Tak dotarł do samego Taszkientu w sowieckim Uzbekistanie. Czego nie prześwietlili enkawudziści, udało się miejscowym przemytnikom. Osaczony przez nich Krupa przyznał, kim jest. Zamiast donosu, względnie noża pod żebro, dostał jedzenie i fałszywe dokumenty. Tak koleją dotarł do Samarkandy. Stąd zamierzał iść pieszo do Karszy przez najbardziej na zachód wysunięte pasmo Ałtaju. Tu Krupa najprawdopodobniej ubarwił nieco swoją opowieść. W górach rozdzielających Samarakandę i Karszy naprawdę trudno o przepaście, z których można by spaść, tudzież o lodowce. Krupa zamierzał dotrzeć do Afganistanu. Miał jednak przed sobą dwie przeszkody: most na Amu-darii oraz granicę biegnącą przez otwartą półpustynię. Pierwszą pokonał bezczelnie, po zmroku wręczając pilnującemu mostu, najprawdopodobniej niepiśmiennemu milicjantowi, kolejowy świstek ze stemplem z sowieckim godłem. Posterunek graniczny przeszedł równie desperacko, wykorzystując szalejącą burzę. Z Afganistanu trafił do Persji i potem w elitarne szeregi cichociemnych. Czy przerzucono go do kraju – nie wiadomo.

Relacja Krupy jest wiarygodniejsza od opowieści Rawicza-Glińskiego. Po pierwsze, przypomina udane ucieczki opisane przez Sołżenicyna i Applebaum. Przewijają się w nich zawsze te same motywy. Ktoś wykorzystuje swój techniczny fach i względną swobodę, którą w związku z tym cieszy się w łagrze, po czym stara się jak najszybciej i skrycie dostać do pociągu lub innego środku transportu czy rzecznej łodzi.

Minęły już cztery lata od polskiego wydania książki Krupy. Uwiarygodniają ją brytyjski historyk Neal Ascherson oraz były szef Polaka, prokanclerz Uniwersytetu w Bradford A.J. Thayre. Na razie nikt, wzorem Leszka Glinieckiego, nie opublikował jeszcze dokumentów podważających relację Krupy. Miejmy nadzieję zatem, że nie skończy ona jak nieszczęsne rewelacje Rawicza-Glińskiego. Polski czytelnik nie wytrzymałby kolejnego, trzeciego już łagrowego fałszerstwa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 40b1557dc5



Strażnicy obozu odosobnienia FOT. DOMENA PUBLICZNA

1934–1939 / Obóz odosobnienia w Berezie Kartuskiej

Komuniści, ukraińscy nacjonaliści i kryminaliści



Tomasz Stańczyk

Najgorzej byli traktowani komuniści i to właśnie głównie oni ukształtowali obraz miejsca odosobnienia w Berezie Kartuskiej

Miejsce odosobnienia w Berezie Kartuskiej miało rygor znacznie ostrzejszy niż w więzieniach. Dochodziło do brutalnego traktowania osadzonych, bicia i deptania ich godności. Kogo tak męczono? Największą grupę spośród tych, którzy przebywali w miejscu odosobnienia, stanowili komuniści, po nich kryminaliści i ukraińscy nacjonaliści.

15 czerwca 1934 r. wicepremier i minister spraw wewnętrznych Bronisław Pieracki został zamordowany na warszawskiej ulicy Foksal. Marszałek Józef Piłsudski wpadł we wściekłość. Sądził, że Pierackiego zabili młodzi narodowcy po tym, jak zapytany przez niego adiutant kpt. Mieczysław Lepecki powiedział, że prawie wszyscy „na mieście" mówią, że morderstwo jest dziełem tych samych, którzy zainspirowali morderstwo Gabriela Narutowicza. Po śmierci pierwszego prezydenta Piłsudski był w szoku. Nic więc dziwnego, że wysłuchawszy adiutanta, stracił panowanie nad sobą.

„Prywislincy – relacjonował jego słowa Lepecki. – Gdy okaże się prawda, ja was każę siec batogami, ja was każę ze skóry obdzierać. Ja każę nie żałować nikogo, ni kobiet, ni panienek. Ja wypleię prywislinskie nasienie i z Prywislinja, i z Galizien, i z Posen".

Rząd premiera Leona Kozłowskiego wpłynął na wydanie 17 czerwca przez prezydenta Mościckiego rozporządzenia „w sprawie osób zagrażających bezpieczeństwu, spokojowi i porządkowi publicznemu", przewidującego utworzenie dla nich miejsc odosobnienia. Nie mogło się to odbyć bez akceptacji Piłsudskiego. Jego adiutant zanotował słowa Marszałka: „Ja nic nie mam przeciw tej waszej czerezwyczajce, ja się na tę waszą czerezwyczajkę na rok zgodziłem".

Było to nawiązanie do bolszewickiej Wszechzwiązkowej Komisji Nadzwyczajnej – CzK – ale rok później Marszałek już nie żył, a jego następcy utrzymali istnienie miejsca odosobnienia w Berezie Kartuskiej do września 1939 r.

eprasa.pl 40b1557dc5

Dekret prezydenta Mościckiego wprowadzał pozbawienie wolności obywatela na trzy miesiące, z możliwością przedłużenia na następne trzy miesiące, bez postępowania sądowego. Bywało jednak, że niektórzy osadzeni w Berezie – bodaj wyłącznie komuniści – spędzali tam więcej niż pół roku, co było złamaniem prawa.

Do wysłania obywatela do Berezy Kartuskiej wystarczyło, by starosta lub wojewoda uznali, że jego działalność i postępowanie dają postawy do wnioskowania, iż grozi z ich strony naruszenie „bezpieczeństwa, spokoju lub porządku publicznego". Jeśli minister zatwierdził wniosek, to szedł on do rozpatrzenia przez sędziego śledczego w Brześciu nad Bugiem (miasto było stolicą województwa poleskiego, na którego terenie znajdował się obóz odosobnienia). Jednak bynajmniej nie wszystkie wnioski o osadzenie w Berezie były akceptowane przez sędziego śledczego. Choć zamach na Pierackiego, który był impulsem dla utworzenia miejsca odosobnienia, przeprowadziła Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów, to nie Ukraińcy trafili najpierw do Berezy. Pierwszymi, którzy na początku lipca 1934 r. zostali tam osadzeni, byli działacze Obozu Narodowo-Radykalnego, utworzonego wiosną 1934 r. Rządzący piłsudczycy zdelegalizowali niemal od razu ONR, a wysłanie jej działaczy do Berezy miało sparaliżować działalność młodych narodowych radykałów. Była to rozgrywka w ramach utrzymania władzy przez obóz rządzący. Piłsudczycy, choć mieli własne organizacje młodzieżowe, zdawali sobie sprawę z popularności wśród młodego pokolenia idei endeckich i obawiali się wpływu ONR na nie. Organizacja ta miała charakter skrajnie radykalny, deklarowała używanie przemocy i dążyła do rewolucji (narodowej), co więcej – ideowo była blisko faszyzmu włoskiego i miała oblicze antysemickie. Narodowcy zostali zwolnieni jesienią 1934 r., później tylko sporadycznie trafiali do Berezy.

W 1934 r. do Berezy wysłano także komunistów i działaczy Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Pierwsi dążyli do pozbawienia Polski niepodległości i byli jeśli nie formalnymi, to faktycznymi agentami Związku Sowieckiego i Międzynarodówki Komunistycznej (Kominternu). Drudzy uważali, że ziemie między Bugiem, Sanem a Zbruczem, województwa stanisławowskie, tarnopolskie i część lwowskiego znajdują się pod polską okupacją, dążyli do oderwania tych terenów od Rzeczypospolitej i prowadzili działalność terrorystyczną.

Komuniści i ukraińscy nacjonaliści

Funkcjonariusze miejsca odosobnienia w Berezie Kartuskiej najgorzej traktowali komunistów. Z reguły na powitanie byli bici pałkami, ale – jak wspominało wielu z nich – był to najgorszy moment podczas ich pobytu w miejscu odosobnienia. Byli jednak bici także później. Gdy skutki były drastyczne, a obrażeń nie dało się ukryć, policjanci byli karani (W. Śleszyński, „Obóz odosobnienia w Berezie Kartuskiej 1934–1939").

Bito za odmowę powtarzania za policjantem: „Nie będę więcej komunistą" i kazano się „modlić" słowami: „Stalin, ażeby cię jasny szlag trafił, Stalin, ażebyś zdechł jak sobaka".

Na terenie miejsca odosobnienia była droga wysypana tłuczoną cegłą. Komuniści musieli pokonywać ją na kolanach, z rękami uniesionymi do góry. Policjanci nazywali to „Podróżą do Stalina" albo „Drogą Stalina". Obiecywali, że kto się wyrzeknie Stalina, będzie zwolniony. „Ale takich nie było" – wspominał jeden z osadzonych („Bereziacy, wspomnienia więźniów").

Komuniści twierdzili, że pobyt w obozie odosobnienia miał ich hartować. Jednak Komitet Centralny Komunistycznej Partii Polskiej stwierdzał, że wypuszczeni z Berezy są tak „psychicznie zmaltretowani i oszołomieni", że przez dłuższy czas nie będą się nadawali do pracy partyjnej (W. Śleszyński, dz. cyt.).

Miejsce odosobnienia miało być źródłem narodzin „nowych, komunistycznych herosów".

A wśród tych „herosów" byli m.in. Fiodor Markow, dowódca operującego na Wileńszczyźnie oddziału partyzantki sowieckiej, na którego rozkaz wymordowano kadrę pierwszego oddziału AK na tej ziemi, na czele z jego dowódcą Antonim Burzyńskim „Kmicicem", Władysław Sobczyński-Spychaj, szef Wojewódzkich Urzędów Bezpieczeństwa Publicznego w Kielcach oraz Rzeszowie, Władysław Wicha, minister spraw wewnętrznych PRL, zwierzchnik Służby Bezpieczeństwa, Roman Zambrowski, jesienią 1939 r. pomocnik grupy operacyjnej NKWD w Baranowiczach, członek Biura Politycznego i sekretarz KC PZPR w latach stalinowskich.

Osadzeni w Berezie Kartuskiej działacze OUN byli traktowani łagodniej niż komuniści.

Wynikało to zapewne stąd, że polskie władze liczyły się z tym, iż Ukraińcy są i będą stałym elementem polskiej rzeczywistości. W efekcie tzw. ugody polsko-ukraińskiej zawartej w 1935 r. nacjonalistyczni działacze ukraińscy zostali zwolnieni z Berezy.

W obozie w Berezie Kartuskiej przebywali m.in. Wasyl Bandera, brat przywódcy OUN Stepana Bandery, Roman Szuchewycz, przyszły dowódca Ukraińskiej Powstańczej Armii odpowiedzialny za masowe mordy na Polakach w latach 1943–1944, Iwan Kłymyszyn, dowódca UPA-Południe, która mordowała Polaków w powiecie krzemienieckim, Eugeniusz Wreciona, zastępca referenta Służby Bezpieczeństwa OUN, oraz Jarosław Staruch, po uwolnieniu z Berezy zastępca Stefana Bandery. We wrześniu 1939 r. przez kilkanaście dni przebywał w Berezie Kartuskiej Dmytro Doncow, czołowy ideolog ukraińskiego nacjonalizmu.

W roku 1936 zaczęli trafiać do Berezy Kartuskiej ludzie ze środowisk kryminalnych, w tym recydywiści, którym nie można było udowodnić przestępstw, m.in. paserze, podpalacze, złodzieje kieszonkowi, sutenerzy.

Jednakże kryminaliści byli stosunkowo łagodnie traktowani przez załogę obozu, wspomagali ją w utrzymywaniu rygoru, a także bili współosadzonych.

Do Berezy trafiali także spekulanci, w dużej mierze kupcy, a wśród nich największą grupę stanowili Żydzi. Do Berezy można było trafić także za niepłacenie podatków.

Prawdziwa hańba

Obóz w Berezie Kartuskiej był wykorzystywany nie tylko dla

eprasa.pl 40b1557dc5

przetrzymywania tam jawnych wrogów Rzeczypospolitej, lecz także dla walki rządzących piłsudczyków z polską opozycją. Otoczenie Piłsudskiego bało się, że młodzi narodowcy są na fali i za jakiś czas mogą pozbawić ich władzy, więc postanowili przetrącić im kręgosłup, zsyłając czołowych działaczy do Berezy. Jeszcze bardziej drastycznym przypadkiem było zesłanie do Berezy redaktora wileńskiego konserwatywnego „Słowa" – Stanisław Cat-Mackiewicz został osadzony w Berezie Kartuskiej w kwietniu 1939 r. Komunikat PAT stwierdzał, że „Cat" podrywał zaufanie do zdolności obronnych państwa, szerzył nastroje defetystyczne i podrywał pozycję władz państwowych. „Cat" rzeczywiście pisał o potędze militarnej Niemiec, a także Związku Sowieckiego.

Skoro „Cat" podkreślał siłę Niemiec, to władze Rzeczypospolitej mogły uznać, że w ten sposób publicysta sugeruje zmianę polityki zagranicznej i nienarażanie się na klęskę w starciu zbrojnym z III Rzeszą. A „Cat" był rzeczywiście zwolennikiem polsko-niemieckiego porozumienia i skierowania jego ostrza przeciw Związkowi Sowieckiemu.

Można to było odczytać i tak, że „Cat" domaga się powołania takiego rządu, który porozumie się z Niemcami i pójdzie na ustępstwa wobec Berlina. Postanowiono więc zniechęcić „Cata" do publikowania czytelnych aluzji do zmiany polityki zagranicznej, co skończyło się jego osadzeniem w Berezie. Nie może to być jednak usprawiedliwieniem dla pozbawienia publicysty wolności. Oprócz przypadkowego uderzenia pałką nic się Catowi-Mackiewiczowi złego nie stało. Został zwolniony po trzech tygodniach.

Wojewoda Wacław Kostek-Biernacki

Komendantami miejsca odosobnienia w Berezie Kartuskiej byli Bolesław Greffner i Józef Kamala Kurhański. Z Berezą Kartuską łączy się natomiast powszechnie Wacława Kostka-Biernackiego, wojewodę poleskiego, tak że wciąż można dowiedzieć się, że był komendantem obozu, co jest oczywistą nieprawdą. Sprawował tylko administracyjny nadzór nad miejscem odosobnienia znajdującym się na jego terenie, jednak faktycznie miał więcej do powiedzenia.



Bolesław Piasecki, narodowiec
FOT. COMMONS WIKIMEDIA/BUNDESARCHIV



Roman Zambrowski, komunista
FOT. COMMONS WIKIMEDIA



Roman Szuchewycz, ukraiński nacjonalista FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Zaraz po drugiej wojnie światowej Kostek-Biernacki znalazł się w komunistycznym więzieniu. W śledztwie powiedział: „Mój stosunek do Berezy był na 100 proc. pozytywny. Uważałem za rzecz niezbędną taki obóz". Zaprzeczał, jakoby to on powodował zaostrzenie rygoru i oczywiście temu, by znęcał się nad osadzonymi. Biograf Kostka-Biernackiego, który przytaczał te słowa, historyk Piotr Cichoracki, stwierdza, że nie ma żadnych dokumentów wskazujących, że spowodował on zaostrzenie terroru, a relacje na ten temat mają wątpliwą wiarygodność (P. Cichoracki, „Droga ku anatemie. Wacław Kostek-Biernacki 1887–1957).

To właśnie Kostek-Biernacki doprowadził do odwołania komendanta Greffnera, na którym ciążyły zarzuty, że toleruje łamanie regulaminu i brutalne traktowanie osadzonych w obozie.

Kostek-Biernacki interweniował w sprawie poprawy bytu osadzonych, doprowadził do zwiększenia racji żywnościowych dla ciężko pracujących i po jednej z wizyt w obozie uznał opiekę medyczną za niedostateczną.

Były wojewoda poleski został skazany przez komunistyczny sąd na karę śmierci, jednak głównie z powodu zwalczania ruchu rewolucyjnego i szkalowania Związku Sowieckiego. Co ważne, jak zauważał Piotr Cichoracki, w wyroku pominięto zarzut opracowania regulaminu miejsca odosobnienia w Berezie Kartuskiej i działań w celu dręczenia więźniów. Kara śmierci została zamieniona byłemu wojewodzie polskiemu na 16 lat pozbawienia wolności. Po 10 latach więzienia Kostek-Biernacki wyszedł z więzienia ze zrujnowanym zdrowiem na zwolnienie warunkowe i zmarł w 1957 r.

Po sowieckiej agresji, w nocy z 17 na 18 września 1939 r., policyjna załoga obozu opuściła jego teren. Osadzeni wydostali się na wolność. Najbardziej cieszyli się komuniści, gdyż wydawało się im, że nadchodzi „nowa epoka" w dziejach. „Marzenie staje się rzeczywistością [...]. Oto, co taiło się w prostych słowach: idzie Armia Czerwona!" – stwierdzał jeden z nich. I pomaszerowali na spotkanie czerwonoarmistów. A później stali się budowniczymi komunistycznej Polski...

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 40b1557dc5



1934–1939 Życie w obozie odosobnienia w Berezie Kartuskiej

Zaproszenie do walca

Zbiórka osadzonych w obozie przed blokiem aresztanckim. Grafika z publikacji Wołodymyra Makara z 1956 r.

FOT. DIASPORIANA.ORG.UA



Wojciech Lada

Metodą „reedukacji" w obozie odosobnienia były bardzo wyczerpująca ciężka praca i ośmiogodzinne „ćwiczenia fizyczne"

Nadzorujący działalność obozu w Berezie Wacław Kostek-Biernacki istotnie bywał okrutny, choć już w tych czasach prześcigali go wyraźnie młodsi koledzy, jak Władysław Nadolski czy Mieczysław Włodarski.

„Kilkudziesięciohektarowe tereny przekopywaliśmy ustawieni w linię. Z tyłu stali policjanci. Gdyby któryś z towarzyszy wyprostował grzbiet, zostawał natychmiast skatowany przez policjantów. Wyróżniali się tu policjanci: Włodarski, Nadolski i inni. Po dziesięciu godzinach morderczej pracy, kiedy przychodziliśmy na salę, dostawaliśmy trzy menażki wody do picia na trzydziestu ludzi. Zaznaczam, że w czasie pracy, która odbywała się na czterdziestostopniowym upale, do picia nie dawano nam nic. Wykopane z pól kamienie woziliśmy na normalnych wozach, z tą różnicą, że zamiast koni ciągnęli go ludzie. Wozu nie można było ruszyć z miejsca. Policjanci bili nas pałkami po głowie i po twarzy, towarzysze padali, ale wóz ruszał. Pamiętam fakt, że zaprzężono mnie i jeszcze trzech towarzyszy do brony. Bronowaliśmy cały dzień poganiani pałkami policjantów" – opowiadał jeden z więźniów Szymon Goldstein.

Kostek-Biernacki oznajmił pewnego dni przesłuchującym go funkcjonariuszom PRL, że jego zdaniem Bereza była w zasadzie standardowym obozem pracy. I właściwie trudno się z tym nie zgodzić, choć pojęcie „standardowy" wydaje się jednak nieco naciągnięte. Faktycznie jednak większość dnia osadzeni musieli pracować. O godz. 5.30 na placu odbywał się apel, na którym wszyscy otrzymywali przydział do konkretnych zajęć. „Od dostania się do odpowiedniej kolumny w dużej mierze zależało zdrowie czy nawet życie osadzonego" – zauważał historyk Wojciech Śleszyński.

Dzień w ogrodzie

Bo mogło nie być źle. Kto trafił np. do kuchni, pralni czy nawet kuźni, nie mógł narzekać. Tu praca była raczej lekka, a przynajmniej nie morderczа, w kuchni można była uszczknąć coś do jedzenia, nie dało się wymusić na więźniach pracy biegiem, stąd też policyjne pałki spadały na ich nerki stosunkowo rzadko. Kłopot w tym, że wszyscy o tym wiedzieli i do tego rodzaju prac kierowano zazwyczaj więźniów mocno już schorowanych, którym jednak nie udało się dostać na izbę chorych. Sporo o ich formie świadczy choćby to, że w obozowym żargonie grupa nazywana była „umierajkami", choć trafiali tu również więźniowie całkiem zdrowi – kryminalni, konfidenci lub ci, którzy zdecydowali się podpisać deklarację lojalności. Reszcie pozostawała praca w betoniarni, przy brukowaniu drogi biegnącej w pobliżu obozu, przy szeroko rozumianych pracach ogrodowych.

To ostatnie nie brzmi zbyt strasznie, ale to tylko pozory. Do prac ogrodowych zaliczano m.in. mieszanie i rozrzucanie kompostu czy wszelkich odpadków organicznych, w tym ludzkiego kału. Byłoby to może znośne, gdyby nie to, że więźniowie robili to gołymi rękami, a strażnikom zdarzyło się kilka razy niektórych

eprasa.pl 40b1557dc5



Franciszek Jóźwiak, osadzony w Berezie Kartuskiej, był później dygnitarzem w PRL FOT. WIKIMEDIA COMMONS/AAN

z nich zakopać w dole wypełnionym fekaliami.

Jednak w polu nie było lekko nawet tym, którym udało się uniknąć kontaktu z kompostem. To tę właśnie pracę opisywał wyżej Goldstein, a inni zachowali w tej kwestii identyczne wspomnienia. „Ogrodnicy mieli pracę ciężką i trudną. Bronowali pola, używano ich jak zwierzęta pociągowe, poganiano ich pałą, a nie batem. Wozy naładowane kamieniami musieli przewozić z miejsca na miejsce. Nadolski [Władysław, jeden z najgorszych strażników – przyp. W.L.] ze swą ekipą znęcał się strasznie nad pracującymi. Większość roboty wykonywano bez planu i potrzeby. Kopano ziemię nie dlatego, że trzeba było ją kopać, a po prostu dlatego, że trzeba było nas męczyć. Zaprzęgnięci do brony, wozu czy pługa, bici o wiele gorzej od bydła, nie korzystaliśmy z praw obowiązującej ustawy o ochronie zwierząt" – opowiadał Maksymilian Bartz.

„Pracą było tzw. kopanie terenu, każdy miał wydzielony odcinek, gdzie przekopywał ziemię i wydobywał cegły i kamienie ze starych fundamentów. Kto zostawał w tyle, był bity. Jeśli ktokolwiek spragniony szedł prosić o wodę oprawców, kazano mu ćwiczyć »bieg, padnij i powstań«, »kaczy chód« i ze słowami: »tu jest Sahara, nie ma wody« musiał iść z powrotem do pracy. Przekopany teren więźniowie musieli sami bronować, na brony kazano nakładać kamieni, zaprzęgano po sześciu do brony i biegiem goniono po polu, bijąc pałkami. Gdy więźniowie nie mogli podnieść noszy z kamieniami, gdyż było to ponad ludzkie siły, kazano im biegać z noszami po piramidzie kamieni i nie wypuszczając noszy z rąk, padać i wstawać" – podsumowano w powojennym akcie oskarżenia Kostka-Biernackiego.

„Praca przy noszach była najcięższa. Wielkie, zrobione specjalnie z twardego, ciężkiego drzewa, były dla nas postrachem. Kładliśmy na nie kamienie, cegły, ziemię i dźwigaliśmy. W normalnych warunkach używa się do tego taczek. – Więcej nabierać, nie bawić się. Dwóch z nas chwyta za nosze. Są tak ciężkie, że urywają ręce. Robimy kilka kroków, chwiejemy się i nie możemy ruszyć dalej. – Markietanci – krzyczy policjant, bijąc nas" – wspominał Samuel Podhajecki.

Bywały przypadki, gdy strażnicy uwzięli się na konkretną osobę. W tym przypadku bieg zamieniał się w ekstremalny maraton. Zapamiętał to choćby Henryk Zołotow: „Widziałem następującą scenkę: jednego towarzysza (Skrobek) za karę zmuszano cały dzień na polu pracować biegiem. Z noszami naładowanymi gruzem (ok. 50 kg) biegł on z drugim współtowarzyszem, wyładowywał nosze i biegł z powrotem. Specjalni więźniowie napełniali nosze nowym gruzem, drugiego zmieniali, a on, Skrobek, ze zmienionym (współwięźniem) znowu biegł z noszami z gruzem, cały dzień. Najdziwniejsze w tym wszystkim, że Skrobek wytrzymał tę udrękę" – dziwił się po latach.

To właśnie w ten sposób poniosły śmierć bodaj najsłynniejsze ofiary Berezy, czyli Abraham Germański i Aleksander Mozyrko. „W czasie pracy na terenie 9 maja 1936 roku Germanicki z Nowoświącian i Muzyrko (sic!) nosili biegiem na nosiłkach ziemię. Kiedy potknął się jeden z nich i ziemia się rozsypała, zmuszono ich, by ziemię zbierali na nosiłki ustami. Wówczas przy zmuszaniu ich do tej roboty tak bili pałkami, że pomdleli, a gdy ich ocucono, to wówczas doktor stwierdził, że to była symulacja, i wtrącono ich do karceru. W gorączce towarzyszy zmuszano, by jedli obiad, a nie mogli. Bito sczerniałych do tego stopnia, że na drugi dzień dowiedzieliśmy się, że Muzyrko i Germanicki nie żyją" – opowiadał Jan Wójcik.

Bereska kwadryga

Do prac polowych należała też praca w betoniarni, była bowiem ściśle związana z budową okolicznej drogi. W samej betoniarni wyrabiano po prostu sześciokątne płyty drogowe i sama ich produkcja nie była jeszcze dla więźniów wyczynem karkołomnym. Rzecz w tym, że trzeba było je jeszcze przenieść, i na tym polu wyróżniał się podobno Włodarski. „Przez pewien czas Włodarski brał udział w wywożeniu kostki brukowej z betoniarni. Do wozu zaprzęgano więźniów, na który kładziono trzydzieści pięć kostek brukowych po trzydzieści pięć kilo każda, i czterech więźniów musiało ciągnąć wóz aż do budowanej w tym czasie przez obóz szosy, na trasie dwóch kilometrów. Włodarski był jednym z tych, którzy wyżej opisaną pracę kazali wykonywać biegiem, i stosował przy tym bicie więźniów gumową pałką" – wspominał Paweł Lubicz. O tym, z jakim wysiłkiem musieli zmierzyć się zaprzęgnięci do wozu więźniowie, mówi proste wyliczenie. Same kostki ważyły ponad tonę, do tego trzeba doliczyć ciężar samego walca. Na jedną osobę wypadałoby w ten sposób dobrze ponad 300 kg. Biegiem i przez kilka godzin.

Jednak nadzorujący te prace Michał Włodarski miał bardzo silną konkurencję w osobie Nadolskiego. Wygląda to trochę tak, jakby obaj postanowili prześcigać się w finezji zamęczania więźniów, i Nadolski chyba jednak wygrywał. Prawdziwą legendą Berezy stały się jego „wyścigi rydwanów", czyli praca przy kilkutonowym walcu drogowym, którym ubijano powstającą nieopodal drogę. Doskonale zapamiętał to m.in. Adolf Haber:

„Latem 1937 roku budowano obok bloku aresztanckiego drogę z miału ceglanego. Kilkudziesięciu aresztowanych ciągnęło z przodu i z tyłu kilkutonowy walec. Dookoła walca znajdowała się obręcz, na której stał Nadolski, trzymając w ręku gumową pałkę i naganiając do szybkiego ciągnięcia walca" – opowiadał. Jednak jego kolega Karol Dmowski był bardziej precyzyjny, a z pewnością bardziej błyskotliwy: „Praca ta była ciężka i ponad siły. Zważywszy na to, że walec, prócz swojej normalnej wagi, był obcią-

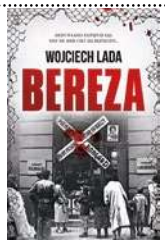
eprasa.pl 40b1557dc5

żony kamieniami, którymi wypełniona była żelazna skrzynia. Na kamieniach tych stał policjant kierujący tą pracą, Nadolski, który przy ciągnięciu walca o kształcie kwadrygi rzymskiej, stojąc z wierzchu na kamieniach, bił ciągnących je ludzi kijem".

Nadolski raczej nie znał pojęcia „kwadryga", ale podświadomie ożyły w nim najwyraźniej instynkty gladiatora. Nie wiemy, ile dokładnie ważył taki walec, jednak idea takiego sprzętu polega właśnie na tym, by był jak najcięższy. Mówimy w każdym razie o kilku tonach. Tymczasem według dzisiejszych standardów jeden mężczyzna może pracować przez określony czas z ciężarem maksymalnie 50 kg, co oznacza, że 20 powinno ciągnąć nie więcej niż jedną tonę. Warto dodać: 20 odpowiednio odżywionych, zdrowych, z zapewnionym dostępem do wody, a w dodatku przez określony czas, z przerwami. Tymczasem wiele wspomnień mówi o tym, że żadna z tych norm nie była spełniona – także ta co do liczby więźniów. „Walec o wadze pięciu ton ciągnie dziesięć osób, pomimo że oficjalnie minimum dwadzieścia" – zapamiętał Artur Żyto.

Dmowski uzupełniał: „Ponieważ praca przy budowie tej drogi prowadzona była w upalne lato 1937 r., więźniowie zmuszani przez Nadolskiego do nadludzkich prac zalewali się potem, a starsi i słabsi z nich dostawali krwotoków. Policjant Nadolski nie zezwalał pić wody więźniom i jeżeli kto chciał się zbliżyć do stojącej obok konwi z wodą, był przez niego bity lub kopany […]. Czasem pozornie pozwalał, ale gdy ktoś chciał już zaczerpnąć wodę, kopnięciem przewracał naczynie" – tłumaczył.

A jeśli ktoś chciał narzekać na ciężar walca, Nadolski i inni zadbali o stosowny kontrargument. Otóż jedną z ulubionych kar wymierzanych podczas wykonywania obozowych prac była tzw. droga Stalina. „Na placu ćwiczeń znajdowała się ścieżka, wysypana grubo tłuczoną cegłą. Policjanci nazywali ją »drogą do Stalina«. Po tej drodze musieliśmy chodzić na kolanach, z podniesionymi rękoma, lub czołgać się na łokciach […]. Kazano nam odbywać ciągłe marsze w przysiadzie lub na palcach i z podniesionymi w górę rękami. Gdy ktoś upadł ze zmęczenia lub zemdlał, policjant cucił go uderzeniami pałki lub kopaniem



WOJCIECH LADA
„BEREZA"
SKARPA WARSZAWSKA

w nerki" – opowiadał Goldstein. Po przejściu tej „pielgrzymki" do wodza rewolucji wszyscy byli zakrwawionymi strzępami. Rzecz jasna, gdyby żwir był lepiej ubity, rany byłyby mniejsze…

Żabki w błocie

A mimo to w Berezie i tak znacznie lepiej było pracować niż nie pracować. Rzecz w tym, że kto nie pracował, musiał albo stać godzinami na baczność, bez ruchu, twarzą do ściany (jak w niedziele), albo – co w Berezie było opcją zupełnie najgorszą – brać udział w ćwiczeniach fizycznych. Był to wariant ekstremalny. Oznaczał osiem godzin, licząc z przerwą obiadową, wykonywania komend: „padnij, powstań". Tak zwanego kaczego chodu – w pozycji kucającej – bądź w tej samej pozycji wykonywania skoków, tzw. żabek, czołgania się… Repertuar zależał już wyłącznie od wyobraźni policjanta. Zawsze jednak w morderczym tempie: „Zaczyna się wściekła, niewiarygodna galopada. – Baczność! Rozejść się! Baczność! Padnij! Czołgaj się! Na łokciach gadzino, na łokciach i na palcach! Biegiem! Biegiem! Powstań! W kucki wokół sali, biegiem marsz! W prawo zwrot! Padnij! Wasza mać! Siad! Padnij! Piętnaście razy padnij! Baczność! Urywane słowa komendy padają z niewiarygodną szybkością" – zapamiętał Hawryluk.

A wszystko to, jak zresztą wszystko w Berezie, w zawiesistym błocie i pod gradem policyjnych pałek. „Ćwiczenia odbywały się na dziedzińcu w straszliwym błocie, do którego kazano nam padać. Ćwiczyliśmy dziesięć godzin z przerwą na obiad. Większą część ćwiczeń stanowiło wykonywanie komendy: padnij oraz przysiadów. Niektórzy towarzysze, specjalnie ludzie starsi, nie potrafili szybko i zgrabnie wykonać komend i nad tymi szczególnie się znęcano" – tłumaczył dalej Goldstein. „Bardzo długie biegi, szturmowe padnij, kaczy chód, żabka, czołganie się, postawienie w przysiadzie z podniesionymi rękami do góry, chodzenie na czworakach itp." – wyliczał Tadeusz Górczyński. A Leon Stasiak uzupełniał:

„Po skatowaniu wszystkich wyprowadzono nas na karne ćwiczenia, które trwały kilka godzin. Zaczęło się od biegu po ostrych kamieniach, następnie przyszedł czas na marsz w przysiadzie, przy którym kilku padło bez przytomności, dalej zaczęło się czołganie przy zakasanych rękawach i spodniach, do zupełnego zdarcia skóry i silnego krwawienia z łokci i kolan. Słabszych, którzy padali lub mdleli, podnoszono biciem pałkami i kolbami".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Fragment książki Wojciecha Lady pt. „Bereza", wyd. Skarpa Warszawska.



Sowiecki pomnik na terenie byłego obozu
FOT. COMMONS WIKIMEDIA/CHRISTIAN GANZER, HAMBURG

eprasa.pl 40b1557dc5

Późny debiut / Eustachy Rylski

Alchemik pięknego słowa



FOT. PAP/TOMASZ CZELL



Krzysztof Masłoń

Zawsze uważał, że należy pisać o tym, o czym samemu chciałoby się przeczytać, wymyślił więc opowieść o płk. Stankiewiczu, o którym przed laty usłyszał od swego dziadka

Został pisarzem niejako na przekór inż. Janowi Podmagórskiemu, jego szefowi w bazie transportu leśnego w Sobieszowie koło Jeleniej Góry, który dostrzegając u podopiecznego literackie inklinacje, z troską w głosie przekonywał go: „Panie Stachu, literatura to nie jest zajęcie dla dżentelmena. Niech pan pomyśli, kim mógłby zostać Marek Hłasko, gdyby nie poszedł w literaturę? Mógłby zostać dobrym szoferem. Miał do tego talent. I mógłby zarabiać pewne pieniądze, prowadząc życie prawdziwego mężczyzny”.

Inżynier Podmagórski wiedział, co mówi. Ładnych parę lat wcześniej był tak samo przełożonym przyszłego autora „Następnego do raju”, tylko firma nazywał się wtedy Paged. Eustachy Rylski zapamiętał go jako człowieka dzielnego, z ciekawą przeszłością, trochę awanturnika, żyjącego – jak go wspominał – z nieodpowiedzialnością szaławiły i wolnością starego kawalera. Pisarz sportretował potem tego swojego mentora z lat młodzieńczych, m.in. w powieści „Obok Julii” (2013). A w eseju o Hemingwayu i swemu dawnemu zapatrzeniu w tego pisarza zamieścił kapitalną scenę, w której inż. Jan po przeczytaniu powieści Hemingwaya „Słonce też wschodzi” warknął:

„– Czemu oni są tacy przygnębieni? W Ameryce, w Hiszpanii, w Paryżu, na Lazurowym Wybrzeżu? Czego im brakuje?

– Lost generation – odpowiedziałem.

– Co takiego?

– Stracone pokolenie.

Inżynier huknął drzwiami od kanciapy, aż się tynk posypał.

W kilka dni później, ciemnego jak noc, zadeszczonego, grudniowego poranka, wskazując świat za oknem, to pobojowisko po wszystkich nadziejach i oczekiwaniach, dodał:

– A my jesteśmy kontenci”.

Wybici do nogi

Ten mentor Eustachego Rylskiego lubił go, wyróżniał chłopaka, odwiedzając go

eprasa.pl 40b1557dc5

Rylski przygodę z literaturą rozpoczął dopiero w wieku 37 lat, za to z przytupem. „Stankiewicz" z miejsca zdobył sobie czytelników. Książka miała dodruki i liczne tłumaczenia



Eustachy Rylski odbiera Nagrodę Literacką im. J. Mackiewicza, 2005 r.
FOT. PAP/ANDRZEJ RYBCZYŃSKI

w domu, gdzie mieszkał wychowywany przez dziadków ze strony ojca. Rodziciela swego nie znał, był pogrobowcem. Urodził się w listopadzie 1944 r., dwa miesiące wcześniej w Młodowie koło Rytra Niemcy rozstrzelali jego ojca, inż. Eustachego Rylskiego, żołnierza Armii Krajowej. Dziadkowie pisarza stracili w czasie wojny także drugiego syna, porucznika kawalerii Jerzego Rylskiego, którego Sowieci wywieźli do rejonu Komi, gdzie zmarł jeszcze w 1941 r. Do łagru trafiła także siostra Eustachego i Jerzego. Na szczęście udało jej się wrócić na przełomie lat 40. i 50. – Żyłem w otoczeniu kobiet – mówił w wywiadzie. – Mężczyzn młodych nie było, wybici do nogi. Do nogi.

Jako pisarz zadebiutował późno „Stankiewicza", wydanego w 1984 r., napisa trochę wcześniej, bo w stanie wojennym. „Było ciemno, ponuro – opowiadał mi – i wtedy wpadłem na pomysł, żeby wykorzystać ten czas na pisanie". A że zawsze uważał, że należy pisać o tym, o czym samemu chciałoby się przeczytać, wymyślił opowieść o płk. Stankiewiczu, o którym przed laty usłyszał od swego dziadka. „Otóż, podczas jakiegoś uroczystego i bardzo arystokratycznego ślubu tuż przed pierwszą wojną światową – wspominał pisarz – moi dziadkowie poznali starszego pana, który opowiedział im, jak to w trakcie odbywania praktyki oficerskiej na Kaukazie, w jednej z kozackich sotni, rozpoznał podoficera, który ponad wszelką wątpliwość ściął głowę jego ojcu. Działo się to po powstaniu styczniowym, w obecności poznanego przez dziadka mężczyzny, wówczas małego chłopca. Taki był punkt wyjścia mojej historii".

Ta nie byle jaka historia, wraz z „Powrotem" wydrukowanym w jednym tomie ze „Stankiewiczem", miała okazać się jednym z najgłośniejszych debiutów pisarskich w powojennej Polsce. Późnym, Rylski bowiem swoją przygodę z literaturą rozpoczął dopiero w wieku 37 lat. Za to z przytupem, a „Stankiewicz" z miejsca zdobył sobie czytelników, książka miała kolejne wydania, przetłumaczona została na wiele języków i tylko wypada żałować, że nie doczekała się ekranizacji, choć do takiej gotował się sam Władysław Pasikowski, w latach 90., po „Psach", reżyser najbardziej bodaj w Polsce wzięty.

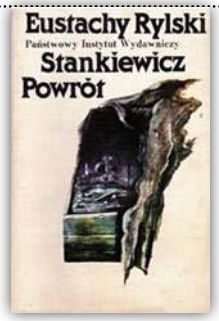
Nieprawdopodobna zmysłowość

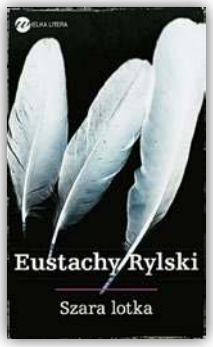
Spytałem Rylskiego, czy znał Jarosława Iwaszkiewicza, pisarza będącego pierwowzorem bohaterów jego świetnego dramatu „Chłodna jesień" (1990) czy powieści „Na Grobli" (2010). Zaprzeczył:

„Powiem panu nawet, że muszę być jednym z nielicznych, a może nawet jedynym autorem starszego pokolenia, który z Iwaszkiewiczem nie zamienił ani jednego słowa, a nawet nigdy go nie widział, oczywiście poza kronikami filmowymi, a potem telewizją.

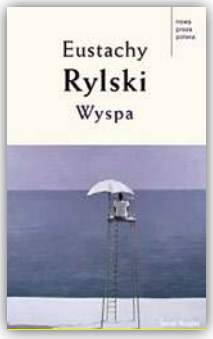
W szkole podstawowej miałem nauczyciela matematyki. Nazywał się Poniatowski. Był z tych Żydów, którzy nie mają łatwego dostępu do życia, stosując znakomite powiedzenie Gombrowicza. Wyjechał potem do Izraela, jego obecność w moim Sobieszowie, miejscu w tych czasach surowym, dzikim, okrutnym była czymś absurdalnym. Miał opinię wybitnego matematyka, ale chyba samouka, i to, że męczył się z rozmaitymi cymbałami w szkole podstawowej, też było absurdalne. Namawiał mnie do zajęcia się równaniami, czyli – jego zdaniem – najbardziej dystyngowaną częścią algebry. Ale jakoś mi to nie szło, stwierdziłem więc, że nie mam talentu do matematyki, na co on machnął ręką, mówiąc: »Tu nie chodzi o talent do matematyki, tu chodzi o talent do piękna« i by zakotwiczyć we mnie to przekonanie, dał mi do przeczytania »Panny z Wilka«, byle jak wydane na pakowym papierze. Książka przeleżała odłogiem jakieś dwa, trzy lata, bo wtedy byłem chyba na etapie »Winnetou«. Któregoś lata, nie mając żadnego pomysłu na własne wakacje, sięgnąłem po nią i już w niej pozostałem na zawsze. Odniosłem wtedy wrażenie, że to jest coś nie z tego świata. Już nigdy potem nie miałem tak dojmującego wrażenia obcowania z metafizyką najwyższej próby. A to taka prosta historia:

eprasa.pl 40b1557dc5









ktoś przyjeżdża do Wilka, wspomina sytuacje, które były w młodości udziałem każdego z nas, i wyjeżdża. Nic się tam szczególnego nie zdarza, ale ostatnie chwile opowiadania, gdy bohater tak rzeczowo rozważa, co będzie miał do zrobienia po krótkim urlopie, a tu całe życie przeciekło mu między palcami, są wstrząsające, bo powszednie. Wtedy też po raz pierwszy dotknął mnie ten paradoks rozkoszy smutku. Pisać o smutku tak, byśmy w nim zakosztowali. To niebezpieczne mistrzostwo".

Nie był jednak wobec pisarza ze Stawiska bezkrytyczny. Podkreślał, że napisał on znacznie więcej rzeczy złych niż dobrych, a niektóre – nawet bardzo istotne – są udane tylko połowicznie, jak choćby „Sława i chwała", którą „czytać można, dopóki rozświetla ją światło Ukrainy. Potem już nie". Ale takie opowiadania jak „Panny z Wilka", jak „Brzezina", „Młyny…", „Noc czerwcowa" i jak późne wiersze Iwaszkiewicza były mu bardzo bliskie. Przyznawał, że „podobnie odbiera świat, biologicznie i sensualistycznie. Gdybym miał znaleźć słowo, które najlepiej charakteryzowałoby twórczość tego pisarza i to, co jest w nim dla mnie najbliższe, to powiedziałbym, że zmysłowość. Nieprawdopodobna zmysłowość. A i pewien rodzaj aintelektualizmu. Ta twórczość jest trochę zwierzęca, pogańska. I jest w niej nieprzemijalność, choć ona sama tak często pochylała się nad nietrwałością istnienia".

Z niejednego pieca

W 2006 r. miałem przyjemność u boku Marka Nowakowskiego i Eustachego Rylskiego właśnie mówić o książkach w cyklicznej audycji Marcina Wolskiego. Rylski opowiadał o swej młodzieńczej fascynacji Hemingwayem, o Iwaszkiewiczu, a także o Turgieniewie, którego najwyżej cenił z piszących Rosjan, o poezji Błoka, o tym, kim był dla niego jako pisarz, ale może bardziej jako człowiek Andre Malraux, a kim Albert Camus, wreszcie o jednej ze swoich najważniejszych literackich przygód, jaką była lektura „Śniadania u Tiffany'ego" Trumana Capote'a. Tym ważniejszą, że miał wtedy Rylski 18 lat. Nieprzypadkowo ten właśnie rok – 1963 – będzie się często pojawiał na kartach jego prozy. A o wszystkich wymienionych tu wielkich postaciach literatury napisze w świetnym tomie szkiców „Po śniadaniu" (2009).

Gdy rozmawiałem z Eustachym Rylskim po wydaniu „Człowieka w cieniu" (w 2005 r. nagrodzonego Nagroda Literacką im. Józefa Mackiewicza), pytając o to, na ile utożsamia się z Rańskim, bohaterem powieści, odparł, że „nie identyfikuje się z nim, jak i z innymi swoimi bohaterami". „Żadna z moich postaci nie jest mną – przekonywał – a Maks Rogoyski z »Powrotu« czy Stankiewicz, bohater powieści pod tym samym tytułem, są moimi antytezami. Mój stosunek do świata jest inny. Ale, oczywiście, są też postacie, które mają coś ze mnie, jak księgowy z »Dziewczynki z hotelu Excelsior« i, w jakiejś mierze, Rański z »Człowieka w cieniu«. O czym zresztą mówimy! Jeśli o sobie pisze Malraux, to może z tego wyniknąć wielka literatura. A jaka literatura może powstać z pisania o Rylskim?".

Na to nie ma zgody. Oczywiście trudno przebić życiorys republikańskiego kondotiera w Hiszpanii, rewolucjonisty w Chinach, pułkownika Ruchu Oporu w okupowanej Francji i ministra u boku de Gaulle'a, ale Rylski też z niejednego pieca chleb jadał. Za pisanie zabrał się mając już całkiem spore doświadczenie życiowe. Nie tylko pracował we wspomnianej „bazie ludzi umarłych" na Dolnym Śląsku, lecz także był i robotnikiem, i urzędnikiem, wychowawcą w szkole budowlanej i instruktorem w domu kultury, w wolnej Polsce z żoną wydawał pismo i grał na giełdzie. Równie dobrze mógłby być zupełnie kimś innym. Żadnych studiów nie skończył, a maturę zdał w wieczorówce w Wałbrzychu.

Politycznie był też postacią wcale niejednoznaczną. Nawet do PZPR wstąpił w latach gierkowskich, oddając legitymację w 1981 r.. Po latach, dokładnie w 2010 – już jako autor „Stankiewicza", „Warunku" i „Człowieka w cieniu" – nieoczekiwanie wsparł Janusza Palikota, co zostało rozdęte ponad miarę, ale dość powszechnie dziwiono się, przypisywane mu były bowiem zupełnie inne sympatie polityczne. On sam to komentował, że rzeczywiście „jeśli brać sprawy serio, nie na zasadzie – kogo z kim widziano, na czyich imieninach się brylowało, czy kto z kim pił wódkę – to w moich próbach prozatorskich i dramatycznych, a nawet eseistycznych jest wystarczająco dużo elementów konserwatywnych, żeby prawica uznała mnie za pisarza jej bliskiego". Dowodem na to miała być Nagroda im. Józefa Mackiewicza za „Człowieka w cieniu", o której orzekł: „Miałem i mam wrażenie, że dostałem ją za książkę, a nie za postawę".

W naszym kraju nic nie jest jednak takie, jak się nam wydaje. Po „Mackiewiczu" arcydzieło Rylskiego – „Warunek" (2005) – mogło zostać do Nike nominowane. I tylko nominowane. A była to powieść wyjątkowa, jedna z najwybitniejszych, najpiękniej napisanych spośród tych, które powstały w Polsce po roku 1989. Pozostaję pod jej urokiem do dzisiaj i mógłbym słowo w słowo powtórzyć swą pierwszą entuzjastyczną recenzję, w której przyznawałem się, że „nie rozumiem, na czym polega alchemia słowa Eustachego Rylskiego, ale wiem, że w trakcie lektury nie tylko podążałem śladami jego bohaterów, lecz także kroczyłem stopa za stopą wraz z nimi. To ja znalazłem się raptem w roku 1812, to ja zdezerterowałem z Wielkiej Armii Napoleona i wlokłem się potem tygodniami, obchodząc Moskwę od południa, wdychając swąd palących się domostw rosyjskiej stolicy. To ja zdychałem z gło-

eprasa.pl 40b1557dc5



Kadr z filmu „Dziewczynka z hotelu Excelsior" FOT. MUZUEM KINEMATOGRAFII W ŁODZI

du, bałem się wilków, stąpałem ostrożnie po skutej lodem Dźwinie. Ja chciałem pojedynkować się w imię Polski…".

A przy tym, pomimo całego sztafażu, nie jest wcale „Warunek" powieścią historyczną!

Ziemiańskie korzenie

W „Warunku" tak pisze Rylski o Rosji: „Kraj, który się sprzysiągł w złej sprawie.

Niby bezludny, pusty, ale niechby tylko co. Niby obojętny, lecz gotów na wszystko. Niby otwarty, chciałoby się rzec, na oścież, ale jednocześnie przyczajony jak dzikie zwierzę. A gdzie ludzie, tam bezwstydny, demonstracyjny gwałt na wszystkim, co żyje i nie żyje.

Zresztą różnica między jednym a drugim niewielka. Widzi się przed sobą życie, przejeżdża się, odwraca głowę, a tam już po życiu. Jakby minęło bez skargi, w zgodzie na własną nietrwałość wobec bezmiaru. Od czasu do czasu, jak pułapka, pozory dobroduszności. Jakiś pokłon do ziemi, jakiś uśmiech, ciepły gest, ujmująca za serce fraza, ale nie daj Bóg się na to nabrać, uwierzyć.

Kraj, który jak zechce, to zamęczy każdego na śmierć, a jak odpuści, to zdarzy się to samo z siebie…".

O Rosji będzie pisał wielokrotnie, od czasu do czasu nadużywając nawet świadomie rusycyzmów, jak w „Warunku", któremu – zdaniem pisarza – dodają wdzięku. A usytuuje akcję w majątku nad Dźwiną, takim, jaki do rewolucji bolszewickiej mieli tam jego przodkowie. No cóż, matką dziadka pisarza, Józefa Platera-Zyberka, była Czartoryska. Platerowie brali się z Inflant Polskich i Kurlandii.

To ze strony matki, jeśli zaś chodzi o rodzinę ojca, to Rylscy byli ziemianami z zachodniego Wołynia, skoligaconymi ze wschodnimi rodzinami. Pisarz jest prapraprawnukiem, przez Skrzyńskich z Nozdrzca, Seweryna Fredry, kapitana gwardii cesarskiej, znanego szwoleżera, rodzonego brata Aleksandra, twórcy „Zemsty".

Byłoby nie do pomyślenia, by Eustachy Rylski nie pisał na scenę. Z tym że wybrał Teatr Telewizji, dla którego oprócz „Chłodnej jesieni" (1990) popełnił inne jeszcze sztuki, wśród nich „Zapach wistarii (orchidei)" (1991) i „Nettę" (1997). Reżyserował je Kazimierz Kutz, realizatorami innych spektakli byli Krzysztof Zaleski i Filip Zylber.

Jego dramaty, jak również scenariusze i dialogi filmowe, powstały w ciągu 17 lat przerwy w pisaniu prozy, którą zafundował sobie i czytelnikom Rylski po swojej drugiej książce, jaką był tom opowiadań „Tylko chłód" (1987). Następną prozą był dopiero „Człowiek w cieniu". A w tamtym zbiorze opowiadań znalazła się m.in. „Dziewczynka z hotelu Excelsior", rok później przeniesiona na ekran przez Antoniego Krauzego, a w zmienionym kształcie powtórzona w tomie „Wyspa" (2007).

Na początku wieku wynieśli się z żoną do podwarszawskiego Chotomowa. Do stolicy przyjeżdża, gdy musi, czasem w wyjątkowych wypadkach, jak w 2016 r., kiedy został laureatem Nagrody Literackiej m.st. Warszawy. Ostatnią jego książką, którą czytałem, był zbiór szkiców „Jadąc" (2021), traktujących o podróżach, głównie na południe Europy, a także o sztuce, szczególnie o muzyce. I tę książkę przepełnia, jak zawsze u Rylskiego, zachwyt nad pięknem i urodą świata. Takiego, jaki jest.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 40b1557dc5



Zbigniew Nienacki w Jerzwałdzie, 1985 r.
FOT. PAP/WITOLD ROZMYSŁOWICZ

Książka miesiąca / O Panu Samochodziku i seksie

Nienacki prześwietlony

Książka Jarosława Molendy „Zbigniew Nienacki. Skandalista od Pana Samochodzika" jest trzecią biografią pisarza. Jarosław Molenda tłumaczy, że napisał ją, gdyż pierwsza koncentrowała się na analizie twórczości Nienackiego, druga zaś była pisana przez „nienackofila", który bardzo oględnie obchodził się z drażliwymi stronami życia twórcy. Biografia Nienackiego pod piórem Molendy jest niezwykle ciekawa i wciągająca, a jej autor dokonał gruntownej kwerendy, sięgając do wywiadów z pisarzem, wspomnień o nim i dokumentów archiwalnych.

Ogromna popularność – eksploatowana do dziś – książek dla młodzieży o Panu Samochodziku, urzędniku detektywie Departamentu Ochrony Zabytków Ministerstwa Kultury, była fenomenem wydawniczym w powojennej Polsce. A bulwersującym wydarzeniem stała się powieść „Raz w roku w Skiroławkach". Już tylko z tego powodu twórczość Nienackiego jest warta uwagi. Tak samo jak on sam. O wielu pisarzach można powiedzieć, że pisali dobre i popularne książki, natomiast ich życie było nieciekawe, ale to nie jest przypadek Nienackiego.

W podtytule książki znajduje się słowo „skandalista". Prowokował jednak nie czytelników, lecz krytyków i felietonistów gazetowych, odgryzając się za negatywne oceny jego książek. Jarosław Molenda stwierdza wprost: Nienacki był megalomanem. Podobno marzył o Nagrodzie Nobla. W jednym z wywiadów powiedział, że nie sposób wyobrazić sobie literatury polskiej bez jego cyklu o Panu Samochodziku i „Raz w roku w Skiroławkach". Coś jednak w tym jest… Molenda wskazuje na ogromny sukces wydawniczy – stąd niewątpliwie zazdrość i ataki na jego książki – dzięki umiejętności dopasowania się do oczekiwań czytelników. I celnie stwierdza, że Nienacki chciał być tak popularny jak Dołęga-Mostowicz (i był), a także tak doceniany przez krytykę jak Konwicki (nie był). Nienacki twierdził, że nie chciał być pisarzem wielkim, lecz kochanym. Jednak – jak podkreśla autor jego biografii – chciał być jednocześnie kochany i uznany za wielkiego.

Molenda uważa – czemu nie można zaprzeczyć – że Nienacki znakomicie konstruował i pisał swoje książki o Panu Samochodziku, łączył przygodę, sensację ze sporą dawką wiedzy o historii, zauważa jednak, że tu popełniał błędy. Trzymały one młodego czytelnika w napięciu i oferowały często nieoczekiwany finał. Nienacki miał jednak ambicje pisania dla dorosłych. Książka „Raz w roku w Skiroławkach" wywołała sensację i zbulwersowała. Pisano o pornografii, erotomanii autora, salony – bynajmniej przecież niepruderyjne – wyśmiewały Nienackiego, kpiono z niego. Tymczasem według Molendy, a także ówczesnych nielicznych recenzentów to przede wszystkim moralitet o naturze ludzkiej, a trudno o nim mówić, omijając seks. Ta książka uznawana jest za najlepszą w dorobku pisarza.

W przeciwieństwie do swojego bohatera, Pana Samochodzika, Nienacki nie był człowiekiem, którego można polubić. Napisał – korzystając z dokumentacji UB – paszkwilancki cykl artykułów o bohaterze antykomunistycznej walki, Stanisławie Sojczyńskim „Warszycu", był współpracownikiem SB, pochwalał stan wojenny.

Jarosław Molenda pisze bardzo ciekawie o wieloletnim związku pisarza z Alicją Janeczek – gdy niemal 40-letni Nienacki poznał ją, ona miała 16 lat – z dramatycznym finałem po śmierci pisarza. Mieszkali w Jerzwałdzie na Mazurach, stąd nawiązując do syndromu sztokholmskiego, Molenda pisze o syndromie jerzwałdzkim: „Narzucił jej własne zasady moralne, nauczył żyć jego życiem, cieszyć się jego radością. I nie mieć żadnych pragnień, jak tkwić w nim jako tło, widz i statysta". Czyż nie jest to fantastyczny temat na powieść, nie o nich, ale o związkach starszego mężczyzny z młodą kobietą? ©℗

Tomasz Stańczyk



JAROSŁAW MOLENDA
„NIENACKI. SKANDALISTA OD PANA SAMOCHODZIKA"
PRÓSZYŃSKI I S-KA

eprasa.pl 40b1557dc5

Niemcy – klęska Europy

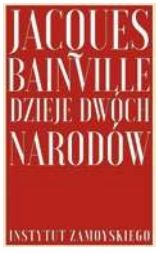
Był jednym z najbardziej przenikliwych pisarzy politycznych XX w., któremu jednak sami rodacy wytykali nacjonalizm i antyniemieckość, co nie miało sensu, zważywszy na to, że był Jacques Bainville (1879–1936) miłośnikiem niemieckiej kultury, tłumaczył Heinego, fascynował go Nietsche. Jednak zdawał sobie sprawę z niemieckiego niebezpieczeństwa, jeśli zaś chodzi o nacjonalizm, to Krzysztof Tyszka-Drozdowski we wstępie do wydanych właśnie „Dziejów dwóch narodów" przypomina, że „Bainville zaliczał się do szeregów dreyfusards, to jest widział w oskarżeniach pod adresem żydowskiego oficera akt niesprawiedliwości. Gdy tylko jednak Zola przekształcił odruch oburzenia w nagonkę na armię jako taką, w atak na samą instytucję – tu przyszły historyk powiedział dość".

O historii swej ojczyzny pisał z miłością i krytyczną pasją. Zdobycie Bastylii, które stało się symbolem wszystkiego, co słuszne i postępowe, w istocie było dla niego „niczym więcej niż przedsięwzięciem kilku buntowników spod ciemnej gwiazdy", a sama Rewolucja – pisana, a jakże, wielką literą – uroczyście inauguruje jedno: dzieje głupoty we Francji. Cóż, „naród francuski – czytamy w tej powstałej w 1915 r. książce – własnym rękami niszczył własne dokonania".

To Francja – przyznawał autor – zjednoczyła i zbudowała wielkie Niemcy. Dochodziło przecież do tego, że „gdy Francja walczyła przeciw królowi Prus, opinia publiczna była prusofilska. Paryż trzymał kciuki za Fryderyka i cieszył się z jego sukcesów". A zjednoczone Niemcy stały się potęgą zagrażającą i Francji, i innym państwom i narodom. W rezultacie w latach 1914 i 1915 – pisał Bainville – przyszło Francuzom płacić za grzechy przodków. I przywoływał słowa Biblii: „Ojcowie jedli zielone winogrona, a zęby ścierpły synom".

Kilka lat później ten francuski historyk i dziennikarz sformułuje zapowiedź powstania w Niemczech systemu „socjal-nacjonalistycznego", o którym już tutaj napomyka. Zapowie także Anschluss Austrii, kryzys sudecki, a i pakt niemiecko-sowiecki. Nic dziwnego, że to jego pisma ukształtują sposób widzenia kwestii niemieckich przez Charles'a de Gaulle'a. ©℗

Krzysztof Masłoń



JACQUES BAINVILLE
„DZIEJE DWÓCH NARODÓW"
INSTYTUT ZAMOYSKIEGO, WARSZAWA 2023

Polska Sowietka

W czasie wojny udało jej się zyskać dostęp do ucha Stalina – sowiecki tyran brał pod uwagę jej zdanie w sprawach polskich. Wanda Wasilewska była zaciekłą stalinistką, zwolenniczką jak najszybszego zsowietyzowania swojej ojczyzny. Do historii przeszła głównie jako kolaborantka, przewodnicząca Związku Patriotów Polskich, która pchała Polskę w przepaść. Arcyciekawa jest jednak jej ewolucja – od panienki z dobrego, inteligenckiego domu, w którym nienawidziło się Rosji, przez „miękką" socjalistkę, aż do twardej komunistycznej działaczki, która w całości oddała się Stalinowi. ©℗

(p.w.)



PIOTR LIPIŃSKI
„WASILEWSKA. CZARNO-BIAŁA"
WYDAWNICTWO CZARNE

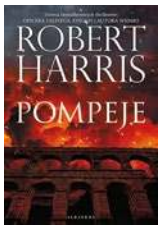


PRACA ZBIOROWA
„ŁÓDŹ. HISTORIA MIASTA POPRZEZ WIEKI", T. 1
WYDAWNICTWO UNIWERSYTETU ŁÓDZKIEGO

PRZED ZIEMIĄ OBIECANĄ

Łódź znana jest przede wszystkim jako miasto przemysłu włókienniczego i fabrykantów, o którym pisał Reymont. Zanim jednak Łódź zaczęła się dynamicznie rozwijać, przez ok. 400 lat była niewielkim miastem, a wcześniej małą osadą. Łódzcy badacze po ponad roku wspólnej pracy ukazują dzieje miasta do 1820 r. Jest to pierwszy tom z planowanej serii. ©℗

ASz



ROBERT HARRIS
„POMPEJE"
ALBATROS

POD WEZUWIUSZEM

Woda jest cenniejsza od złota, ale wiedzą to tylko ci, którym jej brakuje. Zmartwieniem młodego inżyniera Atiliusza Primusa nadzorującego największy akwedukt ówczesnego świata jest spadający poziom wody. Jego poprzednik zginął w tajemniczych okolicznościach, a on sam odkrywa, że zjawiska naturalne i kondycja akweduktu nie są jedynymi problemami... ©℗

(raw)



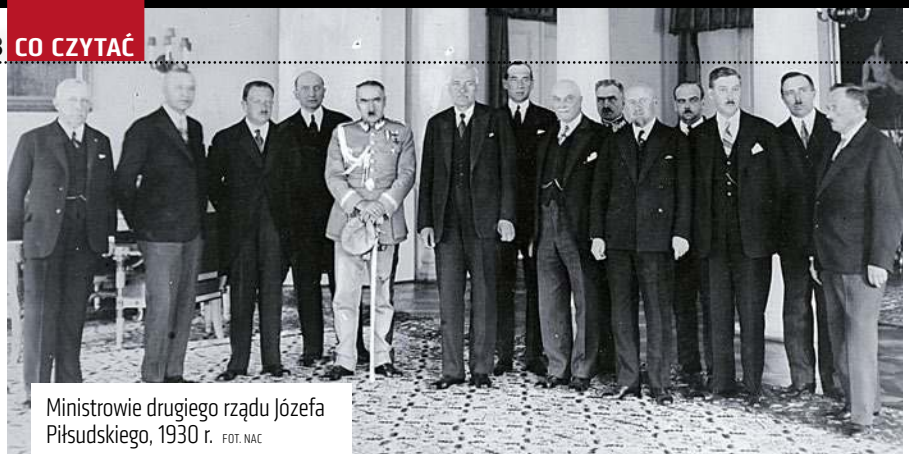
MAŁGORZATA GUTOWSKA-ADAMCZYK, MARTA ORZESZYNA
„PARYŻ BELLE ÉPOQUE"
REBIS

ŚWIATŁA PARYŻA

Poza ciekawie opowiedzianą historią Paryża belle époque, z jego skandalami, przebogatym życiem kulturalnym i politycznym, jedną z największych zalet tej książki są przepiękne ilustracje. Niemal na każdej stronie znajdziemy tu fotografie i rysunki, dzięki którym łatwiej poczuć nam klimat Paryża z niesamowitego przełomu wieków XIX i XX. ©℗

(p.w.)

eprasa.pl 40b1557dc5



Ministrowie drugiego rządu Józefa Piłsudskiego, 1930 r. FOT. NAC

207 żyć dla II RP

Kiedy premier Mateusz Morawiecki polecił odszukanie i zatroszczenie się o miejsca spoczynku wszystkich premierów i ministrów II Rzeczypospolitej oraz rządu na uchodźstwie, zadanie to wydało się jego współpracownikom niezbyt skomplikowane. Kiedy jednak urzędnicy wzięli się do pracy, okazało się, że w niektórych przypadkach misję tę trzeba zacząć od fundamentów. Zdarzały się bowiem białe plamy, także w kwestii podstawowych informacji, jak miejsce pochówku. O niektórych osobach milczą tak podstawowe dziś źródła informacji jak np. Wikipedia. Dotyczy to głównie rządu na uchodźstwie, ale powszechna wiedza także o członkach gabinetów II RP jest raczej skromna. Publikacja Instytutu De Republica jest w dziele systematyzowania oraz popularyzacji tej wiedzy (dotyczącej II RP, tom o rządzie na uchodźstwie jest w przygotowaniu) wydawnictwem bez wątpienia niezwykle wartościowym.

„Premierzy i ministrowie Rzeczypospolitej Polskiej 1918–1939" to monumentalna, unikatowa pozycja, w której zamieszczono biogramy 207 osób pełniących najwyższe funkcje państwowe II RP. Przy czym nie są to fakty podane w encyklopedyczny sposób, podjęto się tu bowiem dość trudnego zadania, „żeby poszczególne biogramy były nie tyle zbiorem informacji o ludziach i ich działalności, ale przede wszystkim stanowiły krótki opis ich życia". Aby połączyć wodę z ogniem, czyli odejść możliwie daleko od encyklopedycznej formy, ale podać najważniejsze fakty z życia bohaterów, a zarazem trzymać się ram objętościowych, zdecydowano się na hybrydalny charakter biogramów, które są w istocie „małymi biografiami".

Za redakcję naukową odpowiadają profesorowie Zbigniew Girzyński, Jarosław Kłaczkow, Wojciech Piasek, którzy zaprosili kilkunastu autorów, specjalistów w swoich dziedzinach. Książka powstała w oparciu o dostępną literaturę, ale w wielu wypadkach także na podstawie badań archiwalnych.

Publikacja Instytutu De Republica nie jest tania (do kupienia w księgarni internetowej instytutu), ale stanowi cenne źródło wiedzy o polskich premierach i ministrach. Bogato wydana będzie też niewątpliwie ozdobą domowej biblioteki. Wersja elektroniczna jest udostępniona za darmo w zbiorach polona.pl. ©℗

Radosław Wojtas



„PREMIERZY I MINISTROWIE RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ 1918–1939"
INSTYTUT DE REPUBLICA

Ixbunieta i złoto Majów

Gęste lasy Jukatanu, konkwistadorzy, wojowniczy Majowie i legendarny skarb. A do tego pojedynki na rapiery, morze rumu i galeony z wielkimi krzyżami na żaglach. Czy można sobie wyobrazić ciekawszy temat dla zdolnego rysownika i scenarzysty? W pierwszej część tej komiksowej serii poznajemy Ixbunietę, piękną i hardą dziewczynę, która jest owocem miłości konkwistadora i majańskiej księżniczki. Catalina (to jej drugie, chrześcijańskie, imię) powoli poznaje tajemnice swojego nieżyjącego ojca Diego, który przybył do Nowego Świata po chwałę dla króla i przygodę życia dla siebie. W jukatańskiej dżungli Diego poznał kobietę, która kompletnie zmienia jego postrzeganie indiańskiej ludności.

Dwadzieścia trzy lata później tereny dzisiejszego Meksyku i Gwatemali wciąż nie odsłoniły wszystkich swoich tajemnic przed coraz tłumniej zjeżdżającymi się Hiszpanami żądnymi legendarnego złota majańskich władców. Ixbunieta/Catalina ćwiczy się w fechtunku, szykując się na największą przygodę swojego życia... Co przyniesie wyprawa w dzikie lasy Jukatanu pełne wojowniczych Majów, broniących swych skarbów? Duet Krzysztof Wyrzykowski i Sławomir Zajączkowski zrobił kawał świetnego komiksu! ©℗

Piotr Włoczyk



KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI, SŁAWOMIR ZAJĄCZKOWSKI „IXBUNIETA"
HONES

eprasa.pl 40b1557dc5

Chiny zgubione

Polityka zagraniczna Republiki Chin z lat 1911–1949 jest zagadnieniem, nad którym pochylił się w swej ostatniej książce prof. Jakub Polit, niestrudzony badacz wydarzeń, jakie rozgrywały się w pierwszej połowie minionego stulecia na Dalekim Wschodzie. W Chinach zasadniczą rolę w kształtowaniu relacji tego kraju z podmiotami zewnętrznymi odegrał gen. Czang Kaj-szek, przywódca rządu narodowego w Nankinie i lider Kuomintangu, który podjął próbę opanowania chaosu i anarchii panującej w Państwie Środka w pierwszej połowie lat 20. Późniejszy prezydent tzw. II Republiki Chińskiej zrozumiał, jak poważne zagrożenie dla Chin stanowili nadzorowani przez Moskwę komuniści. I to przeciwko nim skierował on w dużej mierze ostrze swoich wewnętrznych militarnych posunięć.

Od całkowitej klęski oddziały Mao Tse-tunga uratowała Japonia. Kraj ten teoretycznie rządzony był przez cywilnych polityków, ale nie mieli oni jednak kontroli nad dowódcami japońskich sił zbrojnych, dążącymi do zbudowania za pomocą środków militarnych azjatyckiego Imperium Wschodzącego Słońca. Japonia rozpoczęła na początku lat 30. agresywną politykę zmierzającą do przebudowy istniejącego układu sił w Azji. Jednym z jej zasadniczych celów było podporządkowanie sobie Chin nawet za cenę zniszczenia antykomunistycznego rządu w Nankinie. W ten oto sposób Tokio, pomimo deklarowanego antysowietyzmu, stworzyło warunki dla usadowienia się w pewnej perspektywie czasowej na Dalekim Wschodzie komunizmu. Japońska inwazja w 1937 r. spowodowała, że rozpaczliwie poszukująca zewnętrznego wsparcia Republika Chińska zmuszona była zwrócić się o nie do ZSRS. Co ciekawe, Stalin obserwujący wzrost siły Kraju Kwitnącej Wiśni uznał za wskazane jego udzielić. Podobnie w pierwszym roku chińsko-japońskiej konfrontacji militarnej znaczącej pomocy udzielił również Berlin. Wkrótce oba państwa wycofały się jednak z niej – III Rzesza w 1938 r., a Sowiety w 1941 r.

Jeszcze przed atakiem na Pearl Harbor prezydent Franklin D. Roosevelt, a formalnie Kongres USA, przyznał Chinom pożyczkę w wysokości 100 mln dol., a następnie objął ich programem Lend-Lease. Wybuch wojny amerykańsko-japońskiej 7 grudnia 1941 r. doprowadził do zwiększenia, ale – jak się okazało, tylko w sferze deklaratywnej – zakresu udzielanego wsparcia. Amerykanie mieli świadomość, że strona chińska dźwiga na sobie główny ciężar wojny z Japonią, wiążąc ok. miliona żołnierzy cesarskich sił zbrojnych. Znacząco wspomogli jednak odciętych od bezpośrednich kontaktów lądowych i morskich ze światem zewnętrznym Chińczyków dopiero w 1945 r., co wiązało się z odblokowaniem głównej arterii komunikacyjnej do Chin, czyli tzw. drogi birmańskiej. Mimo tragicznego położenia militarnego Czang Kaj-szek został nieco na kredyt zaproszony przez ówczesnego prezydenta USA do ekskluzywnego klubu czterech mocarstw mających kształtować powojenny porządek międzynarodowy.

Niestety, zrozumienia dla konieczności trwania przy boku narodowych Chin zabrakło ekipie prezydenta Harry'ego Trumana. Désintéressement Białego Domu wobec sowieckich posunięć, których efektem były stworzenie potężnej armii chińskich komunistów i nieudzielenie wsparcia Czang Kaj-szekowi podczas toczącej się wojny domowej, a także skupienie się Waszyngtonu tylko na sytuacji w Europie, przesądziło o klęsce sił antykomunistycznych w batalii o panowanie nad Chinami. ©℗

Arkadiusz Karbowiak



JAKUB POLIT
„POLITYKA ZAGRANICZNA REPUBLIKI CHIŃSKIEJ 1911–1949"
WYDAWNICTWO ARCANA

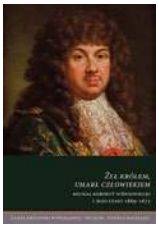
Najgorszy król?

Michał Korybut Wiśniowiecki na polskim tronie zasiadał tylko cztery lata i nie zapisał się w zbiorowej pamięci najlepiej. Choć był synem słynnego „księcia Jaremy", to nie odziedziczył po ojcu zdolności przywódczych ani charyzmy. Często wymienia się go jako jednego z najgorszych monarchów w dziejach Polski, a może nawet najgorszego. Autorzy zbioru artykułów monograficznych przyglądają się kilku latom panowania Michała Korybuta Wiśniowieckiego. Choć był to krótki okres, to obfitował w wiele wydarzeń, także bardzo dramatycznych dla Rzeczypospolitej. Książka ta ma unikalny wymiar, pokazujący całe spektrum zagadnień. Praca pozwala spojrzeć na postać króla z różnych perspektyw – czasem może też łaskawszym okiem.

W książce znajdziemy teksty poświęcone m.in. elekcji Wiśniowieckiego, dotyczące reakcji Watykanu i Francji na wybór potomka księcia Jeremiego, a także przedstawiające politykę Brandenburgii i Prus wobec Polski.

Na uwagę zasługują też artykuły, które prezentują zupełne inne aspekty panowania Wiśniowieckiego. Są to np. teksty opisujące pobożność Michała Korybuta, mecenat, którym król objął klasztor Kamedułów na Bielanach w Warszawie (tam znajduje się serce króla), czy też artykuł poświęcony pełnym przepychu uroczystościom koronacji Wiśniowieckiego i wybudowanym z tej okazji np. łukom triumfalnym. ©℗

Anna Szczepańska



PRACA ZBIOROWA
„ŻYŁ KRÓLEM, UMARŁ CZŁOWIEKIEM. MICHAŁ KORYBUT WIŚNIOWIECKI I JEGO CZASY"
ARX REGIA

eprasa.pl 40b1557dc5

/ Felieton



Rafał A. Ziemkiewicz

Zaszczytami zaszczuci

O, gdybym kiedyś dożył tej pociechy, żeby te księgi trafiły pod strzechy…" – deklarował Adam Mickiewicz w epilogu „Pana Tadeusza". Drugi wieszcz swój sławny „Testament" rozpoczynał słowami: „Żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami". Obaj cytowani – i wielu ich następców – doczekali się ze strony współczesnych i potomnych zaszczytnego miana: „sumienie narodu". Bo, obok deklarowanej miłości do Polaków, czy może właśnie z jej powodu, nie szczędzili przecież współczesnym i potomnym wyrzutów, gorzkich i jadowitych. Pierwszy całą lepiej sytuowaną część narodu odrzucił hurtem jako „skorupę", „zimną i twardą, suchą i plugawą", drugi straszył Polskę, że nic dobrego jej nie czeka dopóty, dopóki nie przestanie swej „duszy anielskiej" więzić w „czerepie rubasznym", a nawet w uniesieniu naskoczył na Polskę po całości, że była „pawiem narodów i papugą", a teraz jest tylko „służebnicą cudzą". I Polacy z ich ust tych pouczeń słuchali pokornie, jeszcze prosząc o więcej.

U nas, w Polsce, pisarz, aktor czy reżyser chce być narodowym wieszczem. A mówiąc ściślej – uważa, że takowym jest przez sam fakt, iż jest pisarzem, aktorem albo reżyserem

Ta pokora czytelników sprawiła, że wzorzec pisarza – „budziciela sumień", pisarza czyniącego swemu narodowi wyrzuty, „szarpiącego narodowe rany, aby nie zarastały się błoną podłości" (to kolejny z klubu „sumień", Stefan Żeromski) – wiek XIX, czas zaborów i powstań narodowych ustawił w Polskiej kulturze – że tak powiem slangiem programistów – jako defoltowy. Inne ludy mają pisarzy, żeby pisali, aktorów, żeby grali, reżyserów, żeby reżyserowali – u nas, w Polsce, pisarz, aktor czy reżyser chce być narodowym wieszczem. A mówiąc ściślej – uważa, że takowym jest przez sam fakt, iż jest pisarzem, aktorem albo reżyserem. W związku z czym uważa za oczywistą oczywistość, że jego prawem, więcej niż prawem, powinnością, jest chłostać Polaków ile wlezie, ci zaś powinni przyjmować tę chłostę ekstatycznymi jękami rozkoszy, jak klienci salonu sado-maso.

Tylko że w przeciwieństwie do dawnych wieszczów „feedback" pani Holland, Stuhrów, Smarzowskiego czy Żuławskiego jest negatywny. A ci nie rozumieją dlaczego: przecież „budzą sumienia", używają swej „siły fatalnej", by „zjadaczy chleba w aniołów przemienić". Głupia polska ciemnota nie rozumie kodów kulturowych, nie chce słuchać swego zbiorowego „sumienia"?

Tymczasem sprawa jest prosta: sumienie to coś, co przemawia z wewnątrz. Nie ma sumienia zewnętrznego. Napomnienia przychodzące z zewnątrz to zrzędzenie, mądrzenie się i zniewagi, których nikt słuchać nie lubi i nie chce.

Niech państwo spróbują sobie wyobrazić, że zamiast wczuwać się w żyjący pod strzechami lud, Mickiewicz mówiłby mu: ja jestem, hołoto ciemna, profesorem w Lozannie, ja miałem wykłady na Sorbonie, wydawałem tam pismo – więc morda w kubeł i słuchać mnie! Myślą państwo, że ktoś by wtedy w Polsce uznał go za narodowego wieszcza, a „Pana Tadeusza" za arcypoemat? Zresztą ten ostatni, gdyby jego autor przyjmował taką postawę, nie mógłby powstać. Zamiast ciepłej opowieści o Polakach pięknych mimo ich wad wyszedłby jadowity gniot na miarę dzieł wspomnianych wyżej reżyserów.

Słowacki nie uważał się za lepszego, choć jako zdolny makler doszedł z niczego do bogactwa, Krasiński nie puszył się swym hrabiostwem. W przeciwieństwie do dzisiejszych, jak to zjadliwie ujął Jacek Kaczmarski w piosence wykpiwającej Andrzeja Wajdę, „zaszczutych zaszczytami".

Nie można być sumieniem narodu, wobec którego czuje się i okazuje obcość. Niby tacy mądrzy – a najprostszej rzeczy, głupole, nie rozumieją. ©℗

eprasa.pl 40b1557dc5

/ Felieton



Piotr Semka

Cena uznania dyplomatycznego

Gdy po upadku komunizmu w 1989 r. rozpocząłem wojaże po świecie, szybko usłyszałem od starych podróżniczych wygów znamienne ostrzeżenie: „Nigdy nie wjeżdżaj do krajów arabskich z izraelską wizą wbitą w paszporcie". Większość państw arabskich nie tylko sama nie uznawała istnienia państwa Żydów, lecz także reagowała alergicznie na każdego obcokrajowca, który odwiedził kraj „syjonistów".

Od pewnego czasu ta fanatyczna antyizraelskość w świecie arabskim wydawała się przygasać. Media informowały od pewnego czasu o staraniach USA zmierzających do tego, by Arabia Saudyjska nawiązała stosunki dyplomatyczne z Izraelem. Ten przełom miał być spowodowany obawami dynastii Saudów przed rosnącą potęgą Iranu – niezmiennego wroga Rijadu.

Dla twardych arabskich „antysyjonistów" już wcześniej zabrzmiały dzwonki alarmowe. 15 września 2020 r. zostało zawarte tzw. Porozumienie Abrahamowe między Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi, Bahrajnem a Izraelem. Dwa ważne kraje arabskie zadeklarowały otwarcie w państwie żydowskim swoich ambasad. Był to spory sukces administracji prezydenta Donalda Trumpa, która pośredniczyła w tej ugodzie.

> Izrael, wciąż żyjący w lęku przed „zepchnięciem do morza" przez arabskich sąsiadów, **ceni ten skarb jak mało kto**

Teraz Iran nie chciał czekać na kolejny dyplomatyczny przełom na linii Jerozolima – Rijad i wrzucił granat w arabsko-izraelskie sąsiedztwo. Teheran spuścił ze smyczy podległe sobie bojówki Hamasu ze Strefy Gazy. W atmosferze wojny z Izraelem rozmowy z Saudyjczykami zapewne będą musiały zostać zawieszone.

Przypomina mi się dyplomatyczna rywalizacja Republiki Federalnej Niemiec z komunistami z Niemieckiej Republiki Demokratycznej w latach 1949–1989. Politycy z Bonn ustanowili w latach 50. tzw. doktrynę Hallsteina uznającą, że to republika federalna jest jedyną emanacją państwa niemieckiego. Kto nawiązywał stosunki z NRD, ten skazywał się na zerwanie relacji z RFN. Tylko kilka państw, jak np. ZSRS czy Szwecja, miało na tyle mocną pozycję, by politycy z Bonn tolerowali utrzymywanie przez nie jednoczesnych stosunków ze wschodnim rywalem.

W latach 60. niepodległość uzyskało wiele państw afrykańskich. Wiedza o dyplomatycznym pojedynku wschodnich i zachodnich Niemców była wtedy szeroko znana. Nic dziwnego, że wiele państw Czarnego Lądu zaczęło prowadzić twardą licytację. Kto zaoferuje więcej pomocy i inwestycji – ten dostanie dyplomatyczne uznanie.

W imię dyplomatycznych ambicji swych rządów inżynierowie z Lipska lub z Hamburga budowali w głębi dżungli kredytowane na długie dekady kolejowe magistrale lub zapory wodne. O tej mało znanej rozgrywce z lat zimnej wojny dowiedziałem się jako nastolatek z wydanej w Polsce w 1970 r. powieści „Dynamit dla Santa Inez" Eduarda Kleina. Z tych inwestycji prowadzonych w zabójczym klimacie ani wysłannicy Adenauera, ani Ulbrichta nie zobaczyli potem ani feniga. Ale rachunek ekonomiczny po obu stronach Łaby się nie liczył. Ważny był prestiż.

Podobną rywalizację w krajach Trzeciego Świata rozpoczęły potem Chińska Republika Ludowa i Tajwan. Mała, ale silna ekonomicznie „republika Chińska" z Formozy kusiła państwa w Afryce obietnicą kredytów, byle tylko móc pochwalić się kolejnym państwem uznającym kraj spadkobierców marszałka Czang Kaj-szeka. Dziś takich państw jest już tylko 14 i wszystkie są obiektem kuszenia wysłanników z Pekinu. Ostatnio, w grudniu 2021 r., presji ChRL uległa Nikaragua. Dyplomaci tajwańscy musieli opuścić Managuę.

Uznanie dyplomatyczne to cenny towar w świecie polityki. Jego wagę jest w stanie zrozumieć tylko ten, kto zaznał politycznej izolacji. Izrael, wciąż żyjący w lęku przed „zepchnięciem do morza" przez arabskich sąsiadów, ceni ten skarb jak mało kto. ©℗

eprasa.pl 40b1557dc5



1808 r. / Somosierra zdobyta!

Wojciech Kossak „Szarża w wąwozie Somosierry” FOT. DOMENA PUBLICZNA

Polska szarża przez piekło



Grzegorz Janiszewski

Napoleon następnego dnia dokonał przeglądu pułku. Siedząc w końskim siodle, zdjął przed szwoleżerami kapelusz, mówiąc: „Jesteście godni mojej starej gwardii, uważam was za najdzielniejszą jazdę. Chwała najdzielniejszym z dzielnych!”

Napoleon Bonaparte przez lunetę obserwował biegnącą pod górę, aż na przełęcz Somosierra, drogę. Po jej obu stronach wznosiły się strome zbocza, usiane wyrastającymi z ziemi skałami i wielkimi głazami. Między nimi co chwila błyskały wystrzały z muszkietów hiszpańskiej piechoty. Po zboczach snuły się kłęby prochowego dymu. W kierunku baterii armat kłusem szarżowała grupa kilkudziesięciu jeźdźców. Napoleon wyraźnie widział szable uniesione nad wysokimi rogatymi czapkami, pochylonych jeźdźców z butami wciśniętymi w strzemiona i wielkie litery N, haftowane na końskich czaprakach. Spinane ostrogami konie rozwierały nozdrza, próbując złapać więcej tchu na górskiej drodze. Cesarz opuścił lunetę i obrócił się do dowódcy Gwardii gen. Walthera, wykrzykując: – Co za śmiałość w tych Polakach! Co za śmiałość w tych Polakach!

Blokada

Po traktatach z Tylży z 1807 r. prawie cała Europa znalazła się w systemie blokady kontynentalnej, narzuconej przez Napoleona. Embargo na handel z Wielką Brytanią miało załamać ją gospodarczo i zmusić do kapitulacji w wojnie.

Blokada miała sens, kiedy była szczelna. Jeden z głównych przemytniczych szlaków prowadził przez Portugalię – tradycyjnego sojusznika Anglików. Napoleon, chcąc nie chcąc, w listopadzie 1807 r. wkroczył

eprasa.pl 40b1557dc5

na Półwysep Iberyjski. Hiszpania w zasadzie była sojusznikiem Francuzów, jednak sytuacja w kraju szybko zaczęła się zmieniać na ich niekorzyść. Napoleon wdał się w dynastyczne spory, osadzając na tronie swojego brata Józefa. Przemarsze, grabieże i gwałty francuskich żołnierzy prowadziły do lokalnych buntów. Po wygranej przez Hiszpanów bitwie pod Bailén w lipcu 1808 r. powstanie ogarnęło cały kraj. Józef Bonaparte uciekł z Madrytu.

Powstańcy, wspierani przez regularną armię i uzbrojeni w jej arsenałach, powadzili wojnę partyzancką. Polowali na pojedynczych francuskich żołnierzy, atakowali transporty z żywnością, zatruwali studnie. Część francuskich garnizonów została odizolowana. Napoleon zmuszony był do osobistej interwencji. Wyruszył w listopadzie 1808 r., kierując się na Madryt. Najkrótsza droga do hiszpańskiej stolicy przebiegała przez położoną na wysokości 1441 m n.p.m. przełęcz Somosierra w Górach Ayllón. Do przełęczy prowadziła ciągnąca się przez 5 km dolina o trawiastych zboczach, niedostępnych dla jazdy, bo usianych skalnymi odłamkami. Biegnąca doliną droga początkowo wznosiła się łagodnie, potem coraz bardziej stromo, kilka razy zakręcając.

Obronę przełęczy powierzono jednemu z najzdolniejszych hiszpańskich dowódców. Generał Benito de San Juan pojawił się tam z wojskiem 18 listopada i zaczął przygotowywać obronę. Na przełęczy usypano szaniec artyleryjski i rozmieszczono ośmiofuntowe działa. Okoliczne domy i pustelnię zmieniono w punkty oporu. W dole drogi, w odległości ok. 700 m od siebie, za zakrętami, rozmieszczono jeszcze trzy stanowiska armat. Ostatnie, na samym dole, również zostały umocnione ziemnym wałem, a przed nim wykopano głęboki rów. Dział było 16, ale do dzisiaj toczą się spory, jak zostały rozmieszczone – po cztery albo po dwa na każdym stanowisku oprócz ostatniego, gdzie mogło ich być 10. Przedpola broniło kilkuset ludzi ze straży przedniej. Wzdłuż drogi, wśród głazów i skał, ukrywało się ok. 1 tys. hiszpańskich ochotników. Na samej przełęczy jeszcze 2 tys. milicji. Kolejnych sześć batalionów regularnego wojska i dwa bataliony milicji San Juan trzymał w odwodzie w miasteczku Robregordo, 3 km za przełęczą. Razem ok. 8 tys. żołnierzy.



Jan Hipolit Kozietulski
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Cesarski żar

Napoleon z wojskiem pod Somosierrą pojawił się 30 listopada przed świtem. Po rozpoznaniu terenu przez lekką jazdę do ataku wyznaczył dwie dywizje piechoty. Około godz. 5 cesarz wyruszył na ostatni rekonesans. Było ciemno, ścieliła się gęsta mgła. Zniechęcony zatrzymał się przy ognisku polskich szwoleżerów. Jeden z szeregowców przecisnął się przez kordon odgradzających Napoleona oficerów i odpalił fajkę od żaru z ogniska. Zdumieni generałowie zażądali od niego podziękowania. Ten wskazał tylko głową na majaczące w świetle poranka szczyty wzgórz, mrucząc pod nosem, że tam podziękuje Napoleonowi.

Kolejny rekonesans mieli wykonać żołnierze z 1. Pułku Szwoleżerów Gwardii, pełniący tego dnia służbę przy cesarzu. Formalnie była to jednostka francuska, formowana z Polaków. Rywalizowały tu środowiska skupione wokół Wincentego Krasińskiego, księcia Józefa Poniatowskiego i gen. Henryka Dąbrowskiego, chcące zapewnić sobie dostęp do cesarza i wpływ na obsadę stanowisk w Księstwie Warszawskim. Napoleon swoim zwyczajem pogodził zwaśnionych, włączając do pułku żołnierzy według swego uznania. Z założenia miał on być elitarny – szwoleżer musiał sprawić sobie sam konia, wyposażenie i mundur, znacznie droższe niż żołnierza piechoty. W praktyce bogate rodziny nie kwapiły się do wysyłania swoich synów na wojnę. Koszty wyekwipowania wszystkich szarż wzięły więc na siebie władzę Księstwa, co sprawiło, że pułk był dosyć egalitarny.

Na rekonesans wysłany został najmłodszy oficer pułku – ppor. Andrzej Niegolewski. Wyruszył w drogę, dobierając kilkunastu żołnierzy. W górskiej wiosce natrafili na Hiszpanów. W krótkim starciu stracili wziętego do niewoli szwoleżera Wiśniewskiego. Pozostali wycofali się w nieładzie. Wkrótce dogonił ich szwoleżer Poniński, wiozący hiszpańskiego jeńca.

Słońce już wstało, ale ciągle ścieliła się gęsta mgła. Pod jej osłoną piechota zasypała rów na drodze przed baterią. Zniecierpliwiony Napoleon kazał podciągnąć działa jak najbliżej Hiszpanów i zacząć ostrzał. Potem rzucił do walki woltyżerów z 96. pułku piechoty, którzy szybko dostali się pod ostrzał z dział. Armatnie kule przenosiły, ale strzały piechoty padające z obu stron drogi były bardzo celne. Padło wielu zabitych i rannych. Francuzi musieli się wycofać. Żeby ich wspomóc, po obu stronach drogi rzucono do walki jeszcze dwa pułki piechoty. Hiszpanie wciąż strzelali, ukrywając się za skałami. Francuzom trudno było szturmować pod górę, więc szybko zalegli pod ogniem.

Około wpół do jedenastej z rekonesansu wrócił Niegolewski. Schwytanego jeńca dostarczono Napoleonowi, informując o wzięciu do niewoli polskiego szwoleżera. Napoleon wściekł się i kazał – być może za karę – szarżować przełęcz polskim szwoleżerom. Generałowie ze sztabu zaprotestowali, podkreślając, że szwoleżerowie na wąskiej drodze nie rozwiną szyku, atakując co najwyżej czwórkami, które z łatwością zmiotą hiszpańskie armaty. Jak wspominał gen. Pire, Napoleon wpadł w szał, uderzając dłonią w łęk siodła i krzycząc: „Jak to niemożliwe? Nie znam tego słowa! Nie powinno być nic niemożliwego dla moich Polaków!”.

Generałowie przekonywali cesarza do zostawienia ataku piechocie, która właśnie wspinała się na wzgórza, żeby oskrzydlić nieprzyjaciela, ale Napoleon zrozumiał, że gwardia została

eprasa.pl 40b1557dc5

zatrzymana i zmuszona do skradania się po zboczach. „Niemożliwe! Moja gwardia zatrzymana przez wieśniaków? Segur, jedź natychmiast i każ moim Polakom szarżować, każ im zdobyć wszystko!" – krzyczał cesarz, wręczając adiutantowi rozkaz do ataku.

Rozkaz dostał mjr Jan Kozietulski, który w zastępstwie nieobecnego Ignacego Stokowskiego dowodził 3. szwadronem 1. Pułku. Kozietulski ustawia szwadron czwórkami, w ciasnej kolumnie naprzeciwko wlotu do doliny. Pierwsza idzie 3. kompania kpt. Dziewanowskiego, a za nią 7. kpt. Piotra Krasińskiego. Brakowało tylko Niegolewskiego i jego żołnierzy, którzy woleli ukryć się przed gniewem Napoleona. Wszystkich zbiera się ok. 215 żołnierzy. Większość ma wziąć udział w bitwie po raz pierwszy w życiu.

Weźcie dla mnie te armaty!

Kozietulski dobywa szabli i krzyczy: „Marsz kłusem!". Reszta szwoleżerów wyciąga szable i rusza za nim, w kierunku hiszpańskich armat, do których jest ok. kilometra. Jak wspominał Kozietulski, przejeżdżając przed Napoleonem, krzyczą: „Niech żyje cesarz!", ten odpowiada „Polacy! Weźcie dla mnie te armaty!". Szwoleżerowie rozpędzają się do kłusu, kiedy z hiszpańskich armat pada pierwsza salwa z kartaczy. Pada kilka koni, wpadają na nie inne, tworzy się zator, szarża się zatrzymuje. Oficerowie natychmiast wydają komendy i formują szyk na nowo. Kozietulski krzyczy: „Naprzód, psiekrwie! Cesarz patrzy!" i znowu prowadzi szwadron do ataku. Hiszpańskie działa milczą. Szwoleżerowie wjeżdżają na most. Wtedy artylerzyści zaczynają ładować działa pełnymi kulami, które mogą zmasakrować zwartą masę jeźdźców. Działa odzywają się, kiedy szwoleżerowie są kilkadziesiąt metrów przed nimi. Kilkunastu jeźdźców pada na ziemię, kilku zeskakuje z koni, szukając schronienia wśród skał. Do szwoleżerów strzela teraz również piechota z obu stron drogi. Od jej kul pierwszy ginie ppor. Rudowski.



January Suchodolski „Bitwa pod Somosierrą"
FOT. COMMONS WIKIMEDIA/MUZUEM NARODOWE W WARSZAWIE

Kozietulski krzyczy: „Naprzód, bracia, aby do armat", „Naprzód, vive l'Empreur" i prowadzi szarżę dalej. Jak wspominał uczestniczący w szarży wachm. Wincenty Toedwen: „Przy drugiej komendzie Kozietulskiego wysunąłem się naprzód i w miejsce poległych towarzyszów, w pierwszej czwórce stanąłem. Stanąwszy na nowo, nowy przypuściliśmy atak samym środkiem wąwozu w górę. Pędząc jak na oślep, uniosłem pałasz tak, aby zasłonić oczy od postrzału, i nic nie widziałem, tylko ogień i dym. Nic nie słyszałem prócz huku armat i świstu kulek karabinowych. Aż do tej chwili miałem zupełnie słabe wyobrażenie o tym gradzie kul, o jakim nieraz przy ognisku w polu opowiadali starzy wojacy, ale od wejścia w ten piekielny wąwóz przekonałem się o tym. Nie był to bowiem plac boju, ale rzeczywiście piekło, zdawało się, że ziemia zapala się wraz z nami".

Szwoleżerowie dopadają armat i tną szablami kanonierów. Ci próbują bronić się armatnimi stemplami. Po chwili wszyscy nie żyją albo leżą ranni na ziemi. Szwoleżerowie mieszają się, nikt nie wie, gdzie są dowódcy. Formację wyznaczają ciągnące się po obu stronach drogi murki. Jeźdźcy rzucają się w kierunku następnej baterii, która w każdej chwili może wystrzelić. Do szwadronu dołącza Niegolewski, spotykając po drodze kilku szwoleżerów, zalegających na poboczu, którzy „wołali na mnie panie poruczniku, panie poruczniku, nie jeździj, bo tam bardzo strzelają!" – jak wspominał porucznik – „rzuciwszy im kilka ostrych słów z wykrzyknieniem »En avant! Vive l'Empreur!«, w jednej chwili jużeśmy się złączyli ze szwadronem".

Polacy pędzą traktem w kierunku drugiej baterii. Hiszpanie oddają salwę. Ginie jadący na czele Krzyżanowski. Kozietulski pada na drogę, jego koń dostaje postrzał od piechoty z boku. Jak sam wspominał: „Przybiegamy do armat pierwszych, odpędzamy kanonierów, rąbiąc, kogo się napotka. Drugie armaty już częścią były odpuszczone przez uciekającego nieprzyjaciela. Wtem czuję konia mego ranionego, druga kula trafia go w głowę, pada i nogę mi przywala".

Na czele przetrzebionego szwadronu jedzie teraz kpt. Dziewanowski. Szwoleżerowie zdobywają armaty, wyrzynając obrońców i jadą dalej, stromą drogą.

eprasa.pl 40b1557dc5



„Po szarży". Obraz Horacego Verneta

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/MATHIASREX MACIEJ SZCZEPAŃCZYK

Szarża staje się coraz wolniejsza. Hiszpanie mają czas na celowanie. Salwa trzeciej baterii urywa głowę por. Rowickiemu. Dziewanowski spada z konia z połamaną ręką i nogą. Kilku szwoleżerów pada zabitych.

Siedem minut pod górę

Dalej pędzi – o ile można tak nazwać szturmowanie stromizny – już tylko kilkudziesięciu jeźdźców z 7. kompanii pod dowództwem kpt. Krasińskiego i pluton Niegolewskiego. Obrońcy trzeciej baterii zostają rozsiekani przez szarżujących Polaków. Do ostatniej zostało jeszcze pół kilometra. Konie mają w kopytach 2,5 km, ciągle pod górę. Zaskoczeni Hiszpanie pospiesznie celują w nadjeżdżających. Zdążą wystrzelić tylko raz. Ciężko ranny Krasiński spada z konia. Kolumnę powadzi teraz Niegolewski – jedyny oficer wciąż trzymający się w siodle. Wpada między armaty z wachm. Sokołowskim, tnąc na oślep szablą. Hiszpanie się rozbiegają. Na przełęcz dojeżdża jeszcze kilku szwoleżerów, z którymi Niegolewski próbuje rozpędzić ostatnich obrońców reduty. Sam pada pod ubitym koniem. Hiszpanie kłują go bagnetami i obrabowują. Jego towarzysze zginęli albo rozpierzchli się w bojowym zamieszaniu.

Na szczęście na odsiecz przybywają strzelcy konni i szwoleżerowie z osobistej eskorty cesarza. Napoleon wysłał ich na pomoc zaraz po zdobyciu przez Polaków pierwszej baterii. Kawalerzyści rozpędzają resztki Hiszpanów i gonią po zboczu za przełęczą. Widok zdobytych armat i uciekających obrońców powoduje, że reszta Hiszpanów rozmieszczona na zboczach wzdłuż drogi i za przełęczą zaczyna bezładnie uciekać. Na grzbiet bez przeszkód wchodzą woltyżerowie z 96. pułku. Przełęcz jest zdobyta, bitwa wygrana. Droga na Madryt otwarta. Do niewoli dostało się ponad 3 tys. żołnierzy, wszystkie armaty, wozy taborowe.

Napoleon następnego dnia dokonał przeglądu pułku. Siedząc w końskim siodle, zdjął przed szwoleżerami kapelusz, mówiąc: „Jesteście godni mojej starej gwardii, uważam was za najdzielniejszą jazdę. Chwała najdzielniejszym z dzielnych!". Zaraz po bitwie cesarz przyznał cztery krzyże Legii Honorowej żołnierzom, którzy pierwsi dotarli na przełęcz i zdobyli hiszpańskie sztandary. Potem ordery dostało jeszcze 16 żołnierzy, w tym Kozietulski, Niegolewski i Krasiński. Jednak wydany 2 grudnia biuletyn armijny nr 13 nie był już tak łaskawy dla Polaków. Szwoleżerów co prawda wspomniano, ale dowództwo szarży przypisano gen. Montbrunowi. Madryt padł 4 grudnia po krótkim oblężeniu.

Szarża trwała od siedmiu do dziesięciu minut, zginęło w niej lub zmarło później z ran 22 szwoleżerów. Cena wyjątkowo niska za tak wielki sukces.

Kozietulski pod strzechą i w maluchu

Ładunek emocjonalny, wytworzony w polskim społeczeństwie przez napoleońską epopeję, której jednym z najjaśniejszych punktów była bitwa pod Somosierrą, był tak silny, że zaczęli się go poważnie obawiać zaborcy. Zwłaszcza że w kampaniach brało udział sporo tzw. pospólstwa, które przesiąknęło rewolucyjnymi i niepodległościowymi ideami.

Jak pisał Marian Brandys, kiedyś Bismarck przysłuchiwał się dyskusji pruskich oficerów, którzy przekonywali, że polskich szwoleżerów po prostu poniosły konie, spłoszone artyleryjską kanonadą. Trzeźwy jak zwykle Żelazny Kanclerz z sarkazmem zauważył, że tchórzy ponoszą do tyłu, ale mężnych w kierunku nieprzyjaciela. Austriacy do końca cesarstwa utrzymywali pododdziały „polskich" ułanów, żeby dyskontować i rozładowywać patriotyczne nastroje. Sześć armat spod Somosierry po bitwie zostało przydzielonych do polskiej Dywizji Księstwa Warszawskiego. Przeszły z nią cały szlak bojowy aż do Rosji. Porzucone przy forsowaniu Berezyny i zagarnięte przez Rosjan zostały złożone jako trofeum pod murami Kremla.

Somosierra nie dawała spokoju władcom PRL. Kiedy Jacek Kuroń ze swoimi walterowcami chodził po polskich wsiach, śpiewając komsomolskie piosenki, mieszkańcy na głucho zamykali przed nimi drzwi domów. Pewnie również dzięki szwoleżerom spod Somosierry, o których pamięć na polskiej wsi była ponoć żywa jeszcze po drugiej wojnie światowej. Bohaterstwo, w dodatku uwieńczone sukcesem, uwierało posłusznych Moskwie. Szwoleżerowie stali się celem ataku reżimowych propagandystów. Krzysztof Teodor Toeplitz, Kazimierz Koźmiński czy Stefan Bratkowski, dyskutując na łamach „Polityki", „Kultury" i „Życia Warszawy" nad „Popiołami" Andrzeja Wajdy ze sceną szarży pod Somosierrą, ukuli termin „kozietulszczyzna", ośmieszający bohaterów i zarzucający im awanturnictwo i bezsensowną brawurę. Termin podchwyciła prasa, nie ograniczając go do wojny obronnej 1939 r. czy powstania warszawskiego, ale pisząc m.in. o piratach drogowych jako „kozietulskich za kierownicą". Honoru szwoleżerów bronił – o zgrozo – jeden z głównych ideologów środowiska moczarowców – płk Ludwik Załuski z miesięcznika „Wojsko Ludowe", wskazując na ignorancję i nieznajomość historii swoich adwersarzy.

Przewrotnie polemika ta stała się inspiracją dla serii książek Mariana Brandysa wydawanej w latach 60. i 70., dzięki której chwalebne i wcale niebezsensowne militarnie wyczyny szwoleżerów znów zagościły w świadomości następnych pokoleń Polaków. Bodaj ostatni raz w publicznej debacie termin „kozietulszczyzna" został użyty przez Tomasza Nałęcza w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej" dla określenia zachowania polskich pilotów w trakcie katastrofy smoleńskiej w 2010 r. Równie bezsensownie jak w PRL...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 40b1557dc5

Żołnierze jak malowani – mundury epoki napoleońskiej



Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Choć niektórzy historycy krytykowali kosztowny, wręcz karykaturalny przepych mundurowy, to znaczenie praktyczne kolorowych uniformów było niebagatelne

Przy braku technicznych środków łączności ich barwa stanowiła istotny element ówczesnego systemu komunikacji, a znajomość rozmaitych niuansów była obowiązkiem gońców, łączników, adiutantów i dowódców. Nie chodziło tylko o identyfikację swój/obcy (krój mundurów był podobny we wszystkich armiach), lecz także o sprawne uszykowanie poszczególnych jednostek do bitwy i możliwość manewrowania nimi. Dowodzący obserwował przez perspektywę teren zmagań, rozpoznawał poszczególne dywizje po barwie mundurów i wysyłał łączników. Ci musieli dotrzeć z rozkazami do konkretnej dywizji/oddziału, a dobrze widoczne znaki identyfikacyjne ułatwiały im zadanie. Mundur umożliwiał także pojedynczemu żołnierzowi odnalezienie własnego pułku w zamęcie bitewnym oraz utrzymanie właściwego miejsca w szyku. Zresztą jednolity ubiór barwy ochronnej nie miałby praktycznego zastosowania, ponieważ z uwagi na możliwości ówczesnej broni strzeleckiej walka toczyła się na bliskich odległościach i niezależnie od koloru munduru walczący byliby i tak doskonale widoczni. Utarło się przekonanie, że mundury z tamtej epoki



były wyjątkowo niewygodne, ciasne, krępowały ruchy, wykonywano je niestaranie, nie zapewniały ciepła w zimie, latem powodowały przegrzanie. Doświadczenia z dzisiejszych inscenizacji rekonstrukcyjnych przeczą temu. Oczywiście uniformom z początku XIX w. daleko pod względem komfortu do współczesnych, ale dało się w nich swobodnie walczyć, a sukienny materiał zapewniał dobrą ochronę przed zimnem.

Czasy napoleońskie to epoka fraka (habit à la française), który wykształcił się w XVIII w. z długiego i niepraktycznego rajtroka. Żołnierze piechoty i kawalerii nosili sukienne fraki/kurtki z długimi lub krótkimi tylnymi połami, kamizelki albo lejbiki (kamizelka z długimi rękawami) oraz spodnie – krótsze do wysokich butów i długie sięgające kostek noszone do trzewików, najczęściej razem z długimi sztylpami/getrami. W porównaniu z XVIII stuleciem znacznemu ujednoliceniu uległy nakrycia głowy; upowszechnił się wysoki, okrągły i sztywny filcowy kaszkiet (czako, kiwer) z daszkiem. Jedynie w niektórych kompaniach wyborczych noszono futrzane bermyce, które zastąpiły stosowane w epoce fryderycjańskiej mitry z wysokimi mosiężnymi blachami. W kawalerii oprócz kaszkietów noszono także metalowe i skórzane kaski (kirasjerzy, niektóre formacje dragońskie). Oryginalnym umundurowaniem odznaczali się ułani/lansjerzy, czerpiący z wzorców polskich, oraz huzarzy ubrani po węgiersku. Celom identyfikacyjnym służyły barwa wyłogów kurtek i rękawów, numery pułkowe na guzikach, dodatki do czapek (kity, kordony, blachy naczelne etc.), naramienniki. W kompaniach wyborczych stosowano czerwień/szkarłat (epolety, kołnierze, kity); symbolem lekkiej piechoty była myśliwska trąbka, a u grenadierów i w niektórych formacjach elitarnych – gorejący granat. Żołnierze przystępowali do walki najczęściej w tzw. mundurze wielkim, ze wszystkimi kolorowymi atrybutami. Ceratowe pokrowce i regulaminowe płaszcze, wprowadzone w wielu armiach w końcu pierwszego dziesięciolecia XIX w., stosowano przede wszystkim podczas biwaków i w trakcie przemarszów. Nie miały one znaczenia maskującego – chodziło o zabezpieczenie właściwego munduru przed zniszczeniem i oczywiście zapewnienie ciepła w zimie. ©℗

eprasa.pl 40b1557dc5

Czesi w taborze



Istotą sukcesów armii husyckich w I połowie XV w. był szyk taborowy. Obsadzone plebejską piechotą i specjalnie przystosowane do walki wozy stanowiły trudną do zdobycia twierdzę. Ich załogi dysponowały różnorodnym uzbrojeniem. Poza bronią sieczną i drzewcową oraz słynnymi cepami bojowymi wsparcie zapewniali strzelcy dysponujący kuszami, piszczelami i hakownicami. Wozy bojowe miały od zewnętrznej strony solidne drewniane osłony zaopatrzone w otwory strzelnicze, a część żołnierzy posiadała duże tarcze – pawęże. Koła spinano łańcuchami i dodatkowo umieszczano pomiędzy nimi długą i szeroką deskę, dzięki czemu zewnętrzna linia warowni (niem. Wagenburg) stanowiła zwartą przeszkodę. Na wozach oraz pomiędzy nimi ustawiano działa. W polu używano m.in. taraśnic (długie lufy 1–1,4 m), których kaliber (jednakowy dla lufy i komory) wahał się od 40 do 100 mm. Osadzano je na drewnianych łożach bez kół. Innym działem była hufnica zaopatrzona w kołową lawetę. Jej lufa miała większy kaliber niż u taraśnicy, ale za to węższą komorę prochową; dzięki temu nacisk gazów koncentrował się na małej powierzchni kamiennego pocisku i znacznie mniej uciekało ich po ściankach lufy. Zapewniało to dużą moc strzału. Szarże ciężkozbrojnego rycerstwa rozbijały się o umocnienia husyckiego taboru uszykowanego zazwyczaj na miejscu z natury obronnym. Po odparciu ataku usuwano kilka wozów, a z wnętrza obozu wypadały lekka jazda i chmara piechoty, dokonując dzieła zniszczenia wśród zdziesiątkowanych wrogów. ©℗



MP 40

Pistolet maszynowy MP 40 (pierwsza wersja MP 38) zaprojektowano pod koniec lat 30. z myślą o załogach pojazdów pancernych oraz spadochroniarzach. Była to konstrukcja nowatorska, wykonana całkowicie ze stali i z tworzywa sztucznego, dodatkowo wyposażona w składaną kolbę. MP 40, który z uwagi na swój charakterystyczny czy nawet futurystyczny wygląd stał się ikoną niemieckiego żołnierza i był popularnie nazywany szmajserem (w rzeczywistości twórcą broni był inż. Heinrich Vollmer z zakładów ERMA), okazał się inspiracją dla wielu zagranicznych konstrukcji (także polskiej konspiracyjnej Błyskawicy), a zdobyczne egzemplarze były chętnie wykorzystywane przez aliantów i członków ruchu oporu, także w Polsce. Broń działała na zasadzie odrzutu zamka swobodnego i była zasilana z 32-nabojowego magazynka pudełkowego dołączanego od dołu; nie posiadała przełącznika rodzaju ognia. Podobnie jak w przypadku innych peemów zasięg skuteczny wynosił ok. 200 m, ale najlepsze efekty uzyskiwano, prowadząc ogień do celów oddalonych o kilkadziesiąt metrów. ©℗

Z arkebuza do tarczy

Początki strzelectwa sportowego związane są ze średniowiecznymi bractwami kurkowymi zrzeszającymi mieszczan zobowiązanych do obrony murów miejskich. W drugiej połowie XV w. w szwajcarskiej Lucernie założono pierwszy klub strzelecki. Używano łuków, kusz i odprzodową gładkolufową długą broń palną: lontowe i kołowe arkebuzy, potem także muszkiety. Lepsza jakość broni oraz prochu, w połączeniu z wynalezionym w pierwszej połowie XVI w. zamka kołowego, zwiększyły możliwości strzelectwa precyzyjnego. Nowy zamek, droższy i bardziej skomplikowany od lontowego, umożliwiał strzelcowi skoncentrowanie się na celowaniu i nie powodował wstrząsu przy ściąganiu spustu. Arkebuzy kołowe przetrwały w broni sportowej do połowy XVIII w.

W okresie nowożytnym różnice pomiędzy bronią tarczową i myśliwską nie były jeszcze oczywiste, jednak dążenie do coraz większej precyzji strzału i rozwój balistyki skutkowały pojawieniem się specjalistycznej długiej broni niewojskowej. Charakteryzowały ją grubościenne, gwintowane lufy oraz ciężkie osady z rozbudowanymi kolbami umożliwiającymi wygodne złożenie się do strzału (z policzka, w przypadku arkebuzów). Znaczący wzrost masy, niepożądany w broni wojskowej, nie stanowił w tym wypadku wady, ale zaletę. Istotnym elementem były regulowane celowniki oraz przyśpieszniki umożliwiające delikatne ściągnięcie spustu. ©℗



eprasa.pl 40b1557dc5

Przełom na niebie / Pionowy start i lądowanie

Wiropłaty



Bell 47, pierwszy śmigłowiec do użytku cywilnego FOT. COMMONS WIKIMEDIA/AIRWOLFHUND



Tymoteusz Pawłowski

Te oryginalne statki powietrzne można nazwać na kilka sposobów. Najpopularniejszą nazwą jest „śmigłowiec", wskazujący najważniejszą cechę zewnętrzną: olbrzymie śmigło. „Helikopter" to niemal to samo, tylko że po grecku. Najprecyzyjniejsze jest jednak określenie „wiropłat", ponieważ opisuje sposób działania

Najważniejszym elementem samolotu jest skrzydło. Od dołu jest płaskie, od góry – nieco wypukłe. Gdy silnik rozpędzi samolot, wówczas cząsteczki powietrza mają do pokonania krótką drogę na dole skrzydła, ale długą na górze. Cząsteczki na dole upakowane są gęsto, ale na górze o wiele rzadziej, występuje więc różnica ciśnienia, dzięki której skrzydło zasysane jest do góry. Samolot musi się jednak rozpędzić i utrzymywać szybkość, potrzebuje więc długiego pasa startowego, a później nie może zatrzymać się w powietrzu.

Wiropłat – na co wskazuje jego nazwa – ma wirujące płaty skrzydeł, które napędzane są silnikiem, a podczas ruchu przypominają olbrzymi parasol nad kadłubem. Siłę nośną można więc uzyskać, stojąc w miejscu, wznieść się pionowo w górę i równie pionowo opaść. Problemem jest sterowanie, skoro silnik napędza wirnik w jedną stronę, to siła reakcji stara się obrócić kadłub w drugą. Problem ten można rozwiązać na kilka sposobów – np. montując dwa przeciwbieżne wirniki albo wielką dmuchawę na końcu kadłuba, ale najpopularniejszą metodą jest zamontowanie na wysięgniku (ogonie) śmigła, które będzie odpychało kadłub w odpowiednią stronę.

W początkach XX w. pojawiły się silniki wystarczająco potężne, aby podnieść w górę helikopter, ale inżynierowie nie byli w stanie rozwiązać opisanego wyżej problemu. W tym czasie powstawało wiele konstrukcji i niemal każdy naród uważa się za pioniera w rozwoju helikopterów, ale nikt nie osiągnął więcej niż pracujący w Wielkiej Brytanii Hiszpan Juan de la Cierva. Niestety, zginął w katastrofie samolotu pasażerskiego i jego prace kontynuowali inni.

Pierwsze operacyjne helikoptery udało się opracować Amerykanom. Palma pierwszeństwa należy się emigrantowi z Rosji Igorowi Sikorsky'emu, którego R-4 wykonywał operacyjne loty w ostatnim roku drugiej wojny światowej. Bardziej popularne – i latające do dziś – okazały się maszyny Lawrence'a Bella, szczególnie H-13 Sioux z charakterystycznym kratownicowym kadłubem i kabiną w kształcie akwarium złotej rybki. Największy sukces komercyjny osiągnął jednak Polak z pochodzenia – Frank Piasecki – którego firma została później wykupiona przez Boeinga. Boeing, Bell i Sikorski to dziś najwięksi producenci wiropłatów na świecie.

Problemy z silnikami

Ówczesne śmigłowce miały wiele zalet, które wykazały podczas wojny w Korei, ale miały również jedną olbrzymią wadę: potrzebowały potężnych silników. Dostępne wówczas silniki tłokowe niezbyt nadawały się dla wiropłatów: te o odpowiedniej mocy były zbyt duże, a te o odpowiednich rozmiarach miały za małą moc. Helikoptery potrafiły latać, ale nie czyniły tego zbyt dobrze, a wszelkie gwałtowne manewry były niemożliwe. Najlepszym śmigłowcem lat 50. i 60. był Sikorsky H-19 Chickasaw, z silnikiem z przodu kadłuba, kabiną pilotów nad nim, a za nim – kabiną towarową. H-19 był modernizowany, rozbudowywany, kopiowany zarówno na licencji (jako Westland Whirlwind), jak i bez niej (chociażby jako Mil Mi-4).

Wszyscy kupowali amerykańskie śmigłowce, ale największy przełom

eprasa.pl 40b1557dc5

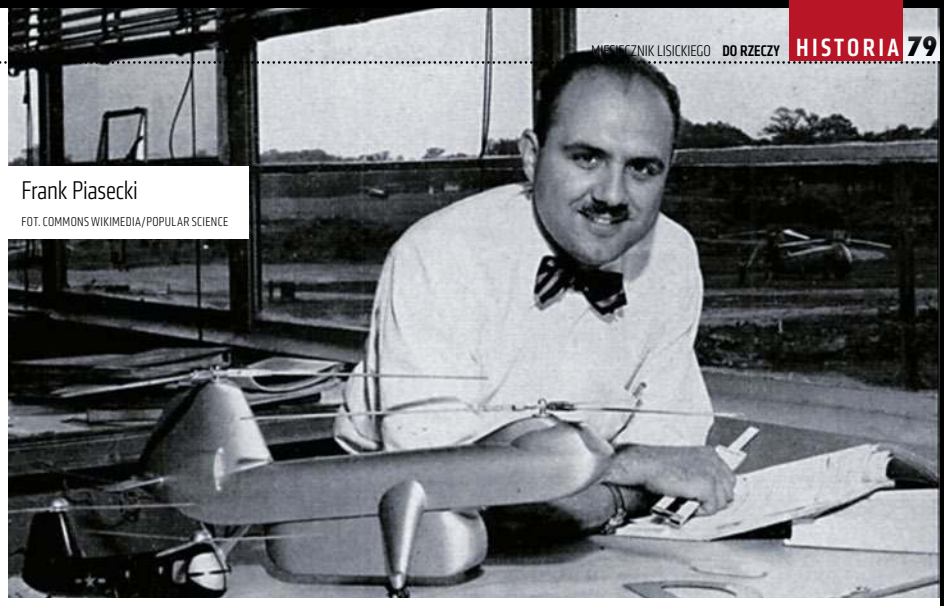
w ich dziejach nastąpił we Francji, gdzie zastąpiono silniki tłokowe silnikami turbowałowymi. Silnik ten to w gruncie rzeczy silnik odrzutowy wyregulowany tak, żeby odrzut był minimalny, a cała moc była kierowana na wał. Silniki takie powstawały we francuskiej firmie Turbomeca, założonej przez pochodzącego z polskiej wsi Skryhiczyn Józefa Szydłowskiego. Jego turbiny napędzały wprowadzone do służby w 1954 r. niewielkie helikoptery Djinn, a przede wszystkim trzy lata późniejsze Aérospatiale Alouette II, których wyprodukowano blisko 4 tys. sztuk i które latają do dziś.

To była prawdziwa rewolucja, ale początkowo została zlekceważona. W 1965 r. Amerykanie zaangażowali się bezpośrednio w wojnę domową w Wietnamie i wówczas na masową skalę zaczęli używać helikopterów. Błyskawicznie powstawały nowe konstrukcje napędzane silnikami turbinowymi. Większość współcześnie latających śmigłowców ma swoją genezę właśnie w tamtych maszynach.

Najsłynniejszym z nich jest bez wątpienia Bell UH-1 Iroquois, powszechnie znany jako Huey. Różnych jego wersji – produkuje się je do dziś – powstało ok. 20 tys. Nie ma chyba maszyny, która kojarzyłaby się z zimną wojną – i wojną w Wietnamie – tak jak Huey. Być może nieco sławy zabiera mu jego szturmowa wersja: Bell AH-1 „Heuy" Cobra. W tym roku nasi czescy sąsiedzi zamówili najnowocześniejsze ich wersje: transportowe UH-1Y Venom oraz szturmowe AH-1Z Viper. Polska z kolei zdecydowała się na nowocześniejsze amerykańskie maszyny: transportowe black hawki od Sikorsky'ego oraz apache od Boeinga.

Najbliższe okolice

Black hawki są produkowane w Polsce, ponieważ mamy dość duże tradycje helikopterowe. Wynikają one m.in. z tego, że w Związku Sowieckim śmigłowce były przez długi czas lekceważone do takiego stopnia, że ich produkcją mieli zająć się sowieccy „sojusznicy" – wypadło na Polskę. W Mielcu produkowano zatem na licencji lekkiego Mi-1 oraz jego następcę – Mi-2, a także opracowanego samodzielnie PZL W-3 Sokół („W" jak wiropłat!).



Frank Piasecki
FOT. COMMONS WIKIMEDIA/POPULAR SCIENCE

Priorytetem dla Moskwy było opracowanie śmigłowca do transportowania pocisków balistycznych, aby ukryć je przed amerykańskim wywiadem gdzieś wśród drzew tajgi. Problemem było to, że wielkość rakiet balistycznych stopniowo rosła, musiały więc rosnąć również wymiary i moc śmigłowców. Rosjanie stali się mistrzami konstruowania olbrzymich śmigłowców, niemających – oczywiście – analogów w świecie. Pierwszym z nich – i chyba najbardziej udanym – był Mil Mi-6, pierwszy sowiecki helikopter napędzany silnikami turbinowymi.

Mi-6 wszedł do służby w 1963 r. i był na tyle udany, że w silnik turbinowy postanowiono wyposażyć również starszego Mi-4 (tego, który był zadziwiająco podobny do Sikorsky'ego H-19 Chickasaw).

Sikorsky H-19 Chickasaw FOT. COMMONS WIKIMEDIA/USAF





Bell AH-1 Cobra
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Turbinowy Mi-4 zmienił się w 50 proc.: bez zmian pozostawiono jego tylną połowę z belką i przedziałem transportowym, całkowicie przebudowano przednią. Dwa silniki zamontowano na górze, a kabinę pilota przeniesiono na przód kadłuba. Modernizacji nadano nazwę Mi-8 i od 1967 r. do dziś jest to jeden z najlepszych i najpopularniejszych helikopterów świata, wciąż zresztą produkowany.

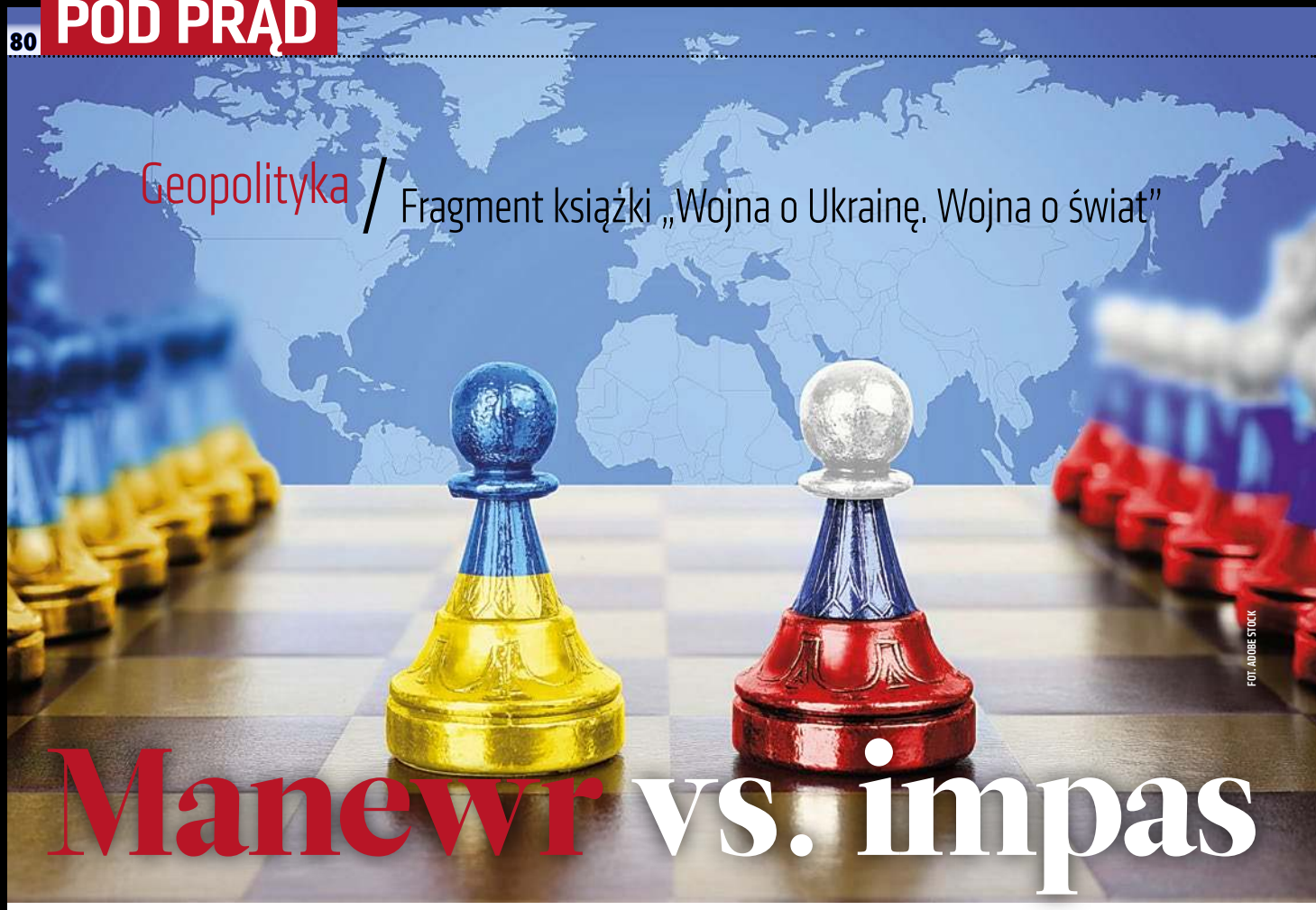
Obecnie oprócz Amerykanów i Rosjan na helikopterowym rynku liczą się Francuzi, a raczej przewodzeni przez nich Europejczycy spod marki Airbus. To intratny biznes, śmigłowce są bowiem bardzo drogie, a kupują je przede wszystkim odbiorcy rządowi, w tym siły zbrojne. Można przyjąć za regułę, że śmigłowiec, który nie ma zamówienia rządowego, bardzo szybko znika z rynku.

Reguła ta ma oczywiście wyjątki, a są nimi przede wszystkim helikoptery firmy Robinson: dwuosobowy R22 oraz czteroosobowy R44. Są tanie i popularne – powstało ich kilkanaście tysięcy egzemplarzy – a co interesujące, napędzane są pięciolitrowym silnikiem tłokowym, a nie turbiną. Można spotkać je na całym świecie, również w Polsce.

Jeszcze do niedawna wiropłaty były bardzo egzotyczne, w przeciwieństwie do podróży samolotami pasażerskimi. W ostatnich jednak latach każdy może sobie pozwolić na zakup helikoptera. Nie będzie on duży, będzie miał najprawdopodobniej cztery wirniki główne zamiast jednego, a silnik będzie elektryczny, a nie turbinowy, i będzie nosił nazwę „dron" albo „quadrocopter", ale będzie prawdziwym wiropłatem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 40b1557dc5



Geopolityka / Fragment książki „Wojna o Ukrainę. Wojna o świat”

Manewr vs. impas

FOT. ADOBE STOCK

Od wojen plemiennych do dronów i robotów. Od zarania dziejów wojny toczą się o to samo: narzucenie swojej woli przeciwnikowi. Zmieniają się tylko narzędzia

PIOTR ZYCHOWICZ: Wojna to dwa żywioły: manewr i impas. Od setek lat wojny mają fazy ruchome i pozycyjne. Myślę, że konflikt na Ukrainie potwierdza tę prawidłowość.

JACEK BARTOSIAK: Oczywiście. To odwieczna rywalizacja na polu bitwy. Szybkie rajdy konnicy – a potem czołgów – versus wyczerpujące walki w okopach czy długotrwałe oblężenia twierdz i miast. Wojna była, jest i będzie poszukiwaniem równowagi, a konkretnie wynajdywaniem w równowadze przewag i asymetrii. To daje zwycięstwo. Ale do tego należy mieć odpowiednio skalibrowane narzędzie. Weźmy husarię. Ona musiała być na tyle ciężka, żeby rozbić czworoboki wroga, ale na tyle lekka, aby mogła się szybko przemieszczać, manewrować, atakować na odpowiednim dystansie. Nie mogła też być zbyt liczna, by móc manewrować na polu walki, nawracać itp., oraz nie mogła mieć zbyt ciężkiego ogona logistycznego. Można więc powiedzieć, że na wojnie niewiele się zmieniło, oczywiście oprócz rozwoju techniki.

Narzędzia się zmieniają. Od kamiennych toporków przez łuki, muszkiety, karabiny maszynowe, czołgi i samoloty doszliśmy do dronów. Ale w każdej wojnie chodzi o to samo – o znalezienie luki w obronie przeciwnika i zadanie mu rozstrzygającego ciosu. Tak aby padł na kolana i można mu było narzucić swoją wolę polityczną.

Spójrz na rozwój sztuki wojennej w ostatnich wiekach. W wyniku pierwszej rewolucji przemysłowej niewiele się zmieniło. Maszyna parowa, ze względu na rozmiary i sposób funkcjonowania, nie mogła wpłynąć na mobilność wojska na lądzie. Oczywiście można było przemieszczać wojska koleją, ale na samo pole bitwy nie miało to wpływu. W związku z tym na polach bitew XIX stulecia dominowała piechota, siła żywa. Oczywiście żołnierze mieli coraz lepsze karabiny, ale to było mniej więcej to samo. Wielką zmianę przyniosła dopiero druga rewolucja przemysłowa. Wymyślenie silnika spalinowego i elektryczności otworzyło drogę do budowy czołgów i ciężarówek. Armie zyskały ogromną mobilność. Dużo większą, niż dawały jej wcześniej konie. Ta mobilność została ubrana w odporność stalowego pancerza, wobec którego broń strzelecka była na początku bezradna. Tego oczywiście nie można powiedzieć o koniach. Oczywiście szybko zaczął się słynny wyścig pancerza i działa, tarczy i miecza. Ale ogólna zasada była taka, że kto miał zmechanizowane i zmotoryzowane wojska, ten przez większość XX w. wygrywał.

eprasa.pl 40b1557dc5



Armatohaubica Krab

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/GAVIN CHING



Wystrzał z M142 HIMARS

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/ANTHONY ORTIZ/US MARINE CORPS

Przykładem takiego starcia starego z nowym może być – niestety – wojna polsko-niemiecka w 1939 r.

Tak. Blitzkrieg udowodnił to prawidło. Niemcy mieli więcej czołgów i potrafili szybciej przemieszczać wojska na wybranych kierunkach i w polskich lukach w obronie. Potem to było jeszcze usprawniane. W kolejnych kampaniach żołnierze nie maszerowali na pola bitew, ale byli dowożeni w jego pobliże ciężarówkami, więc nie byli zmęczeni. To miało znaczenie. A po drugiej wojnie światowej byli przerzucani wprost na pole walki w bewupach. W 1939 r. mieliśmy eksperymentalną pancerno-motorową 10. Brygadę Kawalerii Stanisława Maczka. Żołnierze byli dowożeni do walki ciężarówkami, więc byli wypoczęci. Jednostka ta miała zatem zdolność do pokaźnego manewru operacyjnego. Na tym polegała jej innowacyjność. W efekcie nie przegrała żadnej bitwy. I stąd taki szacunek wobec Maczka po zakończeniu kampanii 1939 r. Również w kręgu gen. Sikorskiego. Maczka nie dotknęły słynne „rozliczenia wrześniowe" sanacyjnych oficerów.

Jaka szkoda, że mieliśmy tylko jedną taką jednostkę!

Niestety. Oczywiście zanim wymyślono silnik spalinowy, dowódcy też ustawicznie poszukiwali mobilności. Nasi przodkowie byli mistrzami manewru jazdy. Sobieski i sławna kampania podhajecka w 1667 r. prowadzona przeciwko Tatarom i Kozakom. Albo bitwa pod Kircholmem w 1605 r. My manewrowaliśmy, kształtując zachowanie Szwedów, tak że Szwedzi bali się wyjść w pole bez oparcia o miasta. Szukali manewru okrętami, próbując przemieszczać się wzdłuż wybrzeża, ale my byliśmy szybsi, poruszając się jazdą, od pewnego momentu komunikiem, czyli bez taborów.

A jak to wygląda w XXI w. na polach bitew Ukrainy?

Trwająca obecnie wojna pokazała, że w sytuacji, w której obie strony mają podobną mobilność – bo mają czołgi, bewupy i dowodzenie na tym samym poziomie – to manewr zamiera. I wojna ruchoma przeradza się w wojnę pozycyjną. Nikt nie może bowiem osiągnąć przytłaczającej przewagi i przełamać przeciwnikowi kręgosłupa. I druga sprawa: na Ukrainie potwierdziły się przewidywania teoretyków wojskowości, że oddziaływanie na głębokość precyzyjnym ogniem artyleryjskim zmieni sytuację na polach bitew. Trudno jest dzisiaj skoncentrować masę ludzi i sprzętu na jakimś odcinku frontu, jeżeli na nie sypie się deszcz pocisków artyleryjskich, rakiet i dronów. To dezorganizuje też logistykę. A skoro trudno jest skoncentrować masę – to trudno też uzyskać lokalną przewagę niezbędną do rozpoczęcia manewru i przełamania frontu. Dlatego tak ważna jest świadomość sytuacyjna prowadząca do dominacji nad przeciwnikiem, umiejętność kierowania z dużej odległości ogniem i dronami.



JACEK BARTOSIAK, PIOTR ZYCHOWICZ „WOJNA O UKRAINĘ. WOJNA O ŚWIAT"
REBIS

Słynne „himarsowanie". Przed rozpoczęciem późnym latem/jesienią 2022 r. błyskotliwych kontrofensyw na Charkowszczyźnie i Chersońszczyźnie Ukraińcy zdemolowali rosyjskie tyły uderzeniami amerykańskich systemów artylerii rakietowej HIMARS. Uderzali w składy amunicji, koszary, punkty dowodzenia, centra logistyczne. To kompletnie zdezorganizowało rosyjskie oddziały na froncie. Gdy Ukraińcy natarli – Rosjanie się wycofali.

Mamy do czynienia z manewrem ogniowym. To już nie są koń ani czołg, które potrafią się przebić na tyły wroga. Tę robotę mogą wykonać rakieta i pocisk artyleryjski dalekiego zasięgu. Przy odpowiednich pociskach HIMARS może razić precyzyjnie cele oddalone o 300 km! Na współczesnym polu bitwy można nie próbować okrążyć masą wojska przeciwnika – można to zrobić, manewrując precyzyjnym ogniem. Przewaga ogniowa, powtórzmy, musi być jednak skorelowana z przewagą informacyjną, przewagą w świadomości sytuacyjnej.

Oczywiście. Przy precyzyjnych uderzeniach – gdy pociski są potwornie drogie – nie można uderzać na oślep. To nie jest wał ogniowy tysięcy pocisków armatnich, które demolują wszystko na olbrzymim obszarze. Sprawny wywiad i obserwacja – orientacja, gdzie znajdują się wrażliwe cele przeciwnika – są nieodzowne.

To zastępuje manewr własny, ale również powstrzymuje od manewru przeciwnika, który jest sparaliżowany. W tym miejscu należy podkreślić rosnącą rolę dronów, których olbrzymia liczba unosi się nad polami bitew Ukrainy. To są oczy współczesnych armii. Jestem zresztą przekonany, że to dopiero początek, zalążek tych technologii. Wkrótce na pola bitew wkroczy czwarta rewolucja przemysłowa. Początek tego widać już na Ukrainie. Czeka nas współdziałanie robotów i ludzi. Będzie to możliwe dzięki sztucznej inteligencji, która będzie sterowała kolosalnymi masami dronów lądowych, powietrznych i morskich.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 40b1557dc5

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

AKTOR ANDRZEJ SZALAWSKI URODZIŁ SIĘ 4 GRUDNIA 1911 ROKU W WARSZAWIE. JEGO DEBIUT FILMOWY W „PIERWSZEJ MIŁOŚCI KOŚCIUSZKI" TO BYŁ ZUPEŁNY PRZYPADEK. W TRAKCIE SZKOLNEJ WYCIECZKI DO WILANOWA PRZYSTANĄŁ Z KOLEGAMI, ABY OBEJRZEĆ PRACĘ NA PLANIE FILMOWYM I WÓWCZAS PODSZEDŁ DO NIEGO KTOŚ Z EKIPY.



OSTATECZNIE ROLA OKAZAŁA SIĘ WIĘKSZA, BO ZAGRAŁ ADIUTANTA KOŚCIUSZKI. SPRAWIŁA JEDNAK, ŻE ZAPRAGNĄŁ ZOSTAĆ AKTOREM, DLATEGO PO UKOŃCZENIU GIMNAZJUM ZDAŁ EGZAMINY DO PAŃSTWOWEGO INSTYTUTU SZTUKI TEATRALNEJ W WARSZAWIE. JEGO SZYBKO ROZWIJAJĄCĄ SIĘ KARIERĘ PRZERWAŁ WYBUCH WOJNY.

ZMOBILIZOWANY JAKO PODPORUCZNIK W 26. PUŁKU PIECHOTY, TRAFIŁ DO LWOWA, GDZIE BRAŁ UDZIAŁ W OBRONIE MIASTA. PO KAPITULACJI, OBAWIAJĄC SIĘ REPRESJI ZE STRONY SOWIETÓW, SZALAWSKI NIE PRZYSTĄPIŁ DO PROWADZONEJ REJESTRACJI POLSKICH OFICERÓW. POZBYŁ SIĘ MUNDURU I DOŁĄCZYŁ DO GRUPY TEATRALNEJ, UNIKAJĄC TYM SAMYM ROZSTRZELANIA W LESIE KATYŃSKIM.



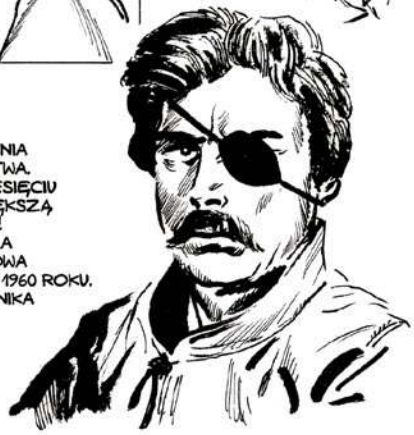
W 1941 ROKU WRÓCIŁ DO WARSZAWY, GDZIE ZACZĄŁ DZIAŁAĆ W KONSPIRACJI POD PSEUDONIMEM „FLORIAN". JEDNOCZEŚNIE PRACOWAŁ DLA WŁADZ OKUPACYJNYCH JAKO LEKTOR KRONIKI FILMOWEJ GENERALNEGO GUBERNATORSTWA. BYŁ RÓWNIEŻ SPIKEREM ODCZYTUJĄCYM KOMUNIKATY NADAWANE ZA POŚREDNICTWEM ULICZNYCH GŁOŚNIKÓW. PRACA TA UMOŻLIWIAŁA MU ZDOBYWANIE CENNYCH INFORMACJI, KTÓRE PRZEKAZYWAŁ ZWZ-AK.



PO ZAKOŃCZENIU WOJNY ZA WSPÓŁPRACĘ Z NIEMCAMI ZWIĄZEK ARTYSTÓW SCEN POLSKICH WYMIERZYŁ MU KARĘ DWÓCH LAT ZAKAZU WYKONYWANIA ZAWODU. WÓWCZAS PRZEPROWADZIŁ SIĘ DO JELENIEJ GÓRY, GDZIE PODJĄŁ PRACĘ W TEATRZE, JEDNAK NIE JAKO AKTOR. BYŁ SUFLEREM, REKWIZYTOREM, POMAGAŁ JAKO STOLARZ W PRZYGOTOWYWANIU DEKORACJI, A NAWET DORABIAŁ JAKO KIEROWCA. PO DWÓCH LATACH LICZYŁ NA POWRÓT DO AKTORSTWA, ROZPOCZĄŁ NAWET PRZYGOTOWANIA DO SZTUKI „IGRASZKI Z DIABŁEM". ZOSTAŁ JEDNAK ARESZTOWANY I W 1949 ROKU SKAZANY PRZEZ STALINOWSKI SĄD.



PO WYJŚCIU Z WIĘZIENIA WRÓCIŁ DO AKTORSTWA. ZAGRAŁ W KILKUDZIESIĘCIU FILMACH, ALE NAJWIĘKSZĄ ROZPOZNAWALNOŚĆ PRZYNIOSŁA MU ROLA JURANDA ZE SPYCHOWA W „KRZYŻAKACH" Z 1960 ROKU. ZMARŁ 11 PAŹDZIERNIKA 1986 ROKU.



eprasa.pl 40b1557dc5

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”

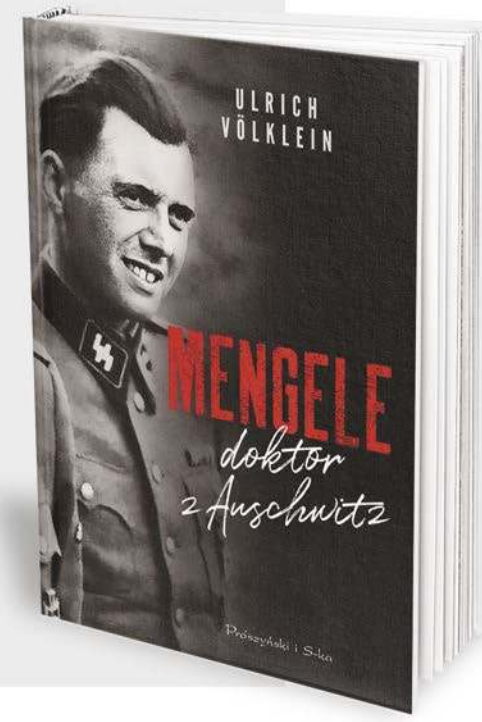
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA ULRICH VÖLKLEIN: „MENGELE – DOKTOR Z AUSCHWITZ”

Nieprzeciętnie wykształcony człowiek: doktor filozofii i nauk medycznych – a zarazem lekarz obozowy w KL Auschwitz - Birkenau i urodzony sadysta. Skrzypek i domorosły poeta – a przy tym mizantrop i skończony cynik. „Piękny szatan”, „diabeł z Auschwitz” – tak opisywali swojego oprawcę ci, którzy ocaleli z największego nazistowskiego obozu śmierci.

Do dziś nie znaleziono przekonującej odpowiedzi na pytanie, kim naprawdę był Josef Mengele. Jak to możliwe, że ten niepozorny młody człowiek, obiecujący lekarz i antropolog, stał się ludobójcą? Jakich zbrodni naprawdę dopuścił się w obozie Auschwitz - Birkenau? Gdzie i w jaki sposób udawało mu się przez tyle powojennych lat ukrywać przed policją i wymiarem sprawiedliwości? I wreszcie: czy przez resztę życia dręczyły go wyrzuty sumienia? W książce „Mengele - doktor z Auschwitz” znany niemiecki historyk Ulrich Völklein mierzy się z tymi wszystkimi pytaniami.

Po wojnie Mengele dosłownie zapadł się pod ziemię. Początkowo ukrywał się w gospodarstwie rolnym w okolicach Rosenheim w Górnej Bawarii, a następnie - z pomocą nazistowskiej siatki – w Argentynie, Paragwaju i Brazylii. W ukryciu wspierała go rodzina, przyjaciele i dawni towarzysze. Rozgoryczony, przez dziesięciolecia żalił się na swój los.

Dopiero dzięki wnikliwej analizie obszernych akt śledztwa i poszukiwań prowadzonych przez zachodnioniemiecki wymiar sprawiedliwości, zasobów niemieckiego Archiwum Federalnego, ustaleń policji izraelskiej oraz osobistych zapisków Josefa Mengele jesteśmy w stanie dokładnie opisać zarówno sprawcę, jak i jego zbrodnie.



144 zł

oszczędność 42 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NUMER
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO sp. z o.o.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 40b1557dc5

Zarejestruj się na naszej giełdzie

i wygraj od 50 do 2 500 USD w BTC

na początek Twojej przygody!

zondacrypto.com



Dowiedz się więcej

zondacrypto

eprasa.pl 40b1557dc5